

TITUS LUCRETIUS CARUS



O NATURZE WSZECHRZECZY

Edycja komputerowa: www.zrodla.historyczne.prv.pl

Mail: historian@z.pl



MMIII®

KSIĘGA PIERWSZA

Rzymian pramatko, Wenus! Bogów i ludzi kochanko,
Która wprowadzasz na niebo gwiazd migotliwe kaganki,
Drogę znaczysz żeglarzom i żyzną rozjaśniasz niwę,
I sama dając początek wszystkiemu, co w świecie żywe,
Boskie, słoneczne światło każesz źrenicom ujrzeć.
Przed tobą, tobą, bogini, uchodzą wichry i burze,
Tobie przemyślna ziemia pod stopy kwiaty rozściela,
Do ciebie wód błękitami śmieje się gładki ocean.
Dla ciebie niebo pogodne szatą świetlistą się stroi
I kiedy blaskiem porannym schodzisz z wiosennych podwoi,
Gdy ciepły wiatr południowy przeleci rodnym powiewem,
Najpierw cię z całej piersi ptaki witają śpiewem;
Potem ochocze trzody i wolna zwierzyna wszystka
Przepływa bystro rzeki, tratuje bujne pastwiska,
Dokąd rozkażesz — zdąża w niewoli twego uroku.
W końcu po morzach i górach, po nurtach rwących potoków,
W cienistych gniazdach ptaków, na polach pełnych zieleni,
Rozżegasz ogień miłości w sercu każdemu stworzeniu
I rodzisz sztuką swoją, rozkosz dającą i boleść,
Młode radosne życie, nadzieję nowych pokoleń.
Skoro cała natura na twoich wspiera się rządach
I nic bez ciebie życia i światła nie ogląda,
Nic nie oddycha weselem, nic nie oddycha kochaniem —
Twojej pomocy wzywam, twego przymierza w pisaniu,

Składając wiersze o prawdzie dla druha mego, Memmiady,
Który za twoją sprawą jest wzorem cnót i ogłady.
Tem więcej teraz, bogini, gdy słudze twemu chcę służyć,
Nieśmiertelnego wdzięku mym prostym słowom użyż,
Spraw, niech po wszystkich morzach, nad całej ziemi obszary
Posną dzikie zapasy i krwawe, wojenne ofiary.
Ty jedna możesz śmiertelnych obdarzyć błogim pokojem,
Bo przecież Mars pancerny, co srogie roznieca boje
I sprawą rządzi wojenną, często na twoje łono
Pada, zmożony raną miłości nieukojoną,
I oto, rozkochany, smukłą odchyła szyję,
Chciwie wpatrzony w ciebie twój luby oddech pije.
Pochyl się nad nim, boska, gdy oczy tobą napawa,
Od uczyty twoich wdzięków nie każ mu rychło wstawać,
Otul go sobą dokoła, nie szczędź najśłodszych namów,
Uproś łaskę pokoju dla wojną znużonych Rzymianów —
Bo w dni od burzy ciężkie i nam pracować niesporo
Ani dla dobra ojczyzny sławna Memmiuszów latorośl
Nie może spraw publicznych zaniechać i żyć w zaciszu.

Teraz, Memmiado, uszy i bystry rozum podaj,
Zapomnij trosk codziennych przy wiernej prawdy wywodach,
Abyś mych darów przyjaznych, składanych z serca głębi,
Nie rzucił pogardliwie, zanim je myślą zgłębisz.
Oto ci będę wykladał naturę niebios i bogów,
Zarodki rzeczy ukażę i powiem, skąd rzeczy ogół,
Z czego, z jakiego tworzywa rodzi przyrody potęga,
Jak je żywi, rozwija, w co je po śmierci rozprzega.
To, skąd się wszystko bierze i dokąd znowu wraca,
Zwykliśmy w naszym wykładzie materia zwać, lub inaczej:

Rzeczy ciałkami rodnemi, albo też miano im dawać
Ciałek pierwszych, bo wszystko z nich naprzód musi powstawać.

Gdy przed oczyma ludzi życie, z wolności wyzute,
Leżało w błoto wdeptane ciężkim religii butem,
Która nad ziemię ciemną i ponad niebo niewidne
Raziła strachem śmiertelnych tocząc swój łeb ohydny,
Pierwszy Epikur, Greczyn, trwogą nie splamił twarzy,
Podniósł zuchwałe oczy, do walki stanąć się ważył.
Ani go bogów powaga, ani łaskoty gromów
Nie zdołały powstrzymać od znojnej pracy ogromu;
Jeszcze w nim wzmogły zapał, by pierwszy natury wrota
Mocno zawarte odemknął. Przemogła mężna cnota!
Wyszedł daleko za kręgi ognistych świata rubieży
I lotnym duchem, myślą wszystko nieznanne przemierzył.
Stąd, triumfator dumny, przyniósł nam prawdę niezbędną:
Co i dlaczego powstaje, skąd bierze życie i pędność,
Jakie granice mocy rzecz każda w sobie zawiera,
Co każe rodzić się życiu i co mu każe umierać.
Teraz, zdeptana religio, komu swą władzę ogłosisz,
Gdy nas zwycięstwo dumne pod samo niebo wynosi!

Lękam się, przyjacielu, byś to czytając nie sądził,
Że czynisz źle, bezbożnie, i w krętych szlakach błądzisz,
Zbrodnię nieomal spełniając. Zaprawdę powiedzieć można,
Ze zbrodnie rodzi zbyt często właśnie religia zdrożna.
Tak w Aulidzie nadmorskiej ołtarz Trójdrożnej Dziewicy
Krwia Ifigenii zbluzgali pobożni wojownicy,
I to nie krwią zbrodniarki, a czystej królewskiej córki,
I to najpierwsi danajscy wodzowie, nie podłe ciury.
Gdy wstęgą dziewicze jej sploty ujęli w równą połowę,

Widzi, jak ojciec pochmurny ponuro zwiesił głowę,
Widzi — kapłani przy niej w szatach skrywają noże
A lud dokoła zebrany łez w oczach wstrzymać nie może.
Niema z bezsilnej trwogi padła na ziemię omdlała
I nic jej pomóc nie mogło, ni ojca władza i chwała,
Ni to, że pierworodna ojca przyniosła mu miano.
Porwały ją zbrojne ręce, podały na ołtarz kapłanom —
Nie po to, by według zwyczaju po ślubie goście pocześni
W dom ją prowadząc radosną śpiewali weselne pieśni,
Lecz żeby czysta, niewinna, w sposób najbardziej haniebny
Zginęła z ręki rodzica dla zabobonów wróżebnych,
By wojsko mogło odpłynąć i flota żagle podnieść.
I takich, jak ta, niejedną zrodziła religia zbrodnię.

Ty sam — nadejdzie chwila — zgębiony wieszceń groźbami
Natrętnemi, może rozstać się zechcesz z nami.
Bo ileż mogą oszustw i ileż wymyślić baśni
Ci, co za wszelką cenę nie pragną życia rozjaśnić!
Jakaż ci mogą zagrać ponurą, kłamliwą piosenkę,
Życie, dotąd szczęśliwe, zatruć grobowym lękiem!
I słusznie. Gdyby ludzkość widziała koniec niedoli,
Mógłby się, kto dzielniejszy, od gróźb guślarzy wyzwolić.
A tak — nie ma obrony i nie ma znikąd sposobu:
Trzeba się bać kar wiecznych z za czarnej czeluści grobu.
Nikt bowiem nie wie o duszy, skąd jej natura pochodzi:
Rodzi się sama, czy w ciało wstępuje w chwili narodzin,
Czy, gdy ją śmierć oderwie, z ziemską powłoką ginie,
Czy idzie smutna zgłębiać ponure Orku jaskinie?
A może z boskich wyroków wstępuje w zwierzęce ciało,
Jak to opiewał Eniusz, co nieśmiertelną chwałą
Słynie wśród ludów italskich, że pierwszy na szczyt Helikonu

Wdarł się szczęśliwie i okrył skroń wieszczą w lauru zieloność —
Choć i Eniusz gdzie indziej wspaniałym wierszem wykłada,
 Że jest gdzieś Acherontu przybytków kraina blada,
 Gdzie ani dusza ludzka, ni ciało nie ma trwania,
Tylko rój mar powiewnych lekkimi kształty się siania.
Stąd przyszedł doń, jak pisze, duch wciąż jasnego Homera
 I łzy wylewał słone, i w cudne słowa ubierał
Prawdę o rzeczy naturze. Dlatego dobrze masz zbadać,
Co niebem, nad nami rozpiętem, bez błędów odwiecznie włada,
 Jakie ruchem księżycy i słońca kierują powody,
 Jak się dopełnia życie na ziemi i w głębi wody.
A nade wszystko trzeba, byś bystro rozumem zmierzył,
Skąd jest dusza, skąd ducha natura, od czego zależy,
Jakie nam rzeczy na jawie zachodzą drogę, trwożąc,
 Kiedy leżymy w chorobie, i czemu sny się tworzą,
W których widzimy na oczy, słyszymy, jak żywych, ludzi,
 Którzy już dawno śpią w ziemi i nikt ich nie obudzi.

 Nie ludzę się, że Greków trudne odkrycie myślowe
Łatwo wyrazić i zamknąć w łacińskie wiersze miarowe.
 Tłumacząc ubogim językiem rzeczy zawiłe i nowe
I tworząc nieznane wyrazy, trzeba nałamać głowę.
Tylko mnie twoja cnota i słodka nadzieja przyjaźni
 Wspiera w pracy i trudy pozwala znosić raźniej,
Że czuwam w pogodne noce i szukam słów i pieśni,
 By niemi światło prawdy przed tobą ucieleśnić,
 Żebyś z pomocą myśli, wiedzy jednak nieesytej,
Poznał do głębi rzeczy dotąd przed tobą zakryte.

 Nie można lęku duszy i ciemnej bytu zagadki
Promieniem słońca rozjaśnić, ni dziennym blaskiem gładkim.

Jeden jest tylko sposób: natury poznać prawa.
Więc najpierw: nie ma rzeczy, która z niczego powstawa
Za bogów władnem zrządzeniem, z jakowychś wyższych przyczyn.
To tylko trwoga ludzka o objawienie krzyczy:
Widząc różne zjawiska, dla których podać nie mogą
Przyczyn, zaraz ich sprawstwo możliwym przyznają bogom.
Skoro ujrzysz wyraźnie, że nic się z niczego nie rodzi,
Łatwo już będzie dalszych, zawilszych praw bytu dowodzić,
Do których prosto idziemy, szukając mianowicie,
Skąd każda rzecz na ziemi początek ma i życie —
Dane bez woli bogów i bez ich współdziału.

Gdyby się rzeczy z niczego rodziły, to wszelkie stworzenia
Mogłyby z każdej rzeczy powstawać bez nasienia.
Z morza wyszliby ludzie, z ziemi stworzenia w łuskach,
Ptaki zaczęłyby rodzić lekka powietrzna pustka.
Zwierz dziki w głębi lasów i ludziom posłuszne trzody
Składałyby pomiot wątpliwy w puszcze i skrzętne ogrody.
Niejednakowy owoc rodziłyby drzewa jednakie,
Lecz coraz inny, lub wszystek. Zatem porządki takie
Gdyby istniały, i nie w zarodkach byłaby płodność,
Jakżeby każdy gatunek miał swoją macierz rodną?
Ponieważ zaś rzecz każda z właściwych jej ziaren powstaje,
Przeto się rodzi, dobywa poza światłości skraje
Tam, gdzie jest jej materia i zapas ciałek pierwotnych.
Wszystko we wszystkim dlatego nie może się ustokrotnić,
Że w każdej rzeczy odmiennej odmienna jest siła i zdolność.

Czemu widzimy na wiosnę kwitnącą różę polną,
Latem dojrzałe zboże, jesienią winne grono —
Jeśli nie przez to, że w każdym na porę oznaczoną

Łączą się ziarna materii w należne kształty, kolory,
Według ciepła, powietrza i sprzyjającej pory,
Póki jest możliwość w naturze i póki ziemia żywa
Wątle swe twory bezpiecznie na brzeg jasności dobywa.
A gdyby były z niczego, dowolnie by mogły się mnożyć,
W każdym czasie powstawać, o każdej roku porze,
Bo przy braku zarodków cóż czas im szkodzić może?
I nie trzeba by wieku na ziaren połączenie,
Byłby z niczego rozkwit, jak z niczego rodzenie.
Oto z małych niemowląt młodzieńcy wyszliby rośli,
Z ziemi nagle pod niebo smukłe drzewa by rosły.
Jasne, że tak się nie dzieje, jasne, że dźiać się nie może:
Wszystko z własnego nasienia wzrasta w naleźnej porze,
Z rodu swego cechami. Stąd poznać możesz niezbieie:
Własną materią rzecz każda żyje, rozwija się, syci.
Bez dźdźu w miesiące deszczowe ziemia sama nie zdoła

Pędów, oko cieszących, do życia w zieleni powołać,
Ani też żywa przyroda nie mogłaby w czasie suszy
Głósmi rześkich stworzeń ciszę śmiertelną zagłuszyć,
Karmy nie dając im żadnej, by mogły rósć i wylęgać.
Raczej wiele jest cząstek wspólnych rzeczom, jak w księgach
Wspólne wyrazom litery, niż że początek z niczego.

Czemu bowiem przyroda nie dała ludzkim szeregom
Kształtów olbrzymich, by mogli morze przechodzić bez trudu,
Góry rozrywać rękami i innych dokonać cudów,
Życiem setki zwyczajnych ludzkich żywotów przeżyć?
Widać dlatego, że mieszcząc materii, ile należy,
Wszystko ma wzrostu granice i w inne się zmienić nie może.
Trzeba więc przyznać wyraźnie, że «nic» niczego nie tworzy.

Wszystkiemu potrzeba ziarna, by każda rzecz mogła powstać,
Wyjść na wiotkie powietrze, rozwijać się i rosnać.

Popatrz na koniec na rolę: uprawna lepsza niż dzika,
Większe wydaje plony pod skrzętną ręką rolnika.
Bo w glebie drzemią zarodki, które człowiecza praca
Pobudza do tworzenia, gdy pługiem skiby odwraca
I aż do łona ziemi zuchwałym trudem sięga.
Gdyby zaś tego nie było, sama natury potęga
Z siebie lepsze, liczniejsze dałaby plony bez pracy.

Ciałka po śmierci natura rozprasza, lecz nie traci.
Gdyby coś bowiem z śmiertelnych części złożone było,
Nikłoby nagle z oczu, gubione nicości siłą.
Żadnych z zewnątrz przyczyn nie trzeba by było do zgonu:
Same by prysły zarodki, jak same były zlepione.
Przeciw nicości powszechnej jakaż byłaby rada?
Teraz zaś, skoro wszystko z trwałych się ziaren składa,
Dopóki żadna siła ciosu po drodze nie zada
Lub nie rozbije ciałek, przez luki wnikając do środka,
Dopóty żadnej rzeczy widoma zguba nie spotka.

Prawda, że lata starością rzeczy drążą i niszczą —
Lecz jeśli czas pochłonać materię może wszystką,
Skądże przywraca Wenus wciąż pokolenia nowe,
Z czego je karmi ziemia, gdy ujrzą światło dniowe,
Dając im paszę i rozrost, każdemu według prawa?
Skąd tedy morze wodę ze źródeł i rzek dostawa?
Skąd eter bierze pokarm dla gwiazd u nieboskłonu,
Jeśli wszystko pochłania bez śladu czas nieskończony,

Wszystko, co jest śmiertelne i ma śmiertelne ciało?
Jeśli coś było w tym czasie, i przedtem, przez wieków całość,
Co żywi wszystkie rzeczy i wciąż odnawia świat nasz —
Widać naturę ma taką, co nie jest na śmierć podatna.
Zatem nic się nie może obrócić w zupełną nicość.

Wtedy rzeczy wszelkie bez żadnej zgoła różnicy
Jedna siła, przyczyna, niszczyłaby zgoła ze szczętem.
Gdyby ich węzły nie były z wiecznej materii zdzierzgnięte.

Gdyby ze śmiertelnego tworzywa były rzeczy,
Dosyć byłoby tknąć je, aby na zawsze zniweczyć.
Tu jednak trzeba siły, i temu nikt nie przeczy.
Każde ciało jest inne, z wiecznej materii złożone,
I trwa aż dotąd całe, kształtne, nienaruszone,
Póki nie przyjdzie siła — a przyjdzie później czy prędzej —
Władna dokonać zniszczenia w każdej zarodków przedzy.
I żadna rzecz nie wchodzi w nicość, nie ginie ze szczętem,
A tylko się rozprzega w materii elementy.

I chociaż giną deszcze, gdy je z niebieskiej przestrzeni
Ojciec-eter rozsypie na łono matki-ziemi,
Za to kołyszą się łąny i drzewa stroją się w zieleń,
Gdy im gałęzie do ziemi przygina owoców wiele.
Stąd nasz pokarm, i całej licznej zwierzęcej rzeszy,
Stąd widok miast, kwitnących młodzieżą, oko cieszy,
Po wszystkich polach rozbrzmiewa przymilny śpiew skowronka,
Krańce i syte bydło chadza po bujnych łąkach;
Przez to się dzieje, że z wymion białe mleko wytryska.
Ze młody zwawy przychówek bryka po bujnych pastwiskach,
Radość czystego pokarmu i życia świeżego błogość
Dając wyrazić w igraniu wiotkim, swawolnym nogom.

Nic więc, co ginie z oczu, nie ginie w natury wnętrzu.
Jedno drugim przyroda żywi, odradza, powiększa,
Nic nie stwarzając pierwej, nim inne w śmierci nie schodzi.

Teraz uważaj. Wiesz już, że nic się «z niczego» nie rodzi,
Ani, raz urodzone, nie może się w nicość obrócić.
Ale — byś przestał wątpić i przeciw mym słowom nie rzucił:
Skąd pewność ziarn istnienia, gdy oko ich nie dostrzeże? —
Poznaj ciała nie znane oczom otwartym najszerzej,
O których wiesz, że istnieją, choć niewidzialne zupełnie.
Oto naprzód pęd wichru morze u portu zwelnia,
Rozbija nawy ogromne, chmury rozdziera, jak płótno,
A czasem, wpadłszy na pole orkanu mocą okrutną,
Pokotem drzewa wyrwane układa lub (sam niewidny)
Łamie lasy, rwie skały i sypie grząskie wydmy,
Szalejąc głośnym świstem i całym ryków chórem.
Więc — wichry niewidzialne, to ciała rwące chmurę,
Rwące morze i ziemię, i nagłym zdjęte szaleń
Niosące precz swą zdobycz nieraz na mile całe.
Równie zniszczenie sieje rzeka, łożysko krzywiąc.
Kiedy jej wód ogromem owładnie powodzi żywioł,
Gdy ją po długich deszczach z gniazda wyniosłych wzgórz
Wygna na podbój dolin rozkaz demona burzy;
Porywa szczątki lasów i zwiększa drzewa stos ten,
Bijąc w drodze o brzegi zerwanym potężnym mostem.
Jakaż jest siła wścieklej, ślepej szaleństwem powodzi!
Fal grzebieniem zmaconym przybrzeżne tamy przechodzi.
Każdą przeszkodę znosi i każdy opór obala,
Głazy niesie głębiną, zapory łamie jej fala.
Tak muszą iść rozpędem wichru szalone tchnienia,
Jak rzeka wyszła z brzegów, oddychająca zniszczeniem.

Podobnie łamią zapory, podobnie przed się niosą,
Krzepkim impetem siły dodając nowym ciosom,
Albo gdy krętym wirem kołują łup zdobyty.
Są więc wichry ciałami, choć nam ich widok ukryty,
Gdyż, jak mówiłem, mogą to samo, co rzeka, zdziałać,
Która, widzialna, równie jest groźna i wspaniała.
Dalej: czujemy wszakże przeróżnych rzeczy zapach,
Lecz nie widzimy, jak nam wzniecają czucie w chrapach;
Ani nam oczy uchwycą nagły gorący powiew,
Ni zimny, i o dźwięku nic okiem się nie dowiesz.
Jednak musi to wszystko mieć treść i skład cielesny,
Gdy zmysł pobudza w sposób przyjemny lub bolesny —
Wszak dotknąć i być dotknięte mogą jedynie ciała.

I patrz: gdy suknie rozwieszisz na falą zmywanych skałach,
Same ci wodę wchłoną i same na słońcu wyschną,
Ale nie ujrzysz, jak wilgoć do szat zdołała się wcisnąć,
Ani jak się w powietrze ulatnia z nich na upale.
Czemu? Bo ciecz jest z ciałek tak drobnych, że ich wcale
Ludzkie oko nie ujrzy. Pierścień, noszony stale
Przez długie lata słoneczne, znacznie się ściera u spodu.
Najtwardszą skałę wydrąży kroplami ciekąca woda,
A w pulchnej nawet ziemi oracza praca długa
Zjada niepostrzeżenie żelazne ostrze pługa.
Każdy widzi, jak dawniej równe gościńce kamienne
Starły się od nóg tłumu w zwykłej przechadzce codziennej;
Spizowe u drzwi posążki, pozdrawiające z wnęki,
Wciąż krótsze mają prawice od podawania ręki.
Widać więc, że maleją przedmioty ścierane częściej —
Ale jakie co chwila z nich ubywają części,
To już zakryte oczom przez matkę-przyrodę zazdrosną.

Ani tych ciałek nie ujrzyć, przez które rzeczy rosną,
Powoli dodawanych w dziennej przyroście mierze,
Ani, jak drobny ubytek każe się rzeczom starzeć:
Co tracą nieuchronnie w jednym momencie zaniku
Zżerane solą skały na każdym morskim przesmyku.
Tak więc światłem i ciepłem, wodą i wichrem w górach,
Niewidzialnymi ciałkami sprawuje rządy natura.

Nie ciśnie się w przyrodzie zewsząd ciał mnogość różna,
Nie wszystko masz wypełnione, lecz jest też w rzeczach próżnia.
Tę nieodzowną prawdę, choć też jej okiem nie widać,
Poznasz z moich wywodów i wielce ci się przyda,
Abyś nie wątpił, błędząc i słowom rozumnym wierzył.
Gdyby próżni nie było, wszelki by ruch już nie żył,
Bo główne cechy materii: nacisk ciężaru i zwanie
Całość w nieporuszeniu trzymałyby uparcie.
Nic by nie poszło z miejsca, gdyż choćbyś sił nie skąpił,
Żadna by rzecz dla drugiej nie mogła placu ustąpić.
A przecież na własne oczy wszędzie dokoła postrzegasz,
Jak wiele ciał się porusza, zmienia postawę, biega.
Cóż, gdyby próżni nie było we wszystkich ziemskich ciałach,
Jakżeby cała natura żyła, albo powstała?
Byłaby jaka racja ruchu? Materia bez zmiany,
Zewsząd ściśnięta, w spoczynku trwałaby nieprzerwanym.

Zresztą, choć wiele w przyrodzie jest zwartych, ścisłych tworów,
Jednak nieprzenikalne są one tylko z pozoru.
Skały podziemnych jaskiń woda kroplista przenika
I spływa dołem łzami w czystych, chłodnych strumykach.
Pokarm ustami wzięty po całym ciele krąży.
Drzewo w czas będzie rosnać i owoc rodzić zdąży,

Ponieważ soki żywotne, brane z wody i ziemi,
Aż do najdalszych pąków wędrują od korzeni.
Dźwięk drzwi przechodzi i ściany nie zawsze miłym gościem,
A zimno potrafi ciało przeniknąć aż do kości.
Gdyby zaś w ciałach nie było przejść pustych dla ciał innych,
Nigdy byś nie zobaczył żadnych tych przemian czynnych.

A dalej — czemu widzisz, że ciała równe wymiarem,
Kształtem podobne, różnią się jednak od siebie ciężarem?
Jeśli bowiem tyle jest ciała w kłębku wełny,
Ile ma równy kłębek, ale ołowiu pełny,
Tyleż powinien wazyć, gdyż ciało w swej naturze
Szale wagi przyciska do dołu, nie ku górze,
Próżnia zaś, w ciałach będąca, na wadze nic nie znaczy.
Więc to, co równie wielkie, a jednak cięży inaczej,
Bo lżej, widocznie próżni ma w sobie spory zapas.
To zaś, co znacznie cięższe, tem się od lekkich różni,
Że więcej ciała zawiera i tyleż mniej ma próżni.
Jest więc, jak bystry rozum jasno pozwala nadmienić,
We wszystkich ciałach jakaś domieszka pustej przestrzeni.

Pragnę cię teraz przestrzec, by z drogi cię nie zwiodły
W poszukiwaniu prawdy bajania mędrków podłych,
Którzy mówią, że łuską pokryte morskie twory
Siłą prą wodę naprzód, by powracała w otwory,
Jakie za sobą zostawia dla fali luźnego odpływu.
Mówią też, czemu zbytnio nawet się i nie dziwuj,
Że wszystkie twory w ten sposób, w ruchu swobodzie zupełnej
Żyją w naturze, choć wszystko spojone jest i pełne.
Błąd to pewny. Bo jakże przeciw mogą naprzód ryby,
Jeśli ich woda nie puści? Nie puści zaś bez ochyby,

Bo gdzie ustąpią fale, gdy ryby nie mogą się ruszyć?
Albo więc na ruch wszelki zamkniemy oczy i uszy,
Albo przyznamy, że próżnia jest do natury dodana
I z niej jest ruchu możliwość we wszystkich znanych odmianach.

Dalej, gdy po pchnięciu dwa ciała, dość szerokie,
Zderzą się i na powrót cofną nagłym odskokiem,
Trzeba, by w środku powietrze zajęło próżnię całą.
Tak jednak nie jest od razu, choćby najsilniej wiało,
Gdyż w jednym czasie nie może ogarnąć całej przestrzeni,
Tylko miejsce po miejscu w jednakiem natężeniu,
Aż się jedno po drugim wypełni w jedną całość.
Gdyby ktoś myślał przypadkiem, że to od razu się stało
(Gdy ciała odskoczyły — powietrze mogło się zgęścić),
Błądziłby: próżnia zwolna zajmuje miejsca części,
Zarazem wypełnia się pustka, przedtem w powietrzu będąca.
Powietrze znów, jak myślę, nie może gęsto się zmacać,
Ani, gdyby już mogło, bez próżni wcale nie zdoła
Zewrzeć się i swych cząstek znowu na miejsce przywołać.

Przeto choćbyś się wahał i sąd swój o tem przewlekał,
Musi się próżnia w przyrodzie okazać z naszych dociekań.
Mogę ci mnóstwo dowodów dać jeszcze na to z pamięci,
Aby wiarę upewnić i w dalszej pracy zachęcić.
Lecz przecie słów niewiele potrzeba mądrej głowie —
Wystarczą ślady prawdy, a resztę sama wyłowi.
Bowiem jak psy myśliwskie, stanąwszy raz na tropie,
Węchem zwierzynę znajdą, choć w puszczy się zakopie,
I pójdą prostą drogą aż do legowisk w gęstwie —
Tak ty, prawdy szukając, celujesz w myśli męstwie,
Sam przez się pewnie idziesz przez jej kryjówki kręte,

Jedno po drugim odkrywasz nieznanne i nieujęte.
A jeśli się trochę lenisz nadstawić myśli i uszu.
Mogę cię o tem jednym zapewnić, mój Memmiuszu:
Z wielkich zaprawdę źródeł tryskają słowa moje
Słodkim i niekłamliwym, i tak bogatym zdrojem,
Że boję się, by pierwiej powolna starość zziębła
Nie weszła w członki nasze i życia nie rozprzegła,
Nim ci o każdej rzeczy prześlę w twe uszy pilne
Dźwięcznym i gładkim wierszem dowody nieomyłne.

Teraz, by znów powrócić do wątku naszych badań,
Gała natura — powtarzam — z dwóch się pierwiastków składa:
Ciała to są i próżnia, w której się ciała owe
Mieszczą i poruszają, układy tworząc wciąż nowe.
Jest materia — to mówi nam zmysł, ten wspólny nam wszystkim;
Gdy byśmy mieli nie wierzyć w świadectwa jego ścisłość,
Nie będzie przy rzeczach ukrytych na czym się oprzeć zgoła,
Ni ustalić rozumem, ni dokąd się odwołać.
Gdyby nie było próżni, to znaczy wolnej przestrzeni,
Gdzie przebywałyby ciała? Jak miejsce mogłyby zmienić?
Nie miałyby pomieszczenia i wcale by nie mogły
Wędrować—jak to przed chwilą wiersze ci moje dowiodły.
Są ciała i jest próżnia. I nie ma nic innego.
Te dwa są elementy — nie znajdziesz już trzeciego.
Bowiem cokolwiek będzie, co tylko da się dotknąć,
Choćby małe, nieważkie, ma swoją treść istotną,
Wiele czy mało przyda do ciała masy całej,
To jednak je powiększy i jednak będzie ciałem.
Znowu, gdy tknąć się nie da ani nie stawi przeszkody
Ciałom, które przez owo miejsce zapragną przechodzić —Będzie tą właśnie
pustką, którą zowiemy próżnią.

Wszystko, cokolwiek istnieje, albo coś czyni i sprawia,
Albo też na działanie innych się rzeczy wystawia,
Albo wreszcie jest takie, że w nim rzeczy są i się dzieją.

Rzeczy bez ciała ni działać, ni cierpieć nie umieją.
Cokolwiek działa lub samo doznaje działania — jest ciałem,
Próżnią zaś jest to wszystko, co rzeczom miejsce daje.
I nie masz żadnej trzeciej istności niezawisłej
Poza ciałami i próżnią, którą byś dostrzegł zmysłem,
Albo też mógł rozpoznać myślą, rozumowaniem.

Zaprawdę, wszystko wkoło, co imię ma, nazwanie,
Będzie więc cechą stałą lub przypadłością materii
Albo też próżni. Do jednej lub drugiej zaliczysz je sfery.
Stałą lub przynależną cechą zwać byśmy mieli
To, co się nie da od rzeczy bez zguby jej oddzielić.
Tak ciężar przynależy niechybnie do kamieni,
Ciekłość do masy wodnej, gorąco do płomieni —
Niewolę zaś, dostatek i biedę, wolność, zgodę,
Wojnę, i wszystko, co przyjściem swem ani wzbogaci przyrodę,
Ani zuboży odejściem, to zwiemy przypadłością.
I czas nie istnieje sam przez się, lecz z rzeczy kolejności
Bierze się w nas świadomość, że to ma teraz trwanie,
To już było, a tamto się po tem dopiero stanie.
Nie da się czas nam odczuć sam przez się w oderwaniu
Od rzeczy będących w ruchu lub w błogiem spoczywaniu.

Jeśli ci też porwanie pięknej Heleny wspomną
I ujarzmienie Troi i ona rzeź ogromną —
Nie sądź, że są to już byty w sobie, a nie przypadłości,
Jako, że ich bohaterów przykryła zasłona przeszłości.

Każde takie zdarzenie, o którym w historii słyszymy,
Możemy zwać przypadłością plemienia albo krainy.
Gdyby nie było materii ni miejsca na działanie
Dla ciałek, tej przestrzeni, w której się czynność stanie,
To ani żar miłosny, córki Tyndara krasą
W piersi Parysa wzniecony, nie dałby bodźca zapasom
Wojny owej, ni rumak-olbrzym, ciosany w drzewie
Rękami chytrych Greków, niszczące ognia zarzewie
Nigdy by nie był rzucił na dumne Pergamu mury.
Przeto ci poznać daję, że innej są natury
Wszystkie, dawne i świeże, przypadki, czyny, zdarzenia
Niżli ciała. Nie mają, jak ciała, własnego istnienia,
Ani też byt im przyznamy taki, jaki ma próżnia,
Ale powiemy — lepiej, i trafnie — że są to przeróżne
Przypadłości rzeczy i miejsca, właściwe krajom,
W których się dzieją, i ludziom, którym się przydarzają.

Ciała, powiemy dalej, to albo zarodki same,
Albo rzeczy ze skupień zarodków zbudowane.
Owoż zarodki rzeczy są trwałe, niewzruszone,
Nieprzenikliwość, zwartość stanowi ich obronę —
Choć się wydaje trudno uwierzyć, aby w ciałach
Mogła nieprzenikliwość objawić się i działać.
Oto przez ściany domów przenika piorun ścigły,
Jak głos i krzyk. Bieleją rzucone w ogień igły:
Kamienie, w żar ciśnięte, pękają w ostrych grzmotach,
Poddaje się gorącu i chłodna bryła złota.
Ciepło i zimno razem przenika srebrne czasze,
Gdy je pod ołtarz bogów podsuną dłonie nasze,
Gdy wonna rosa na nie przesącza się w ofierze.
Wszystko więc przenikliwe — pomyślisz w dobrej wierze.

Lecz ściśle dociekanie i naturalne prawo
Przeczą pozorom. Zatem uwagę skłoń łaskawą,
Aż wkrótce ci dowiodę, gdyś prawdy dość łakomy,
Że są nieprzenikliwe zarodki lub atomy,
I z tych to ciałek pierwszych, niezniszczalnych i wiecznych
Jest cały świat stworzony i wszystkie w świecie rzeczy.

Najpierw tedy rozważmy: skoro dwojaka istnieje
Natura: ciało i miejsce, w którym się wszystko dzieje —
Każde z nich, w swoich celach odmienne i swoiste,
Musi być niezależne i samo w sobie czyste.
Wszędzie, gdzie tylko próżnia rozciąga władzę swoją —
Nie ma tam ciała. Znowu, gdzie same ciała stoją,
Tam być nie może próżni. Z tego wynika jasno,
Że zwartość, nieprzenikliwość stanowi ciałek własność.
Dalej: ponieważ jednak jest próżnia w stworzonych ciałach,
Musi być dookoła materia twarda, stała.
Bo ani dowieść można, ani ma sensu wiele,
Aby istniała wewnątrz próżnia w jakowym ciele.
Gdy jej nieprzenikliwa materia nie otoczy —
Tem zaś, co dzierży próżnię i dookoła tłoczy,
Może być tylko materia. I oto stąd konieczność,
Aby materia miała oprócz zwartości — wieczność
I trwała ona jedna, gdy wszystko inne ginie.

Gdyby nie było tego, co nosi próżni imię,
Wszystko byłoby zwartą masą. A gdyby, przeciwnie,
Nie było ciałek, co miejsce zajmą i dzierżą skwapliwie,
Byłaby cała natura pustką i czczą przestrzenią.
Lecz że ni pełną, ni pustą nie jest wyłącznie, widomie
Wszędzie materia z próżnią łączą się w jej ogromie.

Z ciałek tedy i z próżni składa się nasza ziemia,
Ciała próżnię, a próżnia ciała przetyka na przemian.
Rozbić ich nie potrafi zewnętrzne uderzenie,
Wniknąć w nie nic nie zdoła za żadnych sił zrzędzeniem.
Nigdzie, nigdy i znikąd, jak już dowiodłem wyżej,
Zarodkom, ciałkom wiecznym nie można zguby wyrzec.
Brak próżni nie pozwoli na żadne przeniknięcie
Ani rozpołowienie pod jakimś ostrem cięciem,
Podobnie jak bez próżni nie wchłonie ciało zimna
Ani nie przyjmie żaru materia niegościnna.
A znowu— ile jest pustki w jakiegoś ciała treści,
Tyle ono niszczących warunków w sobie mieści.
Zatem, jeśli brak próżni cechuje ciała stałe,
Muszą być one wieczne, jak to już okazałem.

Dawno by już bez tego wszystko w obrębie źrenic
Mogło się brać z niczego i znów się w nic zamienić.
Ponieważ zaś wiadomo, że nicość nic nie tworzy
żadna rzecz nie może ze szczętem się w nicość rozłożyć,
Przeto zarodki wieczne muszą być jądrem rzeczy,
Aby w nich treść została, kiedy się kształt niweczy,
Aby w rozkładu chwili materii nie ubyło,
Aby znów coś z niej wzrosło, nową zbudzone siłą.
Nieprzenikliwe, wieczne — są ciała tą podstawą,
Na której nowe kształty układa życia prawo,
By wciąż odnawiać się mogła wieczność nieustająca.
Zresztą gdyby natura nie dała zgubie końca,
Wtedy dłoń twarda czasu tak by skruszyła ciało,
Ażby nic już nareszcie trwałego nie zostało
I wszystko, co zarodki mogłyby jeszcze stworzyć,
Byłoby już zbyt wątłe, by wieku swego dożyć.

Widać przecie, że łatwiej zniszczyć się daje wszystko,
Niżli na nowo sprawić. A wieczne dni kolisko
Gdyby burzyło tylko, świat niszcząc aż do śladu,
Nic by nie mogło nigdy zachować czasu i ładu.
Uczy nas rzeczywistość, że wszystko się odradza,
Że dla każdego tworu mądra natury władza
Określa czas powstania, rozkwitu i upadku,
Że i zguba gdzieś musi mieć kres swój na ostatku.

Mimo, iż rzeczy zarodki są zgoła nieprzenikliwe,
Łatwo zrozumieć będzie, dlaczego twory żywe,
Czemu powietrze, woda, ziemia i żar płomieni
Mogą się ugiąć w sobie, ustąpić swej przestrzeni —
Jeżeli przy materii, z której się każde składa,
Przyjąć istnienie próżni i jej znaczenie badać.
Za to bez próżni nigdy nie zdoła nikt wysledzić,
Skąd w krzemieniu, w żelazie, tyle twardości siedzi.
Cała ich tęgość bowiem utraci swą przyczynę,
Gdyby atomy uznać za miękką mieszaninę.
Mają one niechybnie nieprzenikliwość trwałą
I jeśli większa ilość skupi się w jedno ciało,
Może ono okazać moc wielką, silne trwanie.

Dalej, gdyby się ciała kruszyły nieustannie,
Musiałyby od wieków przetrwać jakieś drobiny,
Ażeby mogły powstać rzeczy, które widzimy,
Jeśli zaś teraz przyjmiemy, że krucha jest ich budowa,
Jakże się mogły dotąd utrzymać i dochować,
Kiedy przez lat tysiące wciąż w natężonej mierze
Drżały od gwałtowności katastrof i uderzeń?

Gdy też, jak jasno widać, każdy z przedmiotów znanych
Według rodzaju ma normę istnienia i przemiany,
Oraz z woli natury granice nieprzestępne,
Co może lub nie może czynić, i w jakim tempie;
Skoro nic się w gatunkach nie zmienia, prócz pokoleń,
Tak że ptaki dziedziczą piór kształty, barwy swoje —
To zgoła jest konieczne, by twory jednakowe
Z jednakiej wciąż materii ród brały i budowę.
Bo gdyby się zarodki materii zmienić dało
(Mniejsza już, jaką drogą naruszyłbyś ich stałość),
Zmianie za każdym razem uległoby i ciało.
Żadna by rzecz nie miała granicy sobie właściwej,
Dnia i racji narodzin i śmierci, a twoty żywe
Nie mogłyby w dzieciństwie przejmować po rodzicach
Natury ruchów, zwyczajów, wyglądu, barwy lica.

Zarodek, sam tak drobny, że go nie dojrzysz zgoła,
Ma jakąś część najmniejszą; tej dzielić już nie zdołasz,
Ten atom nie ma części i sam dla siebie, luźny,
Nie istniał nigdy przedtem, nie będzie istnieć później.
Będąc sam częścią czegoś z szeregu innych części,
Buduje jakiś zarodek, gdy szereg się zagęści.
Inne, jemu podobne, a raczej równe całkiem,
Stanowią treść spoistą, złączone ciało z ciałkiem.
Nie żyjąc samoistnie i przez się też nie trwając,
Ani się wyodrębnić, ani się wyrwać dają.
Mocą zarodków — zwartość, spoista jednolitość,
W nich bo natura mądra nasiona dając bytom,
Chowa maleńkie części bez szparek, skaz i szczelin,
Z których już żadna siła nie zdoła nic oddzielić.

I nie są te zarodki z mnogości drobin zbite;
To ciała trwale spójne, wieczycie jednolite.

Gdyby nie przyjąć atomu za cząstkę ograniczoną.
Najmniejszą, trzeba by przyjąć w nim cząstek nieskończoność.
Swoją bowiem połowę mieć będzie każda połowa
I, dzieląc części, ciągle można by dzielić od nowa.
^{^fs28}Wtedy między wszechświatem a cząstką najmniejszą, atomem.
Żadnej byś nie odnalazł różnicy logicznie widomej;
Bo jeśli całość będzie ogromna, wielka bezmiernie,
To i atomy bezmiarem odpowiadałyby wiernie,
Jako bez granic podzielne. Na taki w rzeczach porządek
Burzy się umysł badacza i zgoła prosty rozsądek.
Musisz więc wyznaczyć w końcu, że są te najmniejsze drobiny.
Których już nie podzielił. Są dla tej samej przyczyny
Nieprzenikliwe, wieczne. Gdyby natura wreszcie.
Tworząc rzeczy, najmniejsze dzieliła bardziej jeszcze,
Gdyby się wszystko wciąż dalej bez końca rozdrabniało,
Nigdy by wstać nie mogło na nowo żadne ciało.
Bo szczątki tak zmalale nie mogą mieć walorów,
Które materia rodna mieć musi dla swych tworów:
Więc zdolności ciężenia, ruchu i uderzania —
Tego, co jest niezbędne dla rzeczy powstawania.

Dlatego ci, co w ogniu znaleźli treść istności,
Wierząc, że wszystko z ognia wywodzi się najprościej,
Bardzo się zabłąkali, niezdarni myśliciele,
Z Greczynem Heraklitem, przywódcą swym, na czele.
Sławny on u niektórych ze swoich współplemiennych
Ze swych słów i wyrażeń nie mądrych, ale ciemnych.

Wszędzie najbardziej bowiem wielbią i cenią głupcy
Mędrków którzy potrafią misternem słowem kupczyć,
I zawsze prawdą będzie dla ich mizernej duszy,
Co tajemniczo, dziwnie i dźwięcznie brzęczy w uszy.
Jeśli to wszystko tylko z ognia — to ktoś zapyta,
Czemu jest różnorodność rzeczy tak rozmaita.
Na nic dowód, że ogień gęstnieje raz, raz rzednie,
Jeśli przedmioty z ogniem mają natury jednię.
Wtedy, gdy większa gęstość — powstałby żar płomienia;
Mniejsza — wtedy się tylko potęga ciepła zmienia.
Nic nie wyniknie nadto z tych uproszczonych przyczyn,
Choć ktoś, fałszywe racje podając, głośno krzyczy.
Nie ma cienia powodu, by rzeczy różnorodne
Miały się nam tłumaczyć gęstym lub rzadkim ogniem.
Zresztą wtedy dopiero żar gęsty i gorący,
Lub rzadszy, chłodny będzie, gdy próżnię doń dołączyć.
Że zaś biedakom Muzy masę sprzeczności kładą —
Bojąc się uznać próżnię, tak przeczą prawdy śladom,
Że w strachu nad przepaścią do reszty gubią drogę.
Nie widzą, że bez próżni musi być stały ogień,
Że wszystko byłoby wtedy spoiste, niczem kamień,
Twarde — niczego z siebie wysłać nie byłoby w stanie.
Widać przecie, jak ogień śle ciepło, blask płomienia;
Nie jest więc wcale ścisły, skoro w oczach się zmienia.
Jeśli zaś wierzą oni i głoszą taką bzdurę,
Ze ogień gaśnie skupiony i zmienia swą naturę,
Jeśli nie dadzą znowu żadnej granicy temu —
Dawno już zgaśnie ogień podczas ich żmudnych przemów
I jako rzeczy tworzywo nicość im pozostanie.
Cokolwiek bowiem w przemianach wyjdzie poza swój kraniec,

Umiera i już nie ma tego, co przedtem było.
Musi więc być coś stałego, co oprze się wszelkim siłom,
Aby ci wszystkie rzeczy nie obróciły się w nicość,
By powstać znów z niczego — przez jakąś moc tajemniczą!
Skoro istnieją takie najbardziej pewne ciała,
Których właściwość, natura, jest zawsze ta sama, stała,
Za których porządku zmianą, przybytkiem lub ubyciem
Zmieniają się przedmioty, natura ich i życie —
Jasne, że one z ogniem nie mają nic wspólnego.
Byłoby bez znaczenia przydawać sens ich biegom,
Zmieniać ilość, porządek, gdy ich natura stała,
Ognista będąc, różne wydając z siebie ciała
Zawsze i tylko jedno mogłaby tworzyć: ogień.
Prawda jest taka, myślę: że owe ciała mnogie,
Których zbieg, ruch, porządek, kształt, układ odpowiedni
Wytwarzać może ogień w warunkach ciągle jednych,
Gdy zmienić ich porządek, zmieniają też swą własność.
Nie są to ciała-ogniki, nie parzą, nie świecą jasno,
Nie są podobne do żadnej rzeczy, mogącej wysłać
Ku nam ciałaczka, co znajdą odczucie w naszych zmysłach

Mówiąc, że wszystko z ognia i że z niczego więcej,
Że nic prócz ognia nie ma — trzeba być wprost szaleńcem.
Sam bo Heraklit jawnie podważa własne tezy,
Gdy na podstawie zmysłów przeciw tym zmysłom wierzy.
Dzięki nim przecie mógłby szersze poznanie odnieść.
Jak dzięki nim się poznał ze swym powszechnym ogniem.
Wierzy biedak, że zmysły poznają ogień. Zgoda.
Lecz że nie tylko ogień — nie wierzy. Mała szkoda!
Już nie próżne to dla mnie gadanie, lecz zgoła szalone.
Cóż zostanie, gdy rzucić na wartość zmysłów zasłonę?

Czemże fałsz odróżnimy? Jak dojdziem prawdy rzeczy?
Czemu wreszcie, jeżeli już zmysłów świadectwom przeczyć,
Ogień tylko uznawać, a wszystko inne mieć za nic,
Nie zaś ogniowi przeczyć i wierzyć we wszystko poza nim.
Jedno czy drugie twierdzić, to w równym być obiedzie.

Toteż ci, którzy widzą ogień i ogień wszędzie
I o naturze ognistej długie prowadzą wywody,
Ci także, którzy myślą, że wszystko rośnie z wody.
I ci, co wierzą w powietrze jako wszechrzeczy tworzywo,
I ci, co w ziemi widzą jedyną matkę prawdziwą,
Z której się wszystko rodzi (bo różni różnie sądzą) —
Wszyscy z dala od prawdy po krętych ścieżkach błądzą.
Dodaj tych, którzy dwie upatrują świata przyczyny:
Ogień razem z powietrzem, lub ziemię i wodę. I innych,
Wedle których są cztery zarodki wszelkiego istnienia,
Cztery materie: powietrze, woda, ogień i ziemia.
Pośród tych wszystkich Empedoklesa z Agrygentu
Postawimy na czele — męża wielkiego talentu,
Chlubę wyspy trójkątej, którą błękitem swej fali
Morze Jońskie obmywa i dzieli od brzegów Italii.
Tam to przepastna Charybda, charcząca głodnym gardłem,
Gorzką wypluwa pianę, co kruszy skały twarde.
Tutaj kraterzy Etny pomrukiem grożą wściekle,
Aby na ziemię znowu wylać się żywem piekłem,
Aby wydarłszy z gardła płomień podziemnych głębin
Znów się aż pod niebiosą czerwonym błyskiem skłębić;
A choć ten kraj rozległy powszechny podziw budzi,
Chociaż doń zewsząd ciągną ciekawe tłumy ludzi,
Choć pełen jest dostatków i nieubogi w mężów,
W osobie tego mędrca sam siebie przewyciężył.

Wszędzie on tu pamiętny i czczony jest, jak święty,
A pieśni jego mają taki czar niepojęty
I tyle prawdy głoszą, że trudno wierzyć zgoła,
Że z ludzi się narodził ten, kto tak umie wołać.

Jednak i on, i tamci, którzy od mędrca z Sycylii,
Jako już wyżej rzekłem, we wszystkim słabsi byli,
Chociaż odkryli dużo, mnóstwo zbadali dziedzin
I na moc pytań trafne dawali odpowiedzi,
Bardziej natchnione i brzmiące i pewniej, i rozsądniej,
Niż Pytia w laur spowita, która z trójnoga sądzi,
Jednak i on, i wszyscy, u źródeł wszystkich przyczyn —
Potężni — tego padli, zbywszy się swych zdobywcy.
Najpierw dlatego, że zdolność ruchu przydając rzeczom
Przeczą możliwości ruchu, gdy wszelkiej pustce przeczą.
I chociaż ciałom miękkim i rzadkim nie przeczą istnienia,
Takim jak słońce, ogień, powietrze, rośliny, ziemia,
Zwierzęta — jednak nie widzą, że musi być próżnia w tych ciałach
Twierdzą dalej, że każda rzecz, choć nie wiem jak mała,
Może się dzielić i kruszyć bez końca. A to jest nieprawda.
Bowiem jak z rzeczy widzialnych częśćkę posiada każda
Jakaś najmniejsza, że mniejszej już zmysły nie dostrzegą,
Tak w niewidzialnych ciałkach musi być coś najmniejszego.
Dodaj i trzeci powód: że ich pierwiastki ciałek
Są, według ich mniemania, i miękkie, i niestałe —
A wiemy, że co tylko miękkiego rodzi ziemia,
To jest do cna śmiertelne i wiecznych nie zna przemian.
Tedy natury całość byłaby w nicość rozbita,
Wszystko by znów musiało jawnie z niczego wykwitać.
Jak to jest nieprawdziwe, sam łatwo już rozpoznasz,
Bo z niezgodzonych części każda, dla innej groźna,

Będzie się zwierać, walczyć, i albo wszystkie zgina,
Albo rozpierzchną się wzajem, jak to burzliwą godziną
Widać pędzące od siebie pioruny wichry, deszcze.

Gdybyś w te cztery żywioły uparcie wierzył jeszcze,
Z których się wszystko bierze, do których wszystko wraca,
Czemu nie widzieć sprawy na opak, nie mówić raczej,
Że wszystkich ciał różnaitość jest czterech żywiołów początkiem?
Wszakże i one wzajem się rodzą odwiecznym porządkiem.
Wygląd, całą naturę oddają jedno drugiemu.

Jeśli myślisz może, że kiedy z ogniem ziemia,
Że wiatr z wilgotną rosą gdy się ze sobą łączą,
Natury swej nawzajem nie tracą i nie płaczą —
Wiedz, że się nie narodzi z nich żadne nowe ciało,
Ni z duszą, ni bez duszy, jak drzewo albo gałąź.
W kupie pstrej zbieraniny wszystko się da oddzielić
I będzie widać ogień spomiędzy ziemi szczelin.
Osobno znów powietrze, osobno wodna rosa —
Każde wnosi do związku swych właściwości posag.
Prawdziwe ziarna rzeczy inne mieć muszą własności.
Oczom niewidne, dyskretne, takie, które całości
Nie przeszkodzą, by miała cechy swoiste, własne.

Oto mędrzy ci śmiało sięgają w niebo jasne
Mówiąc, że najpierw ogień w powietrze się zamienia,
Z powietrza deszcz, a z deszczu robi się znowu ziemia.
Z ziemi znów wszystko wraca, tylko w odwrotnym szyku:
Woda, a potem wietrzyk, a potem żar płomyków.
Wszystko to krąży wiecznie, wszystko się gładko spleta,
Dążąc do ziemi z nieba, z ziemi do gwiazd wszechświata.

Tego czynić nie mogą zarodki w żaden sposób,
Bo musi coś stałego pozostać wśród kosmosu,
Żeby się wszystkie rzeczy nie obróciły w nicość.
Bowiem co tylko w zmianie przekroczy swe granice,
Umiera i już nie ma tego, co przedtem trwało.
Jeżeli więc żywioły wzajem się wymieniają,
To muszą (wciąż powtarzam) z takich się ciałek składać,
Których nie można rozbić, umniejszyć ni rozkładać,
Aby nie zaginęło wszystko nie wiedzieć kędy.
Czemuż nie przyjąć raczej, że różne ciała będą
W pewnym układzie stałym wytwarzać ognia zarzewie,
A potem, gdy im ująć lub dodać części pewne.
Dadzą powietrze, wodę, i że tą drogą przemian
Wiecznie i różnorodnie stroi się nasza ziemia?

«Jakże — spytasz — zaprzeczyć taki fakt niewątpliwy,
Że wszystko się pnie ku powietrzu i że się z ziemi żywi?
Że gdyby nie przychylna wiosennych burz ulewa,
Kiedy pod chmur powiewem stęsknione gną się drzewa,
Gdyby nie ciepło słońca i jego światło złote,
Nic by tu żyć nie mogło, widziałbyś w krąg martwość.»
Zgoda! I gdyby ciał nam nie wzmacniał napój i pokarm,
Prędko by kształty nasze w twardości swej i w sokach
Nikły i rychło życie odeszłoby nas całkiem;
Krzepią nas bowiem ciała płynne, stałe i miałkie,
Inne zaś ciała krzepią odmiany tworów inne —
Dlatego, że w naturze masz wielką mieszaninę:
W różnych gatunkach rzeczy wiele jest wspólnych ciałek,
Stąd masz sposoby życia dla stałych odmian stałe.
Ważne jest także, jakie zarodki z jakim gronem

Schodzą się w jednym ciele i jak są ułożone,
Takie wśród siebie ruchy stosują ich układy —
Bowiem te same tworzą morze i wysp gromady,
Słońce, niebo, powietrze, żywe stworzenia, zboże —
Tylko ich ruch jest inny i inny kształt położeń.
Oto w mych własnych wierszach odnajdziesz, przyjacielu,
Wiele jednakich liter, wspólnych wyrazom wielu,
Przyznasz jednak, że słowa i każdy z nich heksametr
Ma inny dźwięk, treść inną, znaczenie nie to samo —
Tyle potrafi zdziałać zmiana układu liter;
Ale zarodki rzeczy są bardziej rozmaite,
Z nich nieskończone powstaje bogactwo form materii.

A teraz przejdźmy jeszcze do greckiej homeomerii,
Którą Anaksagoras stworzył, a której treści
W naszej ubogiej mowie żaden wyraz nie zmieści,
Chociaż sens tej nauki nie trudno oddać w słowach.
W myśl Anaksagorasa homeomeria owa
Uczy, że z małych kostek powstają kostki wielkie,
Z mięsek — mięso, a z drobin rosną olbrzymy wielkie,
Że krew z małych krwinek tworzy się tym systemem,
Co złoto z kruszyn złotych, a ziemia z małych ziemek.
Podobnie mnogość ciecżyn ocean da w wyniku,
A płomień zajaśnieje z małych podpłomyków.
Takie to jest rozkoszne, lecz wierzcicie, czy nie wierzcicie,
Mówi on to poważnie o wszystkich tworów reszcie.
Razem jednak odrzuca próżnię do ciał włączoną
I kres kruszenia ciałek odsuwa w nieskończoność.
Dlatego zdaje mi się, że w swym systemie całym
Błądzi, jak ci, o których przed chwilą już pisałem.

Dodaj, że z zarodkami w fałszywe trafił sedno,
Bo cóż to za zarodki, które z rzeczami jedną
Mają naturę, i taką samą zmuszone przyczyną
Zmieniają się, starzeją i wreszcie marnie giną.
Cóż je osłoni bowiem w niechybnych czasu pociskach?
Czy się potrafi wyrwać po prostu śmierci z pyska
Ogień, woda, czy wicher, a może krew, lub kości?
Nie, zaiste! Jak wszystko podległe śmiertelności.
Będą zarodki niknąć, jak rzecz, co jeszcze tu była
Niedawno, a oto zginęła, zmożona jakąś siłą.
Świadczę się prawdą rzeczy, którą przedtem dowiodłem,
Że nic z nicości nie może powstać na żadną modłę,
Ani się w nicość obrócić. A stąd, że żywi nas pokarm,
Wnosić nie można, że nasze żyły i kości, posoka

Jeśli zaś mówią: pokarm składa się z mieszaniny.
Ma w sobie krew i żyłki, i kostek odrobiny —
Wtedy przyznaj, człowieku, że rozmaitość cała
Jest w pokarmie każdym pokrzepiającym ciała,
Że każdy składa się z obcych i różnorodnych części:
Razem ze krwi i kości, razem ze ścięgien i chrząstek.
Dalej, jeśli ciał mnogość, z ziemi wyrastająca,
Tkwi w tej ziemi, to rzeczy obcych masz w niej bez końca.
Przełóż to i dopasuj do wszelkich innych dziedzin:
Znajdziesz wciąż jedno słowo tej samej odpowiedzi.
Kryje się (weźmy drewno) płomień, dym, popiół w drewnie
Drewno z tych rzeczy obcych składa się jak najpewniej.
Wreszcie wszystko, co ziemia odżywia i pomnaża

Z ciał obcych, różnorodnych, które powstają z drewna.

W takich wypadkach zostaje jeden słabiutki wybieg.
Użył go Anaksagoras, mówiąc, iż w rzeczy trybie
Test tak, iż w każdym ciele są wszystkie, lecz tylko niektóre,
Te najliczniejsze i wierzchnie, jawią w nim swoją naturę.
Marne to tłumaczenie tak wikłać treść wszechrzeczy
I wbrew codziennym faktom niezbędnej prawdzie przeczyć.
Wtedy bo z ziaren zboża, kiedy je kruszą żarna,
Szlaby strugami chyba krew czerwono-czarna
Albo coś, co się w ciele człowieka z jadła tworzy.
Równie by z ziół wszelakich krwi strumień tryskał może,
Kiedy je trzeć w kamieniach, a z wody by pociekła
Ciecz jakaś, słodka pewnie i chyba także ciepła,
Mleku podobna, które z wymienia owiec płynie.
Widać by było także w rozdartej ziem głębinie
Roślin zarodki, liście, owoce w drobnych ziarnkach.
Skryste w glebie rodzajnej w równiutkich, małych miarkach,
A w każdym rozłupanem czy przełamaniem drewnie
Dym, nawet popiół, nawet ogień dałby się dostrzec pewnie.
Ale że tego nigdy nie stwierdzisz w ciałach żadnych —
Wiedz, że nie ma w naturze mieszanin tak nieskładnych,
Że w rzeczach wszystkich zarodki im wszystkim wspólne drzemią,
A różność rzeczy zawdzięczasz różnym tych ziarn połączeniom.

«A jednak — rzekniesz na to — pod nagłem wichru skrzydłem
Kiedy zetrą się z sobą drzew szczyty niedościgłe
Na zboczach gór wyniosłych, to czasem się wydarzy
Błysnąć im kwiatem ognia i wokół las rozżarzyć».
Słusznie, lecz nie ma w drzewach płomienia, tylko mnogie
Żaru zarodki, co w tarcu potrafią wzniecić ogień
W całej połaci lasu. A gdyby żar już gotów

Krył się z natury w drzewie, buchał bez burz i grzmotów,
Nie mógłby tak się przyczaić, lecz dawno już swą potęgą
Spaliłby lasy i gaje na całym ziemskim kręgu.

Po tem. co rzekłem wyżej, czy jest ci zrozumiałą
Niezmierna waga tego, jak ciała się mieszają,
Jak się ułożą przy sobie, jakich doświadczą zderzeń;
Że od tego wszystkiego jedynie będzie zależeć,
Czy stworzą ogień, czy drewno. Podobnie rozpatrz szyk znów
Kilku tych samych liter w wyrazach «ignis» i «lignum.»
Nie tylko, że znaczenie wyrazów nie jest jedno,
Bo pierwszy znaczy: ogień, a drugi znaczy; drewno,
Ale odmienne jest także obu wyrazów znaczenie.
Wreszcie, jeśli uparte wciąż żywisz przeświadczenie,
Że wszystko w przyrodzie, na co oczyma co dzień spozierasz,
Na podobieństwie ziaren z rzeczami się musi opierać,
Niech będzie — a ja ci wysnuję stąd wnioski oczywiste,
Że się zarodki twe śmieją i ronią łzy rześiste.

Więc poznaj, co zostało, i poddaj słuchu baczniej.
Wiem ja, jak to jest ciężko, gdy prawdy szukać zaczniesz.
Ale w mem sercu mocnem oprócz miłości do niej
Jasna nadzieja sławy i cześć dla sztuki płonie.
Niemi to uskrzydłony, w myślach i chęciach szczery,
Stopą niczyją nie tknięte zdeptują szlaki Pieryd.
Miło do czystych krynic przystąpić pierwszy z ludzi,
I nieskalaną wodą żar własnej piersi studzić.
Milej Muz kochankowi iść wzwyż po takie wieńce.
Które ozdobią skronie mnie i nikomu więcej.
Uczę o wielkich rzeczach i stromą idę drogą,

Rwąc religijne więzy i kłam zadając bogom,
A choć w ciemności wkraczam, by dobyć prawdy system.
Patrz słów mych: jakie dźwięczne! patrz pieśni: jak przejrzyste!
Bo zdaje mi się słuszne tak czynić, jak lekarze:
Dając lekarstwo dzieciom w piołunu pełnej czarze
Najpierw dokoła puchar omażą złotym miodem,
Aby kapiyśne wargi przynęcić przez osłodę,
Razem zaś, oszukawszy w językach małą dziatwę,
Dają jej przełknąć leki złe w smaku i niełatwe,
I tak podstępem, z tkliwej płynącym o nie pieczy,
Podadzą dziecku piołun, co dzielnie je wyleczy.
Tak też ja, skoro gorzka wydaje się nasza nauka
Tym, którzy nie przywykli jej śladem prawdy szukać.
Tłum zaś cofa się przed nią — chcę tobie słodkodźwięczną
Pieśnią wyłożyć prawdę, na wierzchu kładąc piękno.
Może też myśli trudność Muz miodem z brzegu kraszając
Ducha delikatnego znęcę poezją naszą
I czarem jej uwięzę — ty zaś przy pieśni wtórze
Poznasz prawdę rzeczy i prawa rządzące w naturze.

Że już dowiodłem jasno ciałek nieprzenikliwość
I to, że od zniszczenia bezpieczny jest ich żywot,
Zbadać należy jeszcze, czy jest ich nieskończoność,
Czy nie. A dalej próżnia; czy kres jej wyznaczono,
Lub, jak wolisz, czy przestrzeń, w której się wszystko dzieje,
Ma koniec, czy też nie ma, a jeśli ma, to gdzie jest,
Albo — czy nieskończenie i wszędzie się rozdłuża.

Całość natury wszelkiej jest nieskończenie duża
I nigdzie granic nie ma. Bo gdyby jaki kres był.

To (jak we wszystkim innym), tak i tu z krańca też by
Musiał być punkt, leżący już poza światem całym,
By dalej nasze zmysły nic dojrzeć nie zdołały.
Że nic za wszechcałością już nie ma, każdy przyzna;
Bezczesna więc, bezmierna wszechrzeczy jest ojczyzna.
Jedno jej, w jakim miejscu spojrzalbyś na jej obszar,
Bo wszędzie, gdzie przystaniesz, wciąż całość masz na oczach
I zewsząd cię otacza jej ciągła nieskończoność.
Zresztą, gdyby i przyjąć przestrzeń ograniczoną,
Pomyśl, żeś wybiegł wreszcie na jakiś z boku kraniec
I rzucasz lotną strzałę. Zważ teraz — co się stanie?
Czy pocisk pójdzie naprzód, wysłany ramion siłą,
Aby polecieć lekko, dokąd mierzone było —
Czy też coś mu się oprze i w dalszym biegu wstrzyma?
Jedno lub drugie wybierz: trzeciego wyjścia nie ma.
Lecz cię te oba wyjścia zmuszą, byś przyznał szczerze,
Że nigdzie świata ogrom granicy nie przybierze.
Bowiem, czy strzale w drodze przeszkodzisz gnać swobodnie,
Czy lekko lecieć każesz—jedno stąd musisz odnieść:
Żeś znów, mój przyjacielu, nie wyszedł spoza granic
Natury, i wykręty wszelkie tu będą na nic;
Bo choćbyś mi obiegał w przestrzeni punkty wszystkie,
Wszędzie cię ścigać będę i pytać: cóż z pociskiem?
Ucieczkom jego nie ma granicy ani końca.

A nawet jeśli przyjąć, że wszechobejmująca
Przeźródź ma zewsząd krańce pewne i niewzruszone,
Wtedy materia cała nie w żadną inną stronę,
Jeno by swoją masą na samo dno opadła
I nad ziemią, na niebie, rzecz by nie była żadna.

Może by nieba nie było ani słonecznych błysków,
Bo wszystko by się gniotło razem na rumowisku.
Inaczej jest naprawdę. Spoczynku ani spokoju
Ciała pierwotne nie znają. Bo nie ma żadnego dołu,
Spodu żadnego, gdzie mogłyby wszystkie razem spłynąwszy
Stałe założyć siedziby, i nigdy się ruch nie kończy.
W każdym miejscu i czasie coś dzieje się i staje,
Z nieskończoności szczytów pędzą, gonią się wzajem
Chyże ciała materii w tę, tamtą, w każdą stronę.
Widzimy wreszcie, że jedno jest zawsze ograniczone
Czemuś drugim. Górę od góry dzielą powietrzne przestworza,
Morze jest ziemi granicą, a ziemia granicą morza.
Ale całości wszechrzeczy już nic nie ogranicza,
Jest bowiem przestrzeń świata tem w sobie tajemnicza,
Że jej ogromu nigdy, na ziemi, w niebie, wszędzie,
Żadne pioruny ściśle nie zdążą zmierzyć w pędzie
Ani nie sprawią lotem, by choć o cząstkę małą
W tę albo tamtą stronę mniej drogi pozostało,
Lecz jest dla wszystkich rzeczy otwarta wszędy droga.
Nic samo sobie kresu nie stawia; bo przyroda
Rządy sprawuje takie, że gdzie się ciało kończy,
Próżnia jest, i znów ciało, i znów się z próżnią łączy.
W ten sposób nieskończoność ma sens swój i harmonię,
Bo choć się jedno kończy i drugie pójdzie po niem,
To i tak będzie zawsze ciągnąć się w dal bezkresną.

Ni morze, ani ziemia, sklepienie ciał niebieskich,
Ludzi rodzaj śmiertelny, ni świętych bogów postać,
Nic by nie mogło ani na jedną chwilę się ostać.

Bowiem ze skupień wyrwana całej materii mnogość
Gnałaby poprzez próżnię nie wiedzieć jaką drogą.
Nigdy by też niczemu nie dała z siebie życia,
Zejsć się z sobą nie mogąc i zebrać się z rozbitcia.

Na pewno nie jakimś planem wiedzione materii zarodki
Byстрыm dowcipem znalazły właściwe swe ośrodki,
Ani każdemu każdy udzielił miejsca chętnie.
Lecz że się skład ich zmieniał od czasów niepamiętnych,
Lecz że pod mnóstwem ciosów prac w próżnię nieskończenie
Wszystkie układy i ruchy sprawdziły doświadczeniem,
Aż po tych biegach i ciosach do takich doszły złożzeń,
W jakich się mogła narodzić wszystkość rzeczy i stworzeń.
Tak się też dochowawszy przez całych wieków lata
Dają codzienny obraz rzeczywistego świata,
Czyniąc, że rzeki w morze wlewają hojne wody,
Że pod spojrzeniem słońca ziemia odnawia swe płody,
Że plemię żywych stworzeń mnoży się i rozwija
I że w eteru bezdni gwiazd ogień nie przemija.
Pomyśl, na wszystko patrząc, jakżeby to się działo,
Gdyby wciąż napływ z zewnątrz nie równał rzeczy całość,
Gdyby w czas nie zyskały, co same z siebie tracą.
Bowiem jak nikt nie ciało trawione ciągłą pracą,
Nie pokrzepione jadłem, tak wszystko inne ginie.
Jeśli równa ubytkom materia nie dopłynie,
Czemś zatrzymana w drodze. A wszelkie uderzenia
Z zewnątrz nie mogą materii utrzymać w jej skupieniach.
Bywa, że siła ciosu jest dosyć długotrwała.
By nowa armia nasion z pomocą nadleciała;
A jednak nawet wtedy po samem uderzeniu

Odbije się, odskoczy napastnik, i w skupieniu
Swobodnem od nacisku popłoch się wnet rozszerzy,
Niejedno umknie ciało, nim nowy cios uderzy.
Przeto wciąż nowe i nowe rodzić się muszą nasiona
I musi być materia zasobem nieskończona,
By ciosom i ubytkom uczynić zawsze zadość.

W tych rzeczach jeszcze bardziej strzeż się dać zwieść, Memmiado,
Ludziom, co mówią, że prze ku środkowi wszystko na świecie,
Że ziemię z każdej strony wszystko do środka gniecie,
Że tak bez ciosów z zewnątrz natura dotąd stoi.
Nie zna. co dół, co góra, rozpędu się nie boi,
Bo wszystko środek trzyma (jak gdyby mógł coś trzymać!).
Mówią też. że ciężary leżące popod nami
Ciężą do środka ziemi, podobnie jak my sami.
Zwrócone ku nam, jak w wodzie odbicie z naszą twarzą.
Dalej, że żywe twory nogami w górę łążą,
A spaść nie mogą w przestrzeń, równie jak nam nie sposób
Własną siłą od ziemi odbić się w dal niebiosów
Wbrew ciężarowi ciała. I jeszcze bają w końcu,
Że lud z dołu w noc naszą — patrzy w oblicze słońcu,
A widzi noc, gdy my już daremnie gwiazd szukamy.
Że u nich lato, kiedy my tutaj zimę mamy.
Próżne to urojenie

Które głupcy

Nie może być takiego środka.

Nieskończone. W ogóle jeśli już jest

Może tam dążyć cokolwiek

Nie zaś, przeciwnie

Albowiem każde miejsce i przestrzeń, zwana próżnią,

Przez środek, nie przez środek, wszędzie jednak, równo
Ustąpi, kiedy ciężar czy ruch się tani pojawi.
Nigdzie też miejsca nie masz, gdziebyś mógł ciała postawić
W próżni i całą wagę jakimś im cudem odjąć.
Co zaś do wolnej przestrzeni (próżnię rozumiem pod nią) —
Musi mieć pustki naturę i nie da niczemu oporu.
Nigdy więc tak się rzeczy nie tłoczą wedle wyboru,
Jednem gnane pragnieniem: by jak najbliżej być środka.
Zresztą ten domysł dziwny w różnych odmianach spotkasz.
Niektórzy mówią, że tylko ziemia i ciała ciekłe
Oraz te, co mieszkają aż w łonie ziemi ciepłym,
W morzu, w górach, do środka ciężą niepowstrzymanie,
Wiatr zaś, ogień — przeciwnie — inne ma zachowanie,
Gnając w pustkę od środka, i oto czemu właśnie
Mają na niebie naszym komety, gwiazdy jaśnieć.
Przez to też po niebiosach błądzi promień słoneczny,
Gdyż z gorąca ucieka od środka ruchem koniecznym.
Pono i drzew gałęzie, podane w nieba stronę,
Dlatego pokarm z ziemi okrywa w liście zielone.

Żeby i krańce świata na modłę lotnych płomieni
Nie rozprysły się nagle po całej pustej przestrzeni,
Aby z tej samej racji, w podobny jakiś sposób,
Nie spadły nam na głowę grzmiące sklepienia niebiosów,
By nam spod stóp nie znikła ziemia, a za nią wszystko
Nie zważyło się nagle w przepastne rumowisko,
Skądby pierwotne ciała ze wszystkich prysły ośrodków,
Nie zostawiając prócz próżni i niewidzialnych zarodków
Nic. Bo jeżeli powiem, że z tej lub innej strony

Braknie ciałek pierwotnych, wśród próżni rozdzielonych,
Tędy gwałtownym biegiem, jak niewstrzyniany strumień
Cała materia w bramy śmierci niechybnie runie.

poznasz to z małym trudem. Słowo przydając słowu,
Myśl do myśli — w ciemności odnajdziesz drogę znowu,
Wszystkie natury cuda przejrzyś umysłem własnym,
Gdy każda rzecz następną rozświetli blaskiem jasnym.

Koniec księgi pierwszej

KSIEGA DRUGA

Miło w czas burzy morskiej, gdy życia sam nie narażasz.
Patrzeć z brzegu na trudy wichrem gnanego żeglarza.
Nie stąd, że cudza męka radość ci może przynieść,
Lecz że przykrości widzisz, które gdy zechcesz — ominiesz.
Miło też walkę mężów oglądać w wielkich bojach.
Gdy z daleka bezpieczna całość i wolność twoja.
Ale najmilej zając wyniosłe miejsca na szczytach
Myśli, gdzie rządzi wiedza, wysiłkiem mędrców zdobyta,
Skądbyś patrzył pogodnie na wszystkich wkoło bliźnich,
Jak, drogi życia szukając, po ziemskiej błędą ojczyźnie.
Walczą, by zdobyć zdolność, by cześć dla rodu wzbudzić.
Dni i bezsenne noce trawią w nadludzkim trudzie.
Aby najwięcej posiąść, siłą czy sprytnym kruczkiem.
O marne ludzkie głowy, oślepe serca ludzkie!
W jakich ciemnościach mija i w bólu życie dokoła!
Jakże nie wiedzieć tego, o co natura woła:
Aby nie pragnąć więcej, jak tylko tego, by ciało
Cieipienia nijakiego ni bólu nie zaznało,
A duch, od lęku wolny, doświadczał miłych wrażeń.
Przecie tak mało trzeba odkładać ciała w darze,
To zaś, co ból łagodzi i byt spokojem rności.
Może być sercu prostemu krynicą tylu radości!
Milej czasem — i sama natura nie żąda więcej,
Chociaż nie stoją w komnatach złote posągi młodzieńców

Dzierżąc w prawicy lampy, by w długich, nocnych biesiadach
Światło wesołej uczty budziło zawiść sąsiada,
Choć dom nie błyszczy od złota a odzież nie z purpury.
Ani od dźwięku lutni nie drżą rzeźbione marmury
Milej, gdy przyjaciele na miękkiej trawy posłaniach,
Blisko strugi, gdzie dach ich z gałęzi drzew osłania,
Małym kosztem uczują, ciała nie niszcząc przesytem.
Zwłaszcza, gdy do nich dokoła dzień się uśmiecha błękitem.
Kiedy im ziemia gościnna kwiatów wspaniałych nie skąpi.
Przecie nie przez to z ciała gorączka rychlej ustąpi,
Ani zmęczenie zniknie, ni słabość nie trwa dłużej,
Że nie na szmacie leżysz, a na wzorzystej purpurze.
Skoro więc ciału twemu nic skarby nie przydadzą.
Ani wspaniałość rodu, korona ani władza —
To i duchowi twemu nie zdadzą się na wiele.
Chyba że kiedy w walce z udanym nieprzyjacielem
Widzisz legiony własne w harcach nieprześcignione,
Wsparte pułkami jazdy, w jedną i drugą stronę
Broń jednaką niosące i jeden zapal ducha,
Lub kiedy flotę wojenną podziwiasz w harcowych ruchach —
Chyba że wtedy trwogę sztucznym przerazisz lękiem.
Z piersi wygnasz troskę i złych zabobonów mękę,
I czarna groza śmierci już ciebie nie nawiedzi.
Cóż, gdy to wszystko warte śmiechu i kpin gawiedzi,
A trosk upartych zmory i wieczny lęk człowieczy
Nie boją się strzał świstu i błysku nagich mieczy;
Nie straszny im król żaden, nie groźny im wielmoża,
Kpią sobie z szat bogatych i złocistego łoża.
Więc gdy widzisz, jak trwoga przez grube mury sięga.
Wiedz, że jedna na świecie oprze się jej potęga:
Światło wiedzy w tem życiu, brodzącem w ciągłych mrokach.

Bowiem, jak małe dzieci w nocy nie zmrują oka,
Drząc przed strachami, równie my czasem i w dzień biały
Boimy się upiorów, zwodniczych i nietrwałych
Jak te, przed których widmem trwoży się serce dzieci.
Tego mrocznego lęku nic równie nie rozświeci,
Ni złote strzały słońca, ni dnia oblicze białe,
Jak wszystkich praw natury poznanie doskonałe.

Teraz zważ, jakim ruchem zarodki wszystkich rzeczy
Mogą wciąż wszystko tworzyć i wszystko znów niweczyć.
Jaka je siła pędzi i jaka ruchu zdolność
Sprawia, że mogą przebiegać ogromną przestrzeń wolną.
Słów mych bacznie uważaj, trudności nie omijaj!

Nigdzie bowiem materia najszczelniej się nie zbija,
Skoro widzimy jasno, jak każda rzecz maleje,
Jak umniejszają wszystko niezmiennie lat koleje.
Wszystko nam ginie z oczu, zakryte czasu zasłoną,
Chociaż całość natury zostaje niezmienną.
Najpierw stąd, że co uszło i umniejszyło gdzieś coś.
Indziej dodało ciała, przybyło innym miejscom,
Jednemu koniec znacząc, drugiemu każąc kwitnąć —
Też na krótko. Tak oto przez przemian nieuchwytność
Odnawia się natura, kolejno się ludzie zmieniają,
Giną jedne narody, a drugie w potęgę wznoszą,
Aby przez bieg pokoleń pośród tych samych szaleństw
Jasną pochodnię życia podawać ciągle dalej.

Gdy myślisz, że zarodki mogą się wstrzymać, późnić,
I nowe ruchy rzeczy wywołać przez to w próżni —

Błądzisz. Bo goniąc w pustce przeznaczeń swoich drogą
jedynie swym ciężarem bieg wytłumaczyć mogą,
Albo tem, że je z boku inne uderzy ciało.
Bowiem, gdy im się zdarzy zetknąć się siłą całą,
Nagle odskoczą od się w strony przeciwne starciom —
Przez to, że własny ciężar dla biegu jest oparciem,
Że są twarde i z tyłu nic pędu im nie wzbrania.
Żebyś zaś lepiej przejrzał to prawo uderzania,
Wspomnij, com już powiedział, że wszechmaterii całość
Nie ma żadnego spodu, że nie da hamulca ciałom
Przestrzeń wszędzie bezkresna, bezmierna, na wszystkie strony
Ciągająca się dokoła w ilości nieskończonej —
Jak to nieraz dowiodłem i jeszcze raz dowodzę.
Skoro to wiesz, wiesz tedy, że w ciągłej ciałek drodze
Nie ma spoczynku w próżni bezmiernej, i nie będzie;
Wszystkie bowiem zarodki, w wiecznym a zmiennym pędzie.
Albo z daleka biegną, rzadziej do siebie mierząc,
Albo z bliska co chwila wciąż się z innemi zderzą.
Które z nich gęściej zbite i położone bliżej
Małą odległość mają dla skoków i dla zbliżeń,
Gęsto splecione w sobie końcami swych odnóży,
Te czasem mogą skalom, czasem żelazu służyć
Twardą treścią, lub inne, podobne ciała czynią.
Te zaś nieliczne, co w próżni dłuższym przypadły liniom,
Mniej się stykając z sobą i odskakując dalej.
Tworzą luźniejsze ciała: powietrza miękkie fale,
Albo wspaniałe błyski słonecznych spojrzeń z góry.
Liczne nareszcie ciała, zbłąkane wśród natury,
Krażą w próżni samotnie; od skupień swych odpadły,
Do nowych wejść nie mogą, tak ruch ich jest nieskładny.

Tego co tu wspominam, dokładne masz odbicie
Patrzac dokoła siebie i obserwując życie.
Spojrzyj więc, kiedy słońce blask swój złotopromienny.
Wdarłszy się wąską szparą, rozsypie w domu ciemnym.
Ujrzysz w płomiennej wiązce mnóstwo drobinek różnych,
Jak na mnogie sposoby mieszają się z sobą w próżni.
Jakby w odwiecznej walce staczają z sobą stale
Wojny, potyczki, bitwy, przerwy nie znając wcale.
Łącząc się, oddzielając i znów zbliżając gęsto:
Abyś poznał z ich ruchów prawo i podobieństwo
Ciągłego ruchu ziaren w obszarach dookoła.
Gdyż można na drobiazgów świadectwo się powołać
W rzeczach wielkich — byś ślady ważniejszych prawd wyznaczył.

Tembardziej jeszcześ winien na owe ciała baczyć,
Które gonia się ciągle w promieniu słońca drżącym,
Ze ich gonitwa da ci odkryć nieustający,
Wieczny ruch wszechmaterii, ukryty twemu oku.
Patrzaj: niejedyn pyłek, nagle czemś pchnięty z boku
Albo z tyłu. odskoczy i innym dąży chodem,
Aby znów w drodze znaleźć zderzenie lub przeszkodę.
Błąd ten bystrym umysłem do samych ziaren odniesiesz.
Najpierw bowiem w ruch wchodzi atomy same przez się,
Potem ciała najmniejsze, z zarodków zbite nielicznych,
Które — jakby pierwotnej sile atomów najbliższe —
Dają się pchnąć najłatwiej, i gdy je w ruch wprowadzono,
Z kolei go oddają większym, ściślejszym gronom.
Tak od zarodków drobnych ruch się poczyna wszelki,
Aż do naszego wzroku dochodząc w rzeczach wielkich,
Aż go ujrzemy w świetle — choć i tam dociec trudno,
Skąd się ów popęd bierze, jakie tych zderzeń źródło.

Teraz, Memmiuszu, poznaj, jeżeliś w chęciach szczery,
Jaka ruchliwość cechuje drobne ziarno materii.
Kiedy zorza poranna na ziemię blask swój zsyła
I różnych czujnych ptasząt rozebrzmi piosnka miła
W powietrzu, przecinanem ich lotnych skrzydeł strzałą,
Patrzaj: nagle, w tej chwili, złociste słońce wstało
I oto każdy widzi, jak w jego jasnych błyskach
Niczem w świetlnym potopie kapie się ziemia wszystka.
Ciepło zaś, które słońce wysyła z jasnym światłem,
Nie dąży poprzez próżnię i drogi ma niełatwe.
Idzie wolniej, i bijąc w powietrza ostre fale,
Splątane ciała żaru przesyła coraz dalej,
Ciała zmieszane, wzajem się w ruchu hamujące,
Z przeszkodami od zewnątrz w walce nieustającej —
Przez co się droga dłuży i szybki ruch opóźnia.
Lecz te zarodki, którym w przebiegach służy próżnia,
Kiedy ich w pędzie naprzód nie wstrzyma żadna trudność
Albowiem, zwarte, gnają drogą dla siebie bezludną
Do celu, jaki wytknął im ruch, pierwotnie nadany —
Muszą mieć większą szybkość niż słońca blask różany
I mogą w tymże czasie, w luźniejszych stref rejestrze.
Kilka, lub więcej razy dłuższą przemierzyć przestrzeń.
Niżli przebiec mogły na niebie promienie słońca

Ani za każdym ciałkiem iść w ślad i ciągle badać,
Czemu, i jakie prawo wszystkim dokoła włada.

Na to ludzie niejacy, z których nauka gorzej,
Przecząc, powiedzą pewnie, że ziemia tak nie może,
Bez woli bogów, zgodnie z ludzkiego życia potrzebą,
Pory roku przemieniać, urządzać ziemię i niebo,

Rodzić zboże i wreszcie kierować słodką siłą,
Która przez rozkosz pieszczot rozkrzewia ludzką miłość,
Która przez czar Wenery w cieniu samotną godziną
Łączy spragnione pary, by rodzaj ludzki nie zginął.
Kiedy tak sobie roją, że wszystkim bogi rządzą,
Widać, że jak najdalej od źródła prawdy błędzą.
Choćbym nie wiedział nawet, co to rzeczy zaczątki,
Choćbym w prawo natury i w ruch odwieczny wątpił,
Jednak z urządzeń nieba i z wielu innych racyj
Twierdziłbym, że nie boskiej jest świat nasz skutkiem pracy,
Żaden go cud nie stworzył (taka go wina gniecie!).
Później ci to wyjaśnię, przy mych wywodów mecie,
Teraz resztę o ruchach należy, bym wyjawił.

Czas też, myślę, Memmiuszu, tę jeszcze tamę postawić,
Byś nie sądził, że takie czy inne ciało natury
Może o własnej sile wznieść się i iść do góry.
Niech cię tu nie okłamię płomienia lotny język —
Bowiem jak krzew i zboże prosto się w górę pręży,
Tak też ogień wzwyż rośnie, podczas gdy wszystkie ciężary
W dół spadają, by z siłą mocno się w ziemię zaryć.
Lecz nie myśl, że płomienie, wniesione wichrem wielkim
Na dach, gdy chyżem skrzydłem liżą sufitu belki,
Czynią to z własnej woli, i że je nic nie zmusza.
Tak i krew, gdy z nią razem uchodzi z ciała dusza
Pod ciosem, tryska w górę i wkoło się rozlewa.
Patrz jeszcze, jak wypiera belki i kłody drzewa
Głębina wód: wszak jeśli bardziej je w nurt pogażyć
I gnieść największą siłą, tem mocniej w górę dąży,
I kiedy nam się zdaje, żeśmy je utopili.
Już drewno jest pod wierzchem, już się do pół wychyli,

A jednak nikt nie wątpi, że w próżni — całą siłą
Drewno to, samo z siebie, rażno by w dół pędziło.
Tak też muszą płomienie, od dołu mocą pchnięte,
Do góry ustępować w powietrzu lotnym skrętem,
Choćby je własny ciężar znów przygiąć chciał do ziemi.
Czyż nie widzisz, jak nocą gwiazdy z ogniami swemi,
Spadając w ciemnię nieba w prościutkiej linii długiej,
Ciagną za sobą wszędzie błyszczących iskier smugi,
Jak zlatują na ziemię niebieskich ciał odpryski?
Toż i słońce z wysoka posyła w strony wszystkie
Żar swój i światło swoje na bujne łany mnogie.
Zatem i z nieba — widzisz — dąży do ziemi ogień,
Dążą ukośną drogą pioruny, poprzez deszcze
Tu, to znowu gdzie indziej chmur przebijając przestrzeń,
I płomienista siła zewsząd na ziemię pada.

Pragnę, byś przy tych sprawach to także dobrze zbadał,
Że gdy ciała przez próżnię ciężarem własnym gnane
Dążą, to trochę z drogi zбочą w miejscu nieznanem —
Może nie wiesz, kiedy, i może tak niewiele,
Że ruch ten ledwie mgnięciem sam nazwać się ośmielę.
Bo gdyby w dół pionowo, gdyby najprościej spadały
Poprzez niezmierną próżnię, na podobieństwo strzały —
Skądby było zderzenie, skądby się mogło schodzić
Ciało z ciałkiem, cóż wtedy mogłoby się narodzić?
Bo jeśli kto uważa, że cięższe jakieś ciało
Poprzez pustkę od innych chyżej by biec zdołało,
Lżejsze dopędzać z góry i przez to w śródprzestrzeniach
Tworzyć możliwość ruchu przez nowe uderzenia —
Ten już od drogi prawdy zbyt krętym odbiegł chodem.
Ciała bowiem, prujące powietrze albo wodę,

Muszą przez własny ciężar bieg swój przyspieszyć, zwolnić
Stąd, że nie każde ciało da opór równie zdolny.
Woda, powietrze, cięższym łatwiej drogi ustąpią.
Lżejszym zaś i oporu, i przeszkód nie poskapią.
Przeciwnie pusta próżnia: niczemu, z żadnej strony,
Nigdy nie stawi czoła w obszarze nieskończonym;
Jako pusta — ustąpi i w drodze nie przeszkodzi.
Muszą więc wszystkie ciała jednakowo w pustce chodzić,
Chociaż ich wielkość inna i chociaż ciężar różny.
Nigdy więc nie dogoni jedno drugiego w próżni,
Nigdy się w jednej linii nie zderzy jedno z drugim,
By się zetknąć, ruch zmienić, płodności mieć zasługę.
Trzeba przeto, by ciała trochę się odchyłały;
Jak najmniej, naturalnie — by nasz rachunek cały
Nie uznał ruchów skośnych i prawdzie nie zaprzeczał.
Bo jak sam możesz widzieć, sprawdzić na wielu rzeczach,
Żaden ciężar nie może na ukos dążyć, z góry
W dół spadając przez wielkie przestrzenie wszechnatury.
Lecz że się nie odchyła, kiedy tak z góry spada,
Od pionu chociaż trochę — powiedz: jak możesz zbadać?

Wreszcie, jeśli ruch wszelki zawsze się z innym łączy,
W stałym porządku nowy z dawnego powstaje, bez końca,
Jeśli zarodki rzeczy przez swych odchyłeń prawo
Nie mogą przemóc losu i nigdy tak nie sprawią,
Aby w łańcuchu przyczyn cokolwiek mogło się zmienić,
To — pytam — skąd się bierze ten wolny pęd na ziemi?
Skąd się weźmie potęga woli, wydartej bogom,
Dzięki której, gdy chcemy, idziemy własną drogą
I ruch swój — jak atomy — możemy tak odchylić.

Aby konieczność zgwałcić, przestrzeń i czas omylić?
Jasne bowiem, że taki ruch się po członkach rozchodzi
Stąd, że go w każdym ciele swobodna wola rodzi.
Czy nie widzisz, że gdy już szranki stoją otworem,
To konie, wprzód się rwące i do wyścigu skore.
Nie zdołają tak wybiec, jak własna chęć ich pragnie.
Najpierw niech się do ducha ciało odporne nagnie,
Najpierw trzeba, by w członkach cały materii zapas
Zgodnie i równocześnie od ducha ognia złapał.
Uważ tedy, że dzielność cielesna w czynach, ruchach,
W sercu się rozpoczyna i płynie z woli ducha,
Aż się żywym strumieniem rozleje w ciała częściach,

Przeciwnie jest, gdy siłą przemocy lub nieszczęścia
Wprzód pchani, jak na ścieżce kroczymy z wielkim bólem.
Wtedy wyraźnie wiemy, że wolny duch nasz uległ
Gwałtowi i że cała materia w naszym ciele
Walczy z przymusem, silnym i złym nieprzyjacielem.
Widzisz więc, że choć siła zewnętrzna popycha ludzi,
Każe im cierpieć, szaleć, próżno się w życiu trudzić,
Wreszcie ginąć, to jednak jest w naszej piersi żar ten,
Co oprzeć może się losom dzielnością swą i hartem.
Czasem według tej woli po członkach i po stawach
Musi się ciała materia w ruchu swoim poddawać,
Musi swój pęd zatrzymać, powściągnąć się i opadnąć.
Tak jest i z zarodkami. Bo poprzez dróg ich składność
Prócz zderzeń i ciężaru jest jeszcze ta przyczyna
Ruchów ich, która czasem i bieg przeznaczeń zgina,
Wolę nam dając — bowiem nic się nie rodzi z niczego.
Ciężar sam nie dozwala, by wszystko tylko dlatego

Działo się, wskutek zderzeń, siły zewnętrznej niejako —
Ale to, że duch nasz, że wola moc ma taką,
Że nie zna prawa gwałtu, gdy sama działać zacznie,
To sprawia owo zarodków odchylenie nieznaczone
W miejscu nieokreślonym i nieokreślonej porze.

Całość materii świata ściślejsza być nie może,
Ani luźniejsza — bowiem w naturze nic nie ginie,
Ile materii było, tyle jest także ninie,
I w jakim były ruchu atomy rzeczy dawniej,
W takim i teraz bieżą, i później równie sprawnie
Będą biec, i podobne je będą rządzić prawa,
I to, co dziś się staje, jutro się będzie stawać,
Rodzić się i rozwijać tak samo, i rosnać w siły
Tyle, ile mu prawa natury wyznaczyły.
Całości wszystkich rzeczy odmienić nic nie zdoła.
Nie ma bowiem w wszechświecie ni nigdzie gdzieś dokoła
Dróg, przez które materia w próżnię mogłaby wyciec,
Ni siły innej, nowej, mogącej zmienić życie,
Wtargnąć do świata i bieg odwrócić ziemi i nieba.

Proste są to wywody, i dziwić się nie trzeba,
Czemu całość wszechświata, gdy wszystko się porusza,
Wyda się nieruchoma i ciszą dzwoni w uszach —
Chyba, że jakieś ciało samo swój ruch wytwarza.
Przecie zarodków natura zmysłom się twym nie obnaża,
Skoro zaś ich nie widzisz, choć orle masz źrenice,
Ruch drobinek chcąc ujrzyć, także odejdiesz z niczem.
Wtedy wszak nawet pobłądzisz, gdy rzeczy dosyć duże,
Ale z bardzo daleka w ich ruchu chciałbyś ujrzyć.

Bo często, gdy na wzgórzach gromadkę owiec zoczysz,
Która po aksamitnej, zielonej trawie kroczy.
Ubranej w perły rosy, a w łące ponad wodą
Młode, syte jagnięta w żartach się wzajem bodą —
Wszystko to z odległości zmieszane ci się wyda
I ledwie jedną białą, zastygłą plamę widać.
Także, kiedy z daleka na wielkim placu ćwiczeń
Ujrzysz przy grze wojennej zastępy zawodnicze,
Gdy blask pod niebo bije, a w całych staj poblizu
Drży ziemia od nóg mężów i dźwięk odbija spizu.
Kiedy wierzchołki wzgórzy na lewo i na prawo
Chmurom odpowiadają głośną, bitewną wrzawą.
Kiedy przez środek pola tętniący bieg konnicy
Sunie olbrzymim węzem i drży po okolicy —
Wtedy — z dalekich szczytów patrząc na harców błonia
Myślisz, że wszystko stoi, że blask ów znieruchomiał.

Teraz uważ z kolei naturę wszystkich ciałek,
Ile mieć mogą kształtów, chociaż są takie małe,
Jaka jest różnaitość ogromna w ich układach.
Nie przez to, że natura podobieństw nie posiada.
Lecz, że doprawdy nie ma dwóch ciałek jednakowych.
Nie dziw się. Jeśli zechcesz po pamięć pójść do głowy.
Wspomnisz: liczby ni kresu nie znają ciała wieczne,
Jest zatem oczywiste i prawdzie wprost konieczne.
By były różne kształtem, postacią i rozmiarem.

Patrz dokoła na ludzi i w morskiej fali szarej
Zwinne ryby, na trzody łagodne i na dzikie
Zwierzęta puszcza, na ptaki napełniające krzykiem

Brzegi rzek, drzewa lasów i wszędzie ponad nami
Czysty błękit powietrza przemierzające skrzydłami.
Bierz z każdego gatunku okazy nawet podobne:
Zawsze znajdziesz różnice i odchylenia drobne.
Gdyby nie to, ni matki nie znałyby swych dzieci,
Ni dzieci matek. Jednak nie możesz nic rzec przeciw
Temu, że znają siebie lepiej, niż my swych krewnych.
Kiedy na przykład kapłan w kadzidle dymów zwiewnych
U progu sanktuarium bogom na cześć ubije
Gładkie ciele, ofiarnym nożem mu krwawiąc szyję.
Wtedy matka samotna zdeptuje łąki zielone,
Szuka śladów na ziemi i w jedną, drugą stronę
Tęskne posyła oczy, czy znów gdzie nie zobaczy
Płodu swego, i coraz wydaje ryk rozpaczy.
Coraz w przegrody obór wtyka swój łeb rogaty,
Żalu ukryć nie mogąc, ani przeboleć straty.
Ni jej liście wierzbiny, ni trawy rosą świeże.
Ani woda strumieni nad niskich łąk wybrzeżem
Nie zdoła zająć trochę i zabrać troskę srogą,
Ani obce cieleta zabawić jej nie mogą,
I nigdzie się nie spotka z pociechą i spokojem,
Tak brak jej, co z niej wzrosło, co znane jej i swoje.
Równie kozłętom zwinnym matki ich nie są obce,
Równie jagnięta żwawe znają swe matki owce.
Według potrzeb natury do właściwego wieku
Każde zwierzę jest bliskie matczynych wymion mleku.
Weź wreszcie, jakie zechcesz, zboże i patrz dokładnie
Na kłos, na ziarno — wszędzie różnicę znajdziesz snadnie,
Każde jest trochę inne. Podobnie różne formy
Wyciska w łonie ziemi w czas burzy przedwieczornej

Fala wód, równie muszle inaczej złością brzegi,
Nad linią mórz odpływu sadowiąc się w szeregi.
Dlatego, wciąż powtarzam, jest w świecie nieodzowne,
Aby zarodki rzeczy nie były zbyt podobne;
Nie biorąc jednej formy z działania ludzkiej ręki,
Muszą mieć inne kształty, różnice, choć maleńkie.

Teraz już będzie łatwo wyjaśnić niewielu słowy.
Dlaczego przenikliwszy jest ogień piorunowy
Niżli nasz, zażegnany na drzewa głowni smolnej.
Możesz tedy powiedzieć: ten w ruchu bardziej zdolny,
Bo składa się z drobniejszych ziarenek żaru, zatem
Łatwiej przejdzie przez szpary, przez ciała porowate,
Których nie zdoła przeciąć nasz ogień, zbyt leniwy.
Przez masę rogu przejdzie blask światła przenikliwy.
Ale nie deszcz. Dlaczego? Widocznie ciałka wody
Większe są i stąd trudniej im gęstsze wziąć przeszkody.
Wino, jak możesz widzieć, łatwo przez sito przecieka;
Ciężej za to oliwa; ociąga się i zwleka —
Stąd, że widocznie oliwy większe są elementy,
Ale też ściślej splecione, o kształtach bardziej wygiętych.
Masa drobinek dlatego nierówno się oddziela
W każdej cieczy, i oto nie zdołasz obu przelać
Przez te same otwory o jednakowym czasie.

Przyznaj, że słodkie mleko i miód lipcowych pasiek
Język przyjemnie łechcą i ustom są naszym miłe;
Za to gdy łykasz piołun lub wywar z centurii piłęś,
Smak ostry i obrzydły całą ci twarz wykręci.
Łatwo stąd pojąć możesz, że to, co zmysły nęci

Miłym smakiem, jest z ciałek kragłych i gładszych troszkę;
To zaś, co czucie w ustach pobudza złe i gorzkie,
Składa się z ostro zgiętych, haczykowatych ciałek,
I stąd przemocą, brutalnie przez zmysły się przedostaje.
Ciało nam szarpie wchodząc i budzi przykry odruch.

Stąd treść rzeczy u odczuciu złych albo znowu dobrych
Zależy od zarodków różnych ukształtowaniem.
Nie myśl więc, że zgrzyt piły, kiedy ci uszy rani
Swojem skrzypieniem przykrem, pochodzi od tych samych,
Równie gładkich atomów, co pieśń, której lubo słuchamy.
Gdy zwinnym palcom grajka posłuszna lutnia wtóruje.
Nie myśl, że takie same zarodki węchem czujesz,
Kiedy cię odór dochodzi trupa, co płonie na stosie,
I kiedy woń szafranu przyjemnie kręci w nosie
A ołtarz blisko sceny dymem kadzideł płonie.
Nie myśl, że wszystkie barwy z jednakich są ciałek złożone.
Że te kolory miłe, co oczy twe radują,
I te, co aż do płaczu źrenice wstrętem kłują,
Z tych samych są atomów. Bo wszystko, co łagodnie
Budzi zmysły, do gładkich zarodków winneś odnieść:
Z niemi się narodziły i od nich cechy biorą.
Każda zaś rzecz niemiła i przykra musi mieć sporo
Ciałek szorstkich, chropawych, w tworzącym ją materiale.
Są też takie zarodki, ni gładkie doskonale.
Ani też zbyt wygięte, ale, nierówne troszkę,
Z każdej strony wystają na zewnątrz małym rożkiem.
Bliskość ich zmysłom raczej łechtliwa, niżli przykra:
Taki jest winny kamień i ostre smaki przypraw.
Że zaś gorąco ognia i chłód dotkliwy mrozu
Inaczej biorą zębem i inny mają pozór,

Tego nas uczy dotyk — i nigdy nas nie myli.
Dotyk, jedynie dotyk, wierny nam w każdej chwili.
Czuciem ciała powiada, czy jakaś rzecz zewnętrzna
Ciśnie nas, czy też w ciele bolesny wrzód napęczniał,
Czy wypływ nasion życia niesie nam ulgę miłą,
Czy wreszcie wewnątrz ciała coś z czemś się zahaczyło,
Zderzyły się zarodki i w zmysłach budzą zamęt.
Przekonają cię o tem twe własne członki same:
Uderz się gdzie bądź dłonią i sprawdź, czy prawdę rzeke.
Widzisz więc: ciała, co są w człowieku, za człowiekiem,
Różne dają wrażenia, bo różne kształty mają,
Te zaś rzeczy, co gęste i twarde ci się zdają,
Muszą mieć haczykowane ziarna i rozszczepione,
Które się jakby splatają mocniej, zwierają swem łonem.
Do nich w pierwszym rzędzie należą wszystkie głązy,
Mocne jak diament, hartowne i niewrażliwe na razy,
Do nich należy krzemień, do nich żelazo łączę
I niespożyte spiże, we wrotach zgrzytające.
Te zaś, co jako ciekłe muszą mieć układ inny,
Z krągłych są, gładkich ciałek — do nich zaliczam płyny.
Oto mak możesz łykać tak prawie, jak haust wody,
Bo ziarnka jego sypkie nie stawiają ci przeszkody
I gdy wstrząśniesz je, lecą do dołu bez oporu.
Wszystko znów, co się prędko rozprasza jedną porą,
Jak dym, mgła i płomień, na pewno nie posiada
Ciałek splątanych, raczej się z gładkich i krągłych składa.
Aby móc jednocześnie nie szczepiać się, a razem
Ciało snadnie przenikać i dać się poznać głazom.
Łatwo zrozumieć teraz i sens wydobyć ścisły:
Ze co bez wzburzeń ciała podpada nam pod zmysły,
Z niesplątanych jest ciałek, choć ostro zakończonych.

Nie dziw się, że znasz ciała płynne, a razem słone
Albo gorzkie, jak woda czerpana w morzu z brzegu
Płynność jej na gładkości atomów jej polega,
Przykra zaś gorycz dlatego, że obok są ciała takie,
Które, choć nie zazębione, bolesnym rażą smakiem,
Jako że są chropowate i w kształcie kuleczek, by rażnie
Mogły się toczyć, a przy tem boleśnie zmysły drażnić.
Żebyś zaś bardziej wierzył, że w gładkich mieszaninie
Są i chropawe zarodki w gorzkim Neptuna płynie,
Poznaj sposób natury, którym sama oddziela
Słodką wodę od gorzkiej. Oto kiedy ją przelać
Przez gruby pokład ziemi, słodka do jezior spływa,
Bo w ziemi pozostaje cierpkość, mniej przenikliwa,
Której chropawe ciało przez glebę przejść nie może.

Skoro to już dowiodłem, dalej ci rzecz wyłożę:
Oto, choć ciała mają kształtów przeróżnych mnogość,
Jednak jest w tem granica, za którą wyjść nie mogą.
Gdyby nie było granic, musiałyby niektóre
Ogromny wzrost osiągnąć, ponad ziaren naturę.
Wszystkie wszak równie są małe. Więc pomyśl, prawdę dobądź:
Nie lżą im nazbyt wiele różnić się między sobą.
Chcąc sobie w głowie obraz małych zarodków zrobić,
Wziąłbyś na każdy chyba trzy, cztery lub pięć drobin.
Jeśli te wszystkie pyłki przy sobie porozmieszczasz,
Z góry, z dołu i z boków, różnie stosując miejsca,
Poznasz wszystkie sposoby, jak się za każdą zmianą
Układu postać zmieni. Lecz wreszcie niespodzianość
Skończy się i chcąc dalej mnożyć postaci ciałek.
Musisz dołożyć drobin do tych, co już badałeś.

I dalej zmiana formy znów ci zażąda nowych
Drobin, i ciągle dalej. A wniosek stąd gotowy:
Większa różność wymaga większej ilości ciałek.
Przeto nie wolno myśleć, aby zarodki małe
Miały zbyt wiele kształtów, bo dając je nasionom
Rzeczy, zarazem dajesz i wielkość nieskończoną,
Na co, jak sam rozumiesz, już nam nie wolno przystać.

Oto już melibejska tkanina powłoczysta.
Oto tessalski szkarłat, złociste pióra pawie.
Śmiejące się przepychem — musiałyby cię zawieść,
Bo nowych barw bogactwo wzrokiem byś głodnym łapał.
Wzgardziłbyś wonie miny i słodki miodu zapach,
I głuchy na dźwięk lutni i na łabędzie pienia
Stugłosych chórów Feba, zapadłbyś w głąb milczenia
Czekając, aż się zjawi wspanialsza rzecz i nowa.
Równie też cechy niemiłe bez końca mógłbyś stopniować,
W brzydocie i niesmaku dochodząc do przesady.
Rosłyby w rzeczach wszystkich wstręt wzbudzające wady,
Coraz przykrzejsze dla oczu, dla smaku, węchu, słuchu.
A nie jest tak (co lepiej!), bo w ciągłym ciałek ruchu
Mamy jednak granicę zarówno w złem, jak w dobrem,
Która odmiany kształtów zamyka w krąg, jak obręcz.
Oto od skwarów lata aż po zimowe chłody
Ciągnie się długim pasem doroczny czas pogody —
I mrozy, i upały, i wiosny ciepło średnie
Ma miejsce swe i porę przed drugim, za poprzedniem,
I w tych, jak wielu innych, bardziej złożonych rzeczach,
Granice masz, jak cięciem obosiecznego miecza:
Od tej strony upały, od tamtej — mrozy surowe.

Skoro to już dowiodłem, dalej podążę słowem.
Pojmiesz stąd, że zarodków podobnych sobie wzajem
Jest nieskończona mnogość — choć się to dziwne zdaje.
Właśnie ponieważ różność postaci i układów
Ma krańce, to w ilości nie znajdziesz końca śladu;
Inaczej i materia byłaby do zliczenia,
Co się nie daje przyjąć przez brak uzasadnienia.
Dziś wszakże w długich wierszach mój wykład ci dowodził.
Że niezliczoność ciałek konieczna jest w przyrodzie
Równie jak nieustanność ich zderzeń na wsze strony.
Bo choć niektórych stworzeń mniej widzisz urodzonych,
Chociaż natury płodność mniejsza w nich ci się wyda,
To przecież w innych krajach, których ci stąd nie widać,
Równa się ich nadmiarem potrzebna w świecie ilość.
Niech cię tu czworonogie rzadkości nie omylą,
Bo chociaż długotrąbnych niewieleś widział słoni,
To wstępu w ziemię Indu wał kłów słoniowych broni
I takie ich tam mnóstwo, że nikt ich nie policzy,
Gdy tu je czasem tylko ujrzysz na polu ćwiczeń.
Ale niech i tak będzie, że jakiś jeden okaz
Sam jest na całej ziemi, jak długa i szeroka,
I że mu brak podobnych. To—jeśli nie założyć
Bezmierności materii, która go mogła stworzyć —
Nie będzie mógł się zrodzić, ani przy braku paszy
Żywić się, rósć i mnożyć zgodnie z porządkiem naszym.
Jeżeli znów się zgodzić, że gdzieś wśród próżni płyną
Ciała w liczbie skończonej, co stworzą rzecz jedyną.
To skąd, i w jaki sposób, i jaką siłą pchane
Zetkną się w morzu materii, w mrowiu nierozpoznanem ?
Nie będą miały — myślę — możliwości zejść się z sobą.

Lecz, jak po nagłej burzy na morskich wodach globu
Z resztek rozbitych statków fala dokoła rozniosła
Żagle podarte, maszty, strzaskane reje i wiosła,
Kiedy po wszystkich brzegach szkielety dziurawych wraków
Zęby spróchniałych belek szczerzą do śmiałych rybaków,
Jakby ich ostrzec chciały przed zdradą morskiej toni,
Której nie wolno wierzyć, kiedy się płynie po niej,
Choć zrazu się uśmiecha spokojnych wód błękitem —
Tak i zarodki rzeczy, w skończoną liczbę zbite,
Rozsypią ci się rychło i nie dobiją lądu,
W morzu materii wydane na łup przeciwnych prądów.
Żadna, siła nie zdoła połączyć je wbrew wirom,
Ani je strzymać razem, ani im zdobyć przyrost.
A przecież jedno i drugie wciąż wokół się odbywa
I jest to prawda jawna, pewna i niewątpliwa.
Wszystko się rodzi, rośnie. Jest więc niezmierna ilość,
Ciałek podobnych, co wszystkie rzeczy na świecie zasila.

Ani ruchy niszczące nie mogą zwyciężyć trwale,
Ani ruchy narodzin i wzrostu nie mogą ocaleń
Dawać wiecznych, bo jedna meta i życia, i zgonu
Dla całej jest materii, dla wszystkich ziaren milionów.
Przed nieskończonym czasem wszczęta w naturze całej
Toczy się wciąż jednako zacięta walka ciałek.
Tutaj zwycięża życie, tam tryumfuje znowu
Śmierć — i tak na przemiany. Żałobnej mowy słowu
Wtóruje płacz dziecięcia, które na świat przychodzi.
I nie ma takich nocy, dni takich ani godzin,
Żebyś pomiędzy wrzawą życia, które się budzi,
Nie słyszał ciężkich jęków umierających ludzi.

To zechciej przy tych rzeczach zachować dobrze w głowie
I zapamiętać ściśle, co teraz krótko powiem,
Że nie ma takiej rzeczy, która się może składać
Z jednego typu ziaren, lecz musi ich posiadać
Wiele różnych odmian, i każde w świecie ciało
Trzeba, aby z zarodków mieszanych się składało.
Im więcej widzisz w rzeczy własności i przymiotów,
Tem się na rozmaitsze zarodki w niej przygotuj.
A przede wszystkim w ziemi. Ona w swym zwartym środku
Chowa zasoby morza żywiących, źródłanych zarodków;
Razem zawiera ciała wszelkiej odmiany żaru —
Bo sam wiesz, ile ogni płonie wśród jej obszaru,
Najsrożej zaś szczyt Etny wybucha płynną lawą.
Dalej ma ziemia ciała, przez które żywi strawą
Rodzaj ludzki i wszystkim zwierzętom pól i lasów
Dostarcza legowiska i paszy z swych zapasów.
Dlatego też ją jedną, co żywi nas i rodzi,
Co nam na sobie daje rozwijać się i płodzie,
Ją jedną, równie świętą zwierzętom, ludziom, bogom,
Wszystkie stworzenia żywe Matką nazywać mogą.

O niej śpiewali dawni uczeni greccy poeci.

Że z siedzenia lydwanu popędza lwy ujarzmione,
Ucząc przez to, że krąży w przestrzeni nieskończonej,
Gruntu żadnego, oparcia dla siebie nie mając już dalej,
Do wozu jej najdziksze zwierzęta powprzęgali,
Bo i najsroższy potwór łagodny przy macierzy.
A że dziełem jej szaniec i wał, co miasta strzeże,
Więc jej ubrali głowę obronnych murów wieńcem.

Tak się ją wyobraża i tak się czci najwięcej,
Kiedy jej groźny posąg wiozą drogami grodów.
Różne ma też imiona w języku różnych narodów.
Zwą ją Idajską matką i dają Frygów orszak,
Gdyż, jak mówią, od Frygów znajomość zbóż najskorsza
Poszła po całym świecie. Czasem dodają gallów
Na znak całej ludzkości pogardy im i żalu,
Gdyż ci, na których ciąży plama zhańbienia matki
I złego dla niej serca, jak kary wieczne świadki
Winni żyć w nienawiści i nie móc dzieci płodzić.
Oto grzmot bębnow dętych dokoła się rozchodzi,
Biją głośne cymbały, chrapliwie grają rogi,
Rytmem frygijskim flety, aż serce masz pełne trwogi.
Przodem niosą dziryty, ostrego szału znaki,
Zdolne niewdzięczne serca przeszyć nie byle jakim
Strachem przed panią ziemi. A zaraz potem, skoro
Wieziona poprzez miasta wiosennych siewów porą
Serca ludzi uśmiechem pobłogosławi niemym,
Zaraz do stóp jej sypią srebro i spiż po ziemi.
Sypną hojną jałmużnę i całą kwiatów chmurę
Rzucą na wóz bogini wraz z jej kapłanów chórem.
Tutaj czereda zbrojna, której Grecy nadali
Imię Kuretów frygijskich, szczęk czyni bronią ze stali,
Krwi rozlewem radosna, wciąż nie ustaje w płasach,
Wciąż na wierzchołkach hełmów groźnie czubami potrząsa,
Jako Kureci diktejscy, co ongiś na wyspie Krecie
Chrzęstem chłopięcych zabaw chronili Saturna dziecię;
Bo kiedy Jowisz zakwilił, oni dla zagłuszenia
Bronią chrzęścili spiżową, wojenne wznosili pienia,
Aby kryjówki syna nie odkrył ojciec zachłanny,

By go nie pożarł, na wieki serca matki nie zranił.
Stąd to zbrojne gromady przy Wielkiej Matce kroczą;
Może dlatego także, aby wysławić ochoczość
Obrony ziemi własnej i dla tych zostać wzorem,
Którzy rodzicom służą wytrwale i z honorem.

Piękne to są przerośnię, zasady znakomite,
Ale dalekie od prawdy i zawsze zostaną mitem.
Taka już jest i być musi natura wszystkich bogów,
Że obca dla spraw ludzkich, wzniesiona ponad ogół.
Używa w pełnej ciszy nieśmiertelnego bytu.
Wolna od bólów naszych w przestrzeni górnych błękitów,
Własną potęgą można, na nas nie pragnie polegać
I ani modłów nie słucha, ani bluźnierstwa dostrzega.
Ziemia już zwłaszcza sama niczego nie odczuwa.
Że zaś mnóstwo zarodków zawiera, tedy uważ,
Jaką na światło wydaje mnogość rzeczy i stworzeń.
Jeśli kto mianem Neptuna nazywać zechce morze,
Zboże chrzcic mianem Cerery, Bachusem wino zastąpić,
Skoro na nazwę właściwą przyzwyczajenia skąpi,
Niech już nazywa sobie krąg ziemski Bogów Macierzą.
Byle, kultu słów pustych przeciw prawdzie nie szerząc,
Ducha nie skałał ohydny religii zabobonem.

Często na jednej łące te same trawy zielone
Szcypią wełniste owce, obok źrebaki młode,
Obok rogate bydło. Choć jedną piją wodę,
Pod jednym żyją niebem na jednym skrawku ziemi.
Przecie ich wygląd różny i nic go nie odmieni:
Świadczą o cechach rodu. podobne swym rodzicom.

Taka jest wśród natury ogromna różnaitość
W jednym strumieniu wody, w każdym gatunku trawy.

Teraz ciała zwierzęce rozpatrzyć bądź łaskawy:
Znajdziesz kości, krew, żyły, nerwy i ciepło w środku,
A wszystko różne zgoła z przyczyny różnych zarodków
Albo odmiennych kształtów, jakie na siebie biorą.
Weź tedy wszystkie rzeczy, które płomieniem góraj:
Choćby nie miały więcej, to przecież w sobie mają
Ciała, przez które ogień i światło rozsyłają,
Mogąc iskrami sypać i popiół siać dokoła.

Dalej tak rozpatrując rzeczy przeróżne zgoła,
Pojmiesz, że w każdej rzeczy kryje się wielka mnogość
Ziaren, co kształtem, postacią różnią się między sobą.
Widzisz na koniec takie, co smak i zapach razem
Mają obok koloru

Muszą one, jak widzisz, różne mieć kształty ciałek;
Inną drogą przenikną zapachu cząstki małe,
Inną zarodki barwy, a i ciała ze smakiem
Mają do zmysłów naszych przechody niejednokie.
Różne albowiem kształty w jedno skupisko się schodzą,
Rzeczy wszystkie z zarodków różnych zmieszania pochodzą.
Oto i w moich wierszach znajdziesz na karcie wszędzie
Wspólne wielu wyrazom litery, zwarte w rzędzie.
Przyznasz jednak, że jeśli inny jest wiersz czy słowo,
To i z liter tych samych nie składa się jednakowo.
Pewnie nie stąd, że rzadko biegnie jednaka litera.
By dwóch lub trzech jednakich wiersz jeden nie zawierał,

Lecz że nie wszystkie wszystkim równają się dokładnie.
Tak też i w innych rzeczach, choć wiele ziaren zgadniesz
Wspólnych dla wielu, to jednak w każdym natury tworze
W stosunku do innego wielka być różność może.
Przeto słuszne jest twierdzić, że z innych powstają ciała
Ludzie, z innych zboże i drzewa okazałe.

Że się wszystko ze wszystkim łączy, nie wolno mniemać -
Bo w krąg widziałbyś stwory, jakich na świecie nie ma.
Pół-ludzi, pół-zwierzęta ziemia by wydawała,
Często by mogła gałąź nagle wyrosnąć z ciała,
Morskie zwierzęta miałyby członki zwierząt ziemi.
Nawet chimery straszne, z paszczami ziejącemi
Ogniem — mogłaby wydać natura, co wszystko ożywia.
Jawnie widzimy jednak, że rzecz to niemożliwa.
Bo wszystko, co wyrosło z pewnych zarodków związku.
Chowa kształty gatunku w odwiecznym obowiązku.
Musi się dziać to wszystko w imię jakiegoś prawa:
Otóż z każdej żywności rozchodzą się po stawach
Tylko ciała stosowne; te snadnie się dołączają,
Tworząc ruch; inne, obce, natura wszystkim rządząca
Wraca ziemi. A przytem jest takich ciałek wiele.
Które nie mogły celu i drogi znaleźć w ciebie,
Wprzęgnąć się w ruch żywotny. Takie prędzej czy później
Odpadną nam nieznacznie przez uderzenia różne.

Żebyś nie sądził jednak, że tyczy się to prawo
Zwierząt tylko, za szerszą obejrzyj się podstawą.
Bo jak całą naturą odmienne, niejednakie
Są rzeczy, tak wyraźnie tej odmienności znakiem
Muszą być inne kształty twórczych atomów drobnych.

Nie żeby między niemi niewiele było podobnych,
Lecz, że nie wszystkie wszystkim równe są całkowicie.
Skoro ciała są różne, muszą też być różnice
W ich odstępach, drogach, ciężarach, uderzeniach,
Związkach, ruchach. I stąd nie tylko żywe stworzenia
Różnią się między sobą, ale i ziemską gleba
Odmienna jest od morza i znów odmienna od nieba.

Teraz słów mych posłuchaj, składanych w słodkim trudzie,
Żebyś nie myślał błędnie, jak różni inni ludzie,
Że rzeczy białe, błyszczące, białem są pełne ziarnem,
A znowu z czarnych zarodków powstały rzeczy czarne.
Nie wierz, że te, co innych barw mają żywą jaskrawość.
Kolor swój posiadają za barwnych zarodków sprawą —
Jakby ciała materii od kwiatów kwitły ładniej.
Przecież nie mogą one posiadać barwy żadnej,
Ni przedmiotowi podobnej, ani mu wręcz przeciwnej.
Jeśli ci te wywody wydają się zbyt dziwne,
Rzecz masz za niezbadaną — to się wśród złudy błądasz.
Bo urodzeni ślepcy, co nigdy jasnego słońka
Nie widzą, rzeczy jednak poznają dotykiem ciała,
Chociaż im myśl o barwie i we śnie nie powstała —
Tedy i nam nie trudno przyjąć istnienie takich
Ciałek, których nie zdobią żadne tęczowe znaki.
Sami się nie poznamy z żadnym odcieniem, kolorem.
Gdy dotykamy przedmiotów nocą lub ciemnym wieczorem.

Skoro zaś w tem zwycięstwo odniosłem, dalej dowiodę

We wszystkie bowiem barwy zmieni się barwa jedna.
Tego czynić nie mogą zarodki, rzecz to pewna,

Bo musi coś w naturze niezmiennem być tworzywem.
Żeby się wszystkie rzeczy nie obróciły wniwecz:
Bo rzecz w przemianach jeśli swe krańce przekroczyła,
Umiera, i już nie ma tej, która przedtem była.
Strzeż się przeto rzeczy zarodki przystrajając barwami,
Żeby ci świata całego nie zdmuchnął nagły zanik.

Jeśli zarodki natury nie mają w sobie koloru,
Ale przez różne kształty u wszelkich swoich tworów
Dają wrażenie barwy — która z tego wynika,
Że się wciąż inny układ z innym układem spotyka —
Jeśli, dalej, od ruchów atomów i od ich zderzeń
Barwy rzeczy i barw tych zmiany muszą zależeć,
Łatwo sobie wyjaśnisz, czemu przedmioty niektóre,
Przedtem ciemne, za chwilę błyszczą białości marmurem.
Nagle zmieniając kolor. Toż często widzieć możesz.
Jak się pod batem wichru w barwie przeradza morze.
Gdy ciemne dotąd fale jaśnieją śnieżną pianą.
Mógłbyś jeszcze skądinąd podać przyczynę zmianom:
Że to, co było ciemne, jeśli zamieszać w środku,
Dodać, ująć, przestawić trochę po wierzchu zarodków.
Może się wydać białe jak śnieg. Lecz uważ teraz.
Że gdyby obszar morza błękitne ziarna zawierał,
Nie inne, jakim prawem mógłbyś je zmienić w białe?
Choćbyś je trząśł i mieszał dnie i tygodnie całe,
Nigdy ich nie zabarwisz jasną marmuru bielą.

Powiesz, że ziarna morza cechuje barwy wielość.
Choć daje ono jeden niezamącony połysk,
Równie jak z kilku części, jeszcze dzielonych na poły,
Powstaje jeden kwadrat czy inna figura cała?

Tedy na gładkiem morzu, cicho stojącym przy skałach,
Albo w lustrzanej tafli, lśniącej jednakim połyskiem.
Widziałbyś różne barwy, a choćby już te wszystkie,
Które się w morzu, w lustrze ukażą lub odbiją,
Równie jak wszystkie części, któreś w rysunkach przyjął.
A które ci nie wzbronią kwadratu widzieć kontury;
Zawsze możesz, gdy zechcesz, dzielić i składać figury —
Ale barw rozmaitych na jeden blask za wiele.

To więc, co nas uwodzi i nęci łatwym celem,
Jakoby ziarna materii zawarły w sobie kolor —
Musi być odrzucone świadomą naszą wolą.
Białe rzeczy nie z białych są ciałek, nie z czarnych czarne,
Lecz wszystko się tłumaczy różnem, bezbarwnem ziarnem,
I łatwiej biały połysk z braku barwy się zrodzi,
Niż z czerni, która nigdy się z bielą nie pogodzi.

Bez światła barwy nie ma. Temu nikt nie zaprzeczy.
A skoro nie wychodzą na światło ziarna rzeczy,
Widać, że nie są spowite w żadnych kolorów krepę.
Jakież bowiem kolory zobaczysz w ciemni ślepej?
Patrzaj, jak w słońca blasku każda się barwa mieni,
Gdy z boku albo wprost ją ustawisz do promieni.
Patrzaj, jak się na słońcu roztecza kolor pierza
Gołębia, gdy pod światło albo za światłem zmierza.
Wieniec mu piór na karku raz błysnie od czerwieni,
To się w zwyczajną szarość, to znowu w zieleń zmieni,
Jakby kto w każde piórko jarzący szmaragd wstawił.
Także w podobny sposób migoce ogon pawi,
Kiedy weń blask uderzy. A skoro widzisz jasno,
Że uderzenie światła pobudza barwy własność —

Bez uderzeń nie znajdziesz ni barwy, ni połysku.
Inne wrażenie czuje źrenica w swem ognisku,
Kiedy ją biel porazi, i inne zgoła znowu,
Kiedy ją dookoła otoczy czerni powódź.
Kiedy zaś ciało jakieś w ciemni ci dotyk drażni,
Nie dbasz, jaki ma kolor, i tylko kształt jest ważny.
Jasne jest przeto, że ziarnom nie trzeba barwy zgoła,
Skoro ją mogą kształtem i uderzeniem wywołać.

Dalej, jeśli powszechne prawo panuje w naturze,
Że żaden specjalny kolor nie służy jakiejś figurze,
Lecz z wszystkich ziaren każde otrzymasz zabarwienie —
Czemuż to rzeczy, co z ziaren się rodzą, różne odcienie
Mają i każda każdym kolorem nie może świecić?
Trzeba by, abyś widział, gdy kruk po niebie leci,
Jak z białych skrzydeł strząsa śnieżysty puch na ziemię,
Jak się z zarodków czarnych rodzi łabędzie plemię.
Lub z innych coś innego, raz tak, a raz inaczej.

Nawet gdy przedmiot jakiś kruszysz na drobny maczek,
Widzisz coraz wyraźniej, że im go bardziej drobisz,
Tem bledsza i wciąż słabsza barwa cząsteczki zdoła.
Jest tak, kiedy purpurę rozsnuwasz w drobne pasma:
Niknie wspaniałe szkarłat, fenicka czerwień jasna,
Tem bardziej, im cierpliwiej cieniutkie nici skubiesz.
Tak zwiewna barwa części rychło ulega zgubie,
Wcześniej nim się rozproszą na niewidzialne atomy.

A teraz przyznaj jeszcze, co wszystkim jest wiadome:
To, że nie wszystkie rzeczy zapach i głos wydają.
Trzeba więc rozgraniczyć, co tym, co tamtym zająć.
Także nie wszystkie okiem można obejrzeć dobrze:

Są więc bezbarwne rzeczy — inne z zapachu odrzesz,
Innym zabierzesz dźwięczność — a chociaż tak kalekie,
Zdradzą ci tajnie swoje, gdyś bystrym jest człowiekiem,
Nie gorzej od tych rzeczy, w których ci życie płynie.

Żebyś nie myślał jednak, że ciałkom brak jedynie
Barwy, to wiedz, że równie nie mają one smaku,
Zimna, ciepła, gorąca, przez pustkę swoich szlaków
Pędzą głuche i żadne ni dźwiękiem nie zadzwoni,
Ani nie wyda jakiejś właściwej sobie woni.
Podobnie, kiedy wonny przyrządzić wywar zechcesz
Z mirry i majeranku lub z nardu, co mile łechce
Nozdrza — musisz czempredziej znaleźć oliwę bezwonną,
Taką, od której zapachu żadnego nozdrza nie chłona,
Aby w tym kwietnym wywarze za ciała nowego dokładem
Woń utrwalić, a razem obcym nie zatruć jej jadem.
Tak i zarodki rzeczy, kiedy z nich rzecz się tworzy,
Nie mogą dźwięku dodać ni woni nic dołożyć;
Równie nie będą w mocy (bo mówi prawda ścisła,
Że nic nie mogą z siebie do zmysłów naszych wysłać)
Dać przedmiotom smak jakiś albo znów te czy inne
Rzeczy obdarzyć ciepłem lub przejąć srogiem zimnem.
To bowiem, co śmiertelnym jest naznaczone duchem,
To, co słabe i wiotkie, o ciele mdłem i kruchem,
Wszystko to trzeba na zawsze od ziarn materii oddzielić,
Jeśli chcemy, żebyśmy ze szczętem nie zginęli.
Jeśli wszystko ma trzymać odwieczne swe granice
I nie paść niespodzianie, nie skończyć się na niczem.

Teraz jeśliś przejęty czujących tworów ogółem,
Wiedz, że je tworzą zarodki z natury swej nieczułe.

Ni myśl rozsądna, jasna nie walczy z tem twierdzeniem,
I nic ci przeciw temu nie powie doświadczenie,
Lecz raczej rękę poda i z tobą w życie schodząc
Pouczy, jak się twory czułe z nieczułych rodzą.
Oto zobaczyć możesz, jak ziemia rodzi z siebie
Roje ruchliwych robaków w rozmokłej w deszczu glebie,
Kiedy się w gnój zamieni z wilgoci. Cała ziemia
Służy materią swoją do ciągłych rzeczy przemian.
Rzeki, liście, pastwiska przechodzą w zwierząt mięso,
Które z kolei ciała dodają ludzkim kęsom;
My znowu ciałem naszym dość często wśród ostępów
Żywimy lwy i wilki lub stada groźnych sępów.
Tak więc pokarmy wszystkie zmienia natura w ciała
Żywe, którym z pokarmów zmysł czucia mądrze dała,
Podobnie jak uschnięte drewno zamienia w płomień
I ogniem wszystko trawi. Więc przyznaj sam świadomie,
Że wielkie ma znaczenie porządek i układ ciałek,
Że od tego zależy zmysłowe życie całe,
Jakie są ruchy ziaren, zderzenia i zmieszania.

Jaka jest jednak racja, co uznać tę prawdę wzbrania,
Wstrząsa myśl, każąc wierzyć pozorom i wymysłom —
Jakoby z czułych ciałek czujące życie wyszło?
Przyznam, że drewno, kamień, ziemię gdy razem złożysz,
Choćbyś mieszał, potrząsał, czucia w nich nie wytworzysz.
Pomnij więc, że nie twierdzę, jakoby wszelkie tworzywo
Nieczułe miało zawsze rzecz tworzyć czułą, żywą,
Zmysłów pełną, lecz mówię, że to jest ważne nader,
Jak małe są atomy, idące życia śladem
I wzbudzające czucie, jakie są ich postaci,
Układy, kształty, ruchy, porządek wśród współbraci.

Tego pewnie ni w ziemi, ni w drewnie nie zobaczysz —
Jednak, gdy deszcz układy zarodków przeinaczy,
Rodzi się z nich robactwo, ponieważ ciałek zbiory
Pchnięte zdarzeniem nowem pośród przyjaznej pory
Łączą się tak, by wydać na świat żyjące stworzenia.

Dalej, ci co przywykli wedle podobieństw oceniać
Z czuciem swoim, i sądzą, że czule powstaje z czulego

Czyniąc miękkie. Bo wszelkie czucie ciała i kończyn
Z nerwami i mięśniami, i z żyłami się łączy,
Które są miękkie przecie i którym śmierć pisana.
Nawet niechby i trwały niezmiennie w wiecznych zmianach,
To albo muszą czucie całego ciała mieścić,
Tak jak człowiek czy zwierzę, albo tej jednej części.
Nie da się jednak przyjąć, by części czucie miały,
Bo nie pozwoli na to skład organizmu cały,
I kiedy rękę odjąć, czy jakiś inny członek,
Nie będzie odczuwanie znikąd mu udzielone.
Trzeba je zatem całkiem przyrównać ciała masie,
Zbliżyć w cechach, jeżeli za prawdę przyjąć ma się
Wspólne żywotne czucie. A teraz, jakim prawem
Nazwiesz je zarodkami, dasz im wieczności sławę,
Jeśli są stworzeniami? I cóż powiedzieć możesz,
Jak nie to, że śmierć czeka każde ze wszystkich stworzeń?
Zresztą jak chcesz — niech będą; lecz choćbyś zmieszał wszystko,
Nic nie masz, jak tłum tylko i stworzeń zbiegowisko,
Które jak ludzie, bydło, dziczyzna, zejściem swoim
Nie zrodzą ci niczego, i o to się nie boją.
A jeśli jedno czucie zgubią i drugie biorą.
To po cóż było w kółko czas tracić i słów sporo?

Dalej, gdy powrócimy poprzednim naszym szlakiem,
Gdy widać, jak z jaj martwych żywe się rodzą ptaki,
Że lęgnie się robactwo, gdy ziemię w porę słotną
Zgnoją uparte deszcze i rannych ros wilgotność -
To jasne, że z nieczucia czucie się rodzić może.

Gdyby zaś kto przypadkiem coś przeciwnego orzekł,
Że czucia z nieczuć tylko szczególnych przekształceń droga
Albo zrodzeń jakowych nagle powstawać mogą,
Można mu w kilku słowach dowieść i uzasadnić,
Że bez poprzednich skupień nie ma porodów żadnych,
Ani coś dozna zmiany bez uprzedniego zejścia.
Stąd też nigdzie w przyrodzie nie ma na zmysły miejsca,
Zanim się ciało zrodzi i życie w owem ciele.
Bowiem materia ciała, rozpierzchnęła wśród podzielen
Wody, powietrza, ziemi, i wszelkich ziemnych płodów,
Jeszcze się nie skupiła do możliwości porodu,
Jeszcze nie dała ruchu, który w swój czas obudzi
Czujne zmysły — strażniki żywych stworzeń i ludzi.

Zresztą każde stworzenie, gdy je silniejszy spotka
Cios, niż natura strzyma, rozprzęga się do środka.
Łamie się ciało, zmysły i znika siła ducha,
Rozsypuje się cząstek słabych budowa krucha.
Ruch ustaje, co życie płodził i podtrzymywał.
Aż materia, wstrząśnięta we wszystkich członkach, odrywa
Od ciała nici duszy, rwie się w całości przedza
I życie, czucie, siłę okrutna śmierć wypędza.
Jakże bo sądzić mamy? Cóż cios gwałtowny sprawi,
Jak nie to, że rozbiwszy, nic w miejscu nie zostawi.

Zdarza się, że gdy ciało nie nazbyt srogim ciosem
Ranić, ruchy żywotne przejdą nad śmierci głosem,
Zwyciężą, powstrzymają rozruch uderzeń w środku.
Zwrócą na drogę życia gromady luźnych zarodków,
Zmoga śmiertelny bezład i zmysłów noc zgaszoną
Nowym rozpalą ogniem, każąc im znów zapłonąć.
Czemuż bowiem, co stoi już na granicy trwania,
Znowu nabrawszy mocy, ma się powrotu wzbraniać
I z drogi się nie cofnąć, chociaż ja prawie doszło?

Jeśli zaś ból jest wtedy, gdy ziarnom, życia posłom.
Gwałt jakiś burzę niesie i z właściwego miejsca
Pędzi ze swoich siedzib po stawach i po mięśniach,
Rozkosz znów wtedy bywa, gdy mogą przyjść z powrotem —
To nie w zarodkach znajdziesz przyczynę i istotę
Bólu, ani rozkoszy im nie potrafisz zadać.
Żadne z nich z mniejszych ciałek z kolei się nie składa,
Przez których nowe ruchy mogłaby rozkosz powstać
Albo ból przejąc ziarna. Dlatego też, rzecz prosta.
Nie posiadają czucia ni żadnych zmysłów innych.

Jeśli już zaś koniecznie ciała odczuwać winny
Po to, by czuło stworzenie — to cóż znów o tych powiesz
Ciałkach, z których się składa nasz ludzki rodzaj, człowiek?
Muszą się chyba zarodki już to od śmiechu zanosić,
Już to płakać i łzami policzki i oczy rosić.
Muszą też wiele rozprawiać o rzeczy mieszaninach,
Pytać, z jakich to drobin składa się znów drobina;
Do całych śmiertelników we wszystkim upodobnione
Same z kolei muszą się z części składać, jak oni,

Te znów z innych, i dalej, i nigdy nie ustanieś —
Ścigać cię ciągle będę i zmuszę dać wyznanie,
Że każdy mędrak, śmieszek, płaczek musi się składać
Z cząstek, z których każdziutka każdą z tych cech posiada.
Jak to szalone — widzisz. Bo można śmiać się, choć się
Nie jest z śmiechliwych ciałek, i można prawdy dociec
I dobrze ją wyłożyć — bez ciałek wygadanych
I mądrych. Czemuż więc twory, u których dostrzegamy
Czucie, nieczułych nasion nie mogą być złożeniem?

Wszyscy jesteśmy w końcu z niebiańskich ziarn zrodzeni,
Jeden jest ojciec wszystkich, któremu poślubiona
Matka ziemia przyjmuje do żywotnego łona
Dżdzu krople, potem rodzi zboże i drzew gęstwiny,
Ludzi, bydło i ptaki, i dzikich puszczy zwierzyne,
Razem im paszę dając, by mogły żyć i rosnąć
I miły zastęp młodych wylęgać każdą wiosną.
Stąd jej słusznie należne wszechrodzicielki imię.
Ona, co z siebie dała, z powrotem w siebie przyjmie,
To zaś, co z krańców nieba zesłane było na dół,
Znowu powraca w niebo, nie zostawiając śladu.
Śmierci dłoń nieulekła, gdy niszczy wszystkie rzeczy,
Ciała rozprzega tylko, ale ich nie niweczy,
Jedne dodaje drugim i sprawia tem mieszaniem,
Że się przekształca wszystko, nic w miejscu nie ostanie;
Zmysły, barwy przychodzą, a potem z nagłą giną —
Przez co rozumieć możesz, jak ważną jest przyczyną,
Jak się zarodki rzeczy, z jakimi, w jakim zbiorze
Zejdą i jakie ruchy wśród nich założyć możesz.
Nie myśl, że to stanowi pierwotnych ziarn osnowę,
na powierzchni widzisz niknące wieiż, wciąż nowe,

Nagle widome — nagle już oczom nie dostoi.
Przecie (jak już mówiłem) litery w wierszach moich
Ważne są przez swój układ, porządek, zestawienie.
Jedne wciąż znajdziesz w słowach znaczących niebo, ziemię,
Morze, stworzenia, krzewy i złote błyski słońca;
Chociaż bowiem nie wszystkie, to większość jednobrzmiąca,
Kształtem podobna — jednak układ wyrazy tworzy.
Tak też jest i z rzeczami; kiedy się ruch pomnoży.
Zmieni kształt i porządek ich materialnej treści.
Same się muszą zmienić i w nowe formy zmieścić.

Teraz usłyszysz rzecz nową przedziwnie. Przeto obróć
Ducha swego ku prawdzie, własnemu twemu dobru,
Aby ci trudne rzeczy mogły się jawić prościej —
Nie ma-bo rzeczy łatwej, która nie stawia trudności,
Gdy ją z początku badasz, i nie ma tak ogromnej,
Podziw budzącej w sercu, której by gmin ułomny
Zwolna nie odarł z części i wprost nie lekceważył.
Spojrzyj na niebo czyste, co się nad tobą jarzy,
Spojrzyj na gwiazd gromady, które się snują na niem,
Na księżyc i na słońca świetliste rozkwitanie.
Gdybyś to wszystko teraz, nieznanie oczom ludzi,
Odkrył nagle i blaskiem blask w ich źrenicach zbudził.
To czy coś nad to większe i bardziej cudne kiedy
Mógłby sobie wymarzyć ktoś z śmiertelników czeredy?
Nikt doprawdy, tak wielki wzbudziłoby to podziw!
Ale dziś każdy zna to, nikogo nie obchodzi.
Nikt nie jest ciekaw nieba i jego jasnych stropów.
Przeto nie bój się trudu, chociaż ci miły spokój
Rzeczy starych, lecz ostrym rozumem rozważ nowość.
Którą ci głoszę, i jeśli prawdę przyznasz mym słowom.

Błyśnie gromem, by często świątynie palić własne.
Albo z potęgą burzy odleci na pustynie
I tam się srożyć będzie piorunem, co ominie
Winnego nieraz człeka, a niewinnego ugodzi?!

Po narodzeniu świata, po dniu, co był świadkiem narodzin
Morza, co ziemię i słońce widział dopiero powstałe.
Dużo tu jeszcze z zewnątrz napłynąć musiało ciałek.
Które ruch wszechcałości w bliskich zgromadził skupieniach;
Z tych nowych ziaren zapasu zwiększyło się morze i ziemia,
Przez nie rozrosło się niebo i wzwyż od ziemi podjęło
Stropy swe, i powietrze za sobą pociągnęło.
Bowiem z każdego miejsca ziarna przez uderzenia
Schodzą na stanowisko do swego pokolenia.
Ciecz uchodzi do cieczy, ziemia narasta z ziemi.
Eter z eteru rośnie, a ogień znów z płomieni,
Póki w porządku swoim natura-rodzicielka
Nie sprawi, że do końca rozwinie się rzecz wszelka.
Kiedy to, co przybywa do tętnic i do wnętrza,
Już nie przerasta ubytku i ciała nie powiększa;
Wszystkim bo w świecie rzeczom, gdy dojdą już do szczytu,
Ściąga natura cugle — wtedy z rozwoju kwituj.
Wszystko, co widzisz wkoło, jak wchodzi wciąż na stopnie
Wzrostu, aż z biegiem czasu dojrzałych kształtów dopnie.
Więcej spożywa materii, niż na ubytek łoży.
Wtedy jeszcze i pokarm rażno przenika do żył,
Jeszcze otwory ciała nie są tak rozszerzone.
By tracić nazbyt wiele i bliżej być ze zgonem.
Łatwo bowiem potwierdzić, jeśli od prób nie stronisz,
Że dużo z ciał ubywa, lecz więcej wnika do nich,
Póki wreszcie żywotność nie dojdzie do tej chwili,

Kiedy się łamie siła, kiedy się czas przechyli
W gorszą stronę i zwolna przychodzi dzień upadku.
Im rzecz potężna bardziej, gdy minie czas dostatku,
Tem więcej z siebie traci i więcej gubi ziaren,
Na prawo i na lewo kurcząc się swym obszarem.
Już nie tak łatwo pokarm przenika w ciała wnętrze,
Już i zapasy nikną, ubytki są wciąż większe,
Już nie nastarczy przyrost wciąż większej straty zabić.
Wszystkie też ciała czezną, gdy upływ je osłabi,
Kiedy od ciągłych ciosów chylą się ku starości;
Pokarm już ciał nie żywi, nie daje odporności
Przeciw atakom ziaren, co z zewnątrz nieprzerwanie
Kruszą związek materii i kończą jego trwanie.

Tak więc i mury świata obaczą swą godzinę,
Szturmem gdy śmierć nadejdzie i zwali je w ruinę.
Wszystko wymaga paszy, a gdy pokarmu nie ma,
Nic już starości słabej w upadku nie powstrzyma,
Bo już za słabe żyły, by po nich mocy dar biegł,
Ani go, ile trzeba, nie da natury skarbiec.
Oto złamany wiek już, już ziemia starczem ciałem
Rodzi skarłałe płody — ona, co wieki całe
Była matką pokoleń olbrzymów i potworów.
Już nam ich nie dostarczy z jasnego niebios dworu
Cudem na sznurze jakim, już wrócić ich nie może,
Bo ani je rodziło niebo, ni chłodne morze.
Tylko ziemia, ta sama, co nas i wszystko żywi.
Ona słodkie winnice i złote zboża niwy
Własną wolą wydała, wysiała tysiąc jarzyn,
Które ci oko pieszczą, gdy wśród nich gospodarzysz.
Ledwie ci dzisiaj rosną, choć trudu im nie skąpisz,

Chociaż pomnażasz pługi, w sadach ustawiasz pompy.
Marne to dzisiaj plony, i wciąż je żywiąc znojem
Ledwie wyżywisz z ziemi siebie i trzody swoje.
Często już spuszcza głowę strudzony, siwy oracz,
Łajać swą tanią pracę od rana do wieczora,
I kiedy dawne czasy przyrówna dzisiejszości,
Ojcom, dawno umarłym, szczęśliwszych lat zazdrości.
Często stary właściciel wyschniętych, płonnych winnic
Zrędzi na starość swoją, złą porę, suszę wini,
Pomny, jak człowiek ongi pobożny i uczciwy
Syto mógł żyć i zbożnie z szczuplejszej znacznie niwy,
Gdy na jednego męża niewielki łąn przypadał.
Nie wie, że wszystko w świecie powoli podupada,
Dążąc w zgrzybieniu swoim do śmierci i do kresu.

Koniec księgi drugiej

KSIĘGA TRZECIA

Za tobą, któryś pierwszy z głębokich wyniósł ciemności
Światło, by wskazać nam jasno prawdziwe życia wartości,
Idę, dumo greckiego plemienia! W ślady twoje
Mocno wraziwszy stopy, szczęśliw i silny stoję.
Nie zawiść mnie prowadzi, lecz raczej miłość skora
Gonić mi ciebie każe. Jak się jaskółce porać
Z łabędziem? Jak koźlęciu mdłemu o nogach drżących
Marzyć, że przed rumakiem gonitwę w szrankach skończy?
Tyś nam, ojcze, odkrywcą prawdy. Ty nam kroki
Radą światłą kierujesz. Z twoich my pism głębokich,
Pszczołom podobni skrzętnym, co piją słodycz kwiatów,
Złote zbieramy słowa, godne być chlubą świata
I poprzez wszystkie wieki wszystkim narodom świecić.

Skoro nam głosić poczniesz o prawdzie wszystkich rzeczy
Wiedzę umysłu twego, nieziemskiej wprost natury,
Wnet ducha trwoga pryska, pryskają świata mury
I widać, jako w próżni wszystkie się rzeczy stają.
Widać majestat bogów, widać zaciszne ich kraje,
Których nie chwieją wichry, ni chmury w wichrów biegu
Rażą deszczem, ni mrożą białe podmuchy śniegów,
Tylko łagodny eter bezmgiełną swą zasłoną
Kryje je, uśmiechnięty przez światła nieskończoność.
Wszystko natura tworzy, wszystkiego im dostarczy,

Niczem złem im umysłu na chwilę nie obarczy.
Nigdzie się nie pojawiają żalobne Acheronty,
Ziemia nie stawia przeszkód dla oczu ani rąk twych,
Byś poznał, co pod nami dzieje się w próżni z dołu.
Boska przejmuję radość i trwoga z nią po społu,
Że przez moc twojej myśli tak się wspaniale jawi
Prawda rzeczy. Tyś jeden tajemnic ją pozbawił.

Skórom już wytłumaczył naturę rodnych ziaren
Oraz, jak rozmaicie zmieniają kształtów miarę,
Własnym pędzone ruchem od niepamiętnych czasów
Krażą, rodząc ze siebie wszystkich przedmiotów zasób.
Teraz trzeba, jak sędzę, dalsze rzeczy poruszyć,
Słowem wiazanem wyłożyć naturę ducha i duszy —
Wygnać z serca strach ciągly przed Acherontu krajem,
Strach, co zatruwa życie, spokoju nam nie daje,
Wszystko zaczernia śmiercią i umysł drażąc do dna,
Nigdy nam nie pozwala czystej rozkoszy doznać.

Mówią wprawdzie niektórzy, że więcej bać się trzeba
Chorób i życia w hańbie, niż śmierci, piekła, nieba,
Mówią, że duch — to albo krew, albo wiatr (co wolisz),
Że sami znają prawdę cielesnych swych wyzwolin,
Że strach jest obcy dla nich, droga za grób niegroźna.
Próżne to samochwalstwo i łatwo je rozpoznasz
W słowach na wiatr rzucanych. Bo oto ciż zuchwali,
Kiedy ich wygnać z kraju, mosty powrotu spalić,
Z dała od ludzkich twarzy, zhańbieni zbrodnią srogą,
Jednak, wbrew swym zasadom, żyć w upodleniu mogą.
Bo dokąd los ich zagna, tam zaraz ołtarz, zaraz

Cieniom zmarłych z krwi bydła wylewa się ofiara.
Zaraz i cześć dla bogów — i w losu przeciwnościach
Sercem religię przyjmą jak najmilszego gościa.
Ileż lepiej na człeka spoglądać, gdy w niedoli,
Gdy go nieszczęścia trapią, bo łatwiej się pozwoli
Poznać, i w ciężkiej walce z nieubłaganim losem
Zrzuci maskę i z piersi własnym przemówi głosem.

Wreszcie chciwość i ślepe zaszczytów pożądanie
Gnają nieszczęsnych ludzi poza praw wszelkich kraniec
Tak, że służy występku i sprzymierzeńcy zbrodni,
Noce i dnie się trudzą, aby swą władzę podnieść,
Wejść na szczyty znaczenia; tym życia gnojowiskom
Jest i zabobon druhem i trwoga śmierci bliską.
Hańba bowiem, pogarda i nędza dokuczliwa
Równie od kwiatu życia człowieczą myśl odrywa,
Jakby już poza śmiercią stał, chociaż jeszcze żywie.
Ludzie zaś, w strachu śmierci tkwiący nieodstępnie,
Gdy chcą się zeń otrząsnąć i uciec gdzieś daleko,
Gaszą namiętność bogactw krwi swych sąsiadów rzeką.
Nienasyceni nowe zbrodnie dodają starym.
Cieszy ich własnych braci żalony stos i mary,
Trwożą się przed otruciem przy swej rodziny stołach.
Krzykiem jednego strachu zawiść w ich sercach woła:
«Oto ten, ów do władzy, do bogactw doszedł prędej,
A nas los poniewiera, a nas los wtrącił w nędzę!»
Tak się szarpią i giną dla bogactw pomnożenia,
Ci znowu dla posągów, dla chwały, dla imienia.
Często nawet strach śmierci w sercach co słabszych ludzi
Wstręt do dalszego życia nękanem swoim budzi,

Że sami, bólu pełni, śmierć z własnej ręki biorą,
Nie wiedząc, że to strach ów jest najgroźniejszą zmorą,
Że on pozbawia wstydu, że on przyjaciół dzieli.
Z świętością obowiązków kłóci ich głosicieli.
Nieraz to już ktoś zdradził własną ojczyznę, braci,
Nawet rodziców miłych, byle życia nie stracić.
Bowiem, jak w ciemnej nocy nie uśnie dzieciak mały
Drżąc przed strachami, równie my nieraz i w dzień białą
Boimy się upiorów zwodniczych i nietrwałych
Jak te, przed których widmem trwoży się serce dzieci.
Tego mrocznego lęku nic równie nie rozświeci,
Ni złote strzały słońca, ni dnia oblicze białe,
Jak praw i zjawisk natury poznanie doskonałe.

Najpierw powiem, że duch, umysłem zwany też nieraz,
W którym się życia naszego rada i rząd zawiera,
Jest jednak cieleśną częścią w człowieczem ciele,
Jak ręce, nogi, oczy. i innych części wiele.

[Próżno uczą niektórzy],
Że duch, że nasze czucie w żadnym miejscu nie gości,
Ale jest stanem ciała, tym stanem żywotności,
Który Grecy zowią harmonią; że nam ona
Życ daje czując, chociaż nigdzie nie umieszczona
(Jak się na przykład często mówi o «dobrem zdrowiu»,
Którego nigdzie w ciele nie myślisz umiejscowić).
Że tak — nie w jakimś miejscu — stawiają ducha czucie,
Mylą się i z nich każdy mocno od prawdy uciekł.
Często na pierwszy pozór ciało się chore wyda,
Podczas gdy radość czuje w częściach, których nie widać.

Często odwrotnie bywa, gdy ktoś ma duszę zboląłą,
Chociaż w tym samym czasie wesołe i zdrowe jest ciało.

Podobnie, kiedy komuś dolega boleść nogi,
Głowa nic nie odczuwa, lub nawet spokój błogi.
Wreszcie, gdy członki ciała w senność zapadną miłą
I leżysz, pokonany słodką bezwładną siłą,
Jest przecież coś, co w tobie w snu czasie rozmaicie
Wzburza się, że się czujesz raz na radości szczycie,
To znowu serce twoje trwoga daremna wzrusza.

Teraz, abyś mógł poznać że mieszka w członkach dusza,
Że nie harmonia sprawia wrażliwość w naszym ciele,
Zważ, że nierzadko człowiek, choć ciało straci wiele,
Jednak może w niem jeszcze pozostać życie — za to
Zaraz opuszcza ciało z tchu i ciepłoty stratą,
Kiedy tchnienie przez usta wyleci, kiedy z członków
Wyjdzie choćby niewielka ilość ciepłych zaczątków.
Przez to poznasz, że cząstki wielce się różnią znaczeniem
I nie od wszystkich jednak zależy nasze zbawienie,
Lecz że zarodki wiatru i tchnienia gorącego
Najbliższe sile życia, bo jej najdłużej strzegą.
Jest ciepło i wiatr ożywczy, co w ciele się zawiera,
A wnet opuszcza ciało, gdy życie w nas zamiera.

Teraz, kiedyś rozpoznał naturę ducha i duszy
I wiesz, że to część jest człowieka, harmonii cię nazwa nie wzruszy,
Z górnego Helikonu zesłana grajków rzeszy —
Jeśli jej skądś nie wzięli, by się nabytkiem cieszyć
W rzeczach, dotąd własnego nazwania nie mających.
Oddaj im, niech ją mają. Bacz sam, jak swoje kończyć.

Teraz powiadam, że duch i dusza związane są wzajem
Jak najmocniej, i jedna z nich obu substancja powstaje;

Lecz głową dla całości jest rozum, który zwany
Duchem, umysłem, rząd w nas sprawuje nieustanny.

Jego cała siedziba w środku się, w piersi mieści,

Tu bowiem jest ognisko radości i boleści

I strachu. Tu więc umysł i duch ma swe mieszkanie.

Reszta zaś duszy wszędy, po całym ciele rozszana,

Słucha go i na każde drgnienie mu odpowiada.

On jeden swoją myślą, radością, smutkiem włada,

Gdy ich przyczyna obca razem ciała i duszy.

Równie jak całość ciała boleścią się nie wzruszy

Przy bólu głowy czy oka, tak bywa, że w cierpieniach

Albo radościach ducha nic się nie dzieje, nie zmienia

W ciele, w członkach, i duszy naszej część pozostała

Ani bólu nie czuje, ani radością pała.

Ale gdy duch czemś strasznie gwałtownie się przeleknie,

Zaraz i cała dusza po członkach mu oddzwieknie:

Bładość i pot na czole, język od razu zaschnie,

W uszach szum, mrok na oczy wnet pasmo tka po paśmie,

Głos cichnie i kolana opada słabość — nieraz

Widać, jak pada człowiek, jak w strachu pół-umiera;

Łatwo zrozumieć z tego, że duch i dusza ściśle

Związane są. I ona, gdy duch jej rozkaz przyśle.

Zaraz cały organizm uderza i porusza.

Ten wywód już tłumaczy, że równie duch, jak dusza,

Cielesnej są natury; bo jeśli w ruch wprawiają

Członki, ze snu nas budzą, kształt twarzy odmieniają,

Jeśli całym człowiekiem kierują, jak sternik okrętem,

To zaś bez dotknięć zgoła byłoby niepojęte

(A dotknąć tylko ciała można), więc tem cię zmuszę
Przyznać, że z ziarn materii są duchy oraz dusze.
Przytem dokładnie widzisz, że razem z ciałem twojem
Duch cierpi, czuje ciała bóle i niepokoje.
Kiedy, chociaż ci pocisk ostrzem srogiem przebije
Kości i nerwy, lecz nie śmiertelnie, i jeszcze żyjesz,
Jednak odczuwasz słabość i słodki pęd ku ziemi,
Zawrót głowy, gdy padasz, gdy ciało ból ci przenikł,
Gdy się niepewnie dźwigasz i chwiejąc się upadasz;
Musi więc duch zarówno z cielesnych drobin się składać,
Jeżeli go cielesną porazić można strzałą.

Teraz ci dalej wyjaśnię, jakie jest ducha ciało,
I z czego, z jakich części. Naprzód ci to powiadam:
Nader subtelna jest ducha materia i musi się składać
Z ciałek niezmiernie drobnych. Jeżeli ci nie zbywa
Chęci, zważ, czy cię ten to przykład nie przekonywa.
Nic się tak szybko nie dzieje, tak szybko nie objawia,
Jak umysł, kiedy obmyśla działanie albo je sprawia.
Duch zatem musi poruszać się szybciej niż wszystkie rzeczy.
Które bez trudu i jasno oczom się jawią człowieczym.
Jeśli zaś tak jest rychły, to musi, jako żywo,
Z ziaren krągłych i małych wynikać ta ruchliwość,
Które lada trącenie i lada podmuch zbudzi.
By wzruszyć, zmaćcić wodę, nie trza się wiele trudzić —
Dlatego, że ma ciałka gładko toczone i małe.
Miód do tego trudniejszy — tworzywo ma bardziej stałe.
Wolniej spływa i ruch ma leniwszy niepomiernie,
Ściślej bowiem zespala i zwiera ciałka wierniej,
Bo nie są już tak lekkie, krągłe ni drobne wzrostem,
By miały więcej przejścia i lepszy wzajem dostęp.

Kopiec maku bez trudu ledwo uchwytnem tchnieniem
Możesz z góry do dołu rozsypać w jedno mgnienie,
Trudniej jednak tak zdmuchnąć kamieni stos od góry
Lub zboża. Im są ciała drobniejsze i gładziej natury.
Tem zwinniejsze będą. do ruchu bardziej zdolne.
Te znów będą, przeciwnie, i stalsze, i powolne.
Które cechuje większy ciężar i chropowatość.
Skoro więc duch z natury ruchliwy jest aż nadto,
Tedy jasno wynika, że musi być złożony
Z ciałek drobnych i lekkich, o kształtach zaokrąglonych.
Przyjmij to, dobry druhu, bo rzeczy tych poznanie
Nieraz się może przydać, znaleźć zastosowanie.

Jeszcze ci jeden dam dowód, który wskaże ci łąco,
Jaką ma duch osnowę drobniutką i delikatną —
Że gdybyś mógł ją zebrać, miejsca jej nie trza wiele.
Kiedy bo śmierć kojąca zagości w ludzkim ciele,
Kiedy już uszła z ciała dusza i duch z nią razem.
Żadnego w nim ubytku ni w kształcie, ni w ciężarze
Stwierdzić nie możesz zgoła. Bo wszystko śmierć zostawia,
Oprócz ciepłego tchnienia i czucia, co żywot sprawia.
A zatem wszystka dusza, rozsnuta po ciele całem,
Musi być z ziarn utkana tak bardzo drobnych i małych,
Że kiedy z członków ustąpi, opuści nerwy i żyły.
Kształty ciała są nadal takie, jak przedtem były,
I ciężar zwłok zostaje ten sam, nienaruszony.
Podobnie wino, chociaż nie ma już smaku ni woni,
Nie traci przez to ciężaru, ani ci w oczach maleje.
Albo inny weź przykład: kiedy wonny olejek
Zapach swój cały utraci, ni trochę się nie zmniejsza
Ciecz, którą widzisz, i wcale nie staje się przez to lżejsza.

Tych i podobnych zjawisk przyczynę ci łatwo odsłonię:
Z bardzo drobnutkich ziaren powstają smaki i wonie.
Trzeba zatem dla ducha i duszy substancji przyjąć
Nader drobne zarodki, co nic nie ważą, żyjąc
W ciele, i gdy zeń wyjdą, ciężaru mu nie biorą.

Nie myśl jednak, że ta substancja jest prosta; bo skoro
Człowiek umiera, wtedy opuszcza go tchnienie lekkie,
Z ciepłem zmieszane, a ciepło pociąga za sobą powietrze
(Nigdy bo nie ma ciepła tam, gdzie powietrza braknie,
Rzadkie jest bowiem w sobie, i powiązania łąknie —
Stąd w niem ziaren powietrza wiele się musi znaleźć).

Tak już masz trzy składniki ducha, a idąc dalej
Poznasz, że to za mało, by czucie w ciele stworzyć.
Umysł bowiem tym ziarnom, co je w swej treści złożył,
Mocy nie przyzna budzenia ruchów, czucie tworzących.
Trzeba czwartą naturę do tamtych trzech dołączyć.
Dla niej już nazwy nie ma. Nic nad nią nie istnieje
Bardziej ruchliwe, nic też tak delikatne nie jest,
Ani też ma zarodki tak gładkie i znikome.

Ta to natura w członki wprowadza czucie ruchome;
Pierwsza się budzi w ruchu swych małych, gładkich drobin,
Od niej ruch bije w ciepło, od ciepła w tchnienia przechodzi,
Stąd do powietrza, a wtedy wszystko już ruch zdobywa,
Krew burzy się i czucie po wszystkich już biegnie ogniwach,
Wreszcie do kości sięgnie i w kościach, mknąc po szpikach,
Już to rozkoszą nagłą, już bólem je przenika.
Nie zawsze tak daleko dociera ból i męka —
Wtedy bowiem w ciele wszystko się rwie i pęka.
Miejsca dla życia braknie i drobne ziarna duszy
Dążą przez wszystkie szczeliny, by się na zewnątrz rozprószyć;

Jednak najczęściej powierzchnia ciała stanowi granicę
Owym ruchom, i przez to możemy zachować życie.

Teraz, gdy pragnę podać, jak są nawzajem zmieszane,
Jak współdziałają te cztery natury — skąd dostanę
Słów na to w nieudolnej ojczystej mojej mowie?
A i tak, ile zdołam, trochę w tej rzeczy powiem.
Oto zarodki rzeczy przez ruchów pomieszanie
Tak krążą, że z nich żaden wybić się nie jest w stanie,
Niczem przewyższyć resztę, i przez ten ruch zawiły
Wyda się, że to różne jednego ciała siły.
Oto każdego zwierzęcia mięso gdy rozpatrywać,
Smak ma, barwę, i własna woń się z niego dobywa —
A przecież wszystkie te cechy jedno ciało stanowią.
Tak też ciepło, powietrze i niewidoczny powiew
Tworzą, zmieszane, jedną naturę razem z ową,
Co, nie nazwana, ruchu wiecznego jest osnową
Skąd się po ciele rozchodzi czucia wrażliwość żywa.
Ona to już najgłębiej ukryta w ciele spoczywa —
Nic nie jest bardziej wewnętrzne w ludzkiego ciała osnowie;
Ona to jakby duszę samej duszy stanowi.
I równie jak po ciele, po wszystkich jego członkach
Siła ducha i duszy w drobnych zarodkach się błąka,
Z nich stworzona, w nich skryta, tak tamta siła znowu,
Dotąd nie nazwana, wśród ciała zażywa schowu
Najgłębiej. Ona to właśnie, z drobnutkich ziaren cała,
Jest duszą duszy naszej, panią całego ciała.

Podobnie tchnienie powietrza i ciepło, co w ciele mieszkają,
Muszą działać po społu i mieszać się z sobą nawzajem;
Musi jedno nad drugim górować, a drugie spadać

Niżej, by mogły się razem na pewną jedność składać,
By ciepło i tchnienie z jednej, powietrze z drugiej strony
Idąc, nie zniszczyły czucia w ciele skłóconem.
Oto duch ciepło znaczne wskazuje, kiedy w gniewie
Ogień poczujesz w piersi, a w oczach skier zarzewie.
Zimnego nie brak mu tchnienia, kiedy w uczuciu trwogi
Dreszcz ci przenika ciało, a drżą i mdleją nogi.
Jest w nim też i powietrze spokojne, gdy na twarzy
Ni w sercu gniew ni trwoga pojawić się nie waży.
Ciepła najwięcej mają istoty krewkiego ducha,
Z sercem porywczem, co z lada powodu gniewem wybucha
Tutaj przewodzą lwy swoją mocą nieposkromioną,
Lwy, którym z piersi potężnych wybucha ryku szaloność.
Gdy w nich nie mogą wstrzymać wściekłości dzikiego strumienia.
Inny jest duch jeleni, chłodnego pełen tchnienia,
Prędzej on w ciele zimno budzi na odgłos sfory
I trwogą drży po członkach, do uciekania skorych.
Inaczej woły. Powietrza spokojnego obfitość
Gniewem ich nie zapala ni złością krwi niesyta,
Ani też trwogi bladej nie wzbudza, ni dygota
Lękiem i niepokojem — nic dla nich nie dziwota;
W środku lwów i jeleni jest miejsce ich natury.
Tak też i w ludzkim rodzie. A choć się wyda który
Nauką ogładzony najlepiej, przecie nieraz
Ślad pierwotnej natury spod tej ogłady przeziera.
Nie myśl, że to tak łatwo usunąć te ślady do szczytu,
By ten i ów o wrodzonej bojaźni nie pamiętał,
Tamten gniewu zapomniał, by znów innego trzasło
Coś, że nagle przestanie być jak to ciepłe masło.
Różnią się ludzkie natury — stąd różne usposobienia.
Wszystkich rodzajów i odmian nie będę ci wymieniać

Teraz, ani wykładać, za jaką ukrytą przyczyną
Jeden ma taką swoistą naturę, a drugi — inną,
Ni formy nazywać ziaren, z których się różność ta bierze.
Jedno ci wszakże powiem — tak pewnie, jak w to wierzę:
Ślady wpływu zarodków na ducha, których zwykle
Nie zatrze moc rozumu, tak słabe są, tak nikłe,
Że nic nam nie przeszkadza żyć godnem bogów życiem.

Taka jest dusza. Ciało ją chroni pieczołowicie,
Ona zaś jest dla ciała strażniczką i zbawieniem,
Wspólnie się bowiem wzajem splątały ich korzenie
I trudno je rozerwać bez zguby rzeczy całej.
Równie, jak nie oderwiesz woni z kadzidła gałek,
Abyś go nie zniweczył, natury nie pozbawił,
Tak nie można i duszy z żywego ciała wyprowadzić
Wraz z duchem, aby przytem całości nie naruszyć.
Zaraz-bo od początku ziarna ciała i duszy
Splotły się, by jednemu już odtąd życiu służyć.
Nie może duch ni ciało osobno sił swych użyć,
Jedno bez drugiego czucia wzbudzić nie zdoła.
Tylko we współdziałaniu ich ruchy mogą wywołać,
Wzniecić czucie, które po wszystkich się członkach rozchodzi.

Nadto i ciało samo nie zdoła się ani urodzić,
Ni rosnąć, ni w całości pozostać po pogrzebie —
Inaczej niżli woda, co ciepło straciwszy z siebie,
Ani się w sobie zmieni, ni zmniejszy się ciężarem,
Lecz zostaje. Nie tak jest ze stratą ducha ziaren.
Ale gdy dusza ujdzie z cielesnych fundamentów,
Muszą się one rozpaść, zginąć i zgnić do szczętu.

Już od początku życia uczą się one wzajem
Ruchów żywotnych wtedy, gdy jeszcze pozostajem
W łonie matki, i kiedy przyjdzie się im rozłączyć,
Zgubą natury obu rozłąka ta się kończy.
Widzisz, że jak złączone są ich warunki trwania,
Tak złączona natura i wspólność bytowania.

Dalej, jeśli ktoś ciała odmawia czucia, wyznaje
Wiare, że sama dusza, wszędzie zmieszana z ciałem,
Ruch podejmuje, zwany czuciem, ten bez wątpienia
Walczy przeciwko prawdzie i oczywistość zmienia.
Na czym się bowiem oprzeć, o czuciu cielesnem prawiąc,
Jeśli nie na przykładach, co się nam wszędzie jawią?
Powiesz: ciało bez duszy nie ma czucia żadnego.
Słusznie, bo to jeno traci, co nie należne do niego —
Jak wiele innych rzeczy, gdy śmierć je wygna mroźna.

Trudno rzec, że niczego oczyma ujrzeć nie można,
Lecz że to duch patrzy przez nie, jak przez otwartą bramę
Skoro zmysł wzroku wie dzie, odwrotnie, w oczy same.
Czucie wzrokowe bowiem jawnie dąży do źrenic.
Skąd też często stajemy blaskiem w pół-oślepieni,
Patrząc na lśniące rzeczy, nie widząc ich zarysu —
Drzwiom się to nie przydarza. Zresztą, co chcesz, wypisuj,
Nie drzwi, ale my sami patrzymy. Jeśli przytem
Oczy są drzwiami tylko, to skoro drzwi wybite
(Czytaj: oczy wyjęte), duch lepiej widzieć winien
Bez przeszkód. Pięknie. Jak tu sens jaki z tego wynieść?

W tej rzeczy rozumieniu muszę cię teraz jeszcze
Przed Demokryta wielkiego mniemaniem błędnem przestrzec,

Go uczy, że ducha i ciała zarodki nie są zmieszane,
Lecz idą po sobie na przemian, jak gdyby przetykane.
Przecież zarodki duszy nie tylko są znacznie mniejsze
Od ziaren, z których się tworzy ciało nasze i mięśnie,
Ale też mniej są liczne od tamtych, i w całym ciele
Rzadziej rozsiane. Zarazem tyle mi przyznasz śmieie,
Że jakie są najmniejsze rzeczy, co swoim zderzeniem
Ruch wywołują w człowieku, czuciowe budzą wzruszenia,

Takie zarodki duszy mają od siebie drogi.
Często przecież nie czujesz pyłu, co osiadł nogi,
Albo kredy, co ciało osypie, ni wśród nocy
Mgły, ani pajęczyny, co rwiesz ją, kiedy krocysz,
Albo gdy ci na głowę spadnie jej kilka nitek
Nie poznasz, ani kiedy pióreczka rozmaite
Ptasząt na barki sfruną, albo te puchy zwiewne,
Co, jeszcze lżejsze trochę — a w niebo pójda pewnie.
Nie czujesz też, jak lekko pełza po twojej skórze
Mały owad, nie czujesz śladu drobniutkich nóżek
Komara, czy też innych stworzeń. Bo bardzo wiele
Ziaren poruszyć trzeba, by ruch odczuły w ciele
Duszy twojej zarodki, po członkach rozmieszczone
Rzadko, z dala jedne od drugich, by mogły pokonać
Odległość, która je dzieli, doskoczyć do siebie, potrafić
Wzajem, zderzyć ze sobą i znowu się rozłączyć.

Duch niżli duszy siła więcej dla życia znaczy,
Mocniej je trzyma w ryzach i lepiej na nie baczy.
Bez umysłu i ducha, wbrew jego władnej sile,
Żadna drobina duszy nie pozostanie chwilę
W ciele, lecz w jego ślady w powietrze wnet ucieka,

Puste pozostawiając, chłodne zwłoki człowieka.
Ten zaś, koniu pozostał duch w piersi, trwa żywotnie,
Choć mu członki odejmiesz, ciało poranisz i potniesz,
Choć dusza ujdzie z niemi i tylko kadłub cały —
 Żyje, wdycha powietrze do piersi ocalałej.
 Jeśli część stracił duszy, a nie utracił ducha,
Jeszcze w pół-martwym ciele życie można rozdmuchać.
 Równie, jeśli źrenica została w oku zdrowa,
Reszta ranna — to jeszcze zdolność widzenia zachowasz,
Byłeś do szczytu nie zniszczył wszystkiego, co jest dokoła.
 Bo wtedy i źrenica sama się ostać nie zdoła,
 I bez zatraty wzroku nie da się to wykonać.
Za to gdy część ta niewielka, środkowa, zostanie zniszczona,
 Zaraz ci gaśnie światło, ciemności cię otoczą,
 Chociażbyś resztę gałek zdrową zostawił oczom.
 Takie też ducha z duszą przymierze wiąże stałe.

Teraz pieśni posłuchaj, na twego życia chwałę
Długo szukanych w sobie, w miłym pisanych trudzie,
Byś poznał, że i rodzić się musi, i śmierci nie ujdzie
Duch zarówno jak dusza w każdym żywotnym stworzeniu.
Dla zrozumienia rzeczy w jednym je bierz imieniu
 I kiedy mówić będę o duszach, że śmiertelne,
 Zaraz i duchy dołącz w pojęcie nierozdzielne,

Jedno tu bowiem znaczą: wspólnoty łatwo dociec.
Najpierw tedy dowiodłem, że dusza w swej istocie
Z ziarn drobnutkich, o wiele drobniejszych niżli woda,
Mgła albo dym się składa; stąd większa jej swoboda
I ruchliwością tamte przewyższa znacznie, za lada

Drgnieniem, przyczyną najlżejszą, w ruch delikatny wpada.

Nawet mgły albo dymu poruszyć ją mogą obrazy —

Bywa, że we śnie widzimy wznoszące się sponad ołtarzy

Dymy i lekkie opary. A sny te stąd powstają

Bez wątpienia, iż rzeczy obrazy nam wysyłają.

Teraz więc, kiedy widzisz, jak z naczyń roztluczonych

Ciecz bokami ucieka, lejąc się na wsze strony,

Jak i mgła, i dym lekki w powietrzu się rozplywa,

Uwierz, że dusza równie z ciała się wydobywa,

Prędzej nawet — i ginie żywotna jej potęga,

Kiedy się w drobne ziarna natura jej rozpręga.

Wszak ciało jak naczynie obwiera ją dokoła,

Jakże więc po stłuczeniu wstrzymać ją w sobie zdoła,

Słabe od krwi upływu, i jakże można wierzyć,

Że powietrze w krąg opór stawi jej, jak należy,

Skoro rzadsze od ciała i samo w ciele mieszka?

Wiemy przecież, że ciała i duszy jedna ścieżka

Od narodzin, przez rozrost, aż do starości dana.

Przecież chłopiętom małym krok każdy gnie kolana,

Dusza zaś równie słabym i wątłym krokiem stapa.

Później, gdy przyjdzie dojrzałość, w tężyznę i siły nie skąpa,

Umysł jest także jaśniejszy i większa duszy siła.

Kiedy już wreszcie ciało moc czasu nadwątliła,

Kiedy osłabłe członki tężyznę swą utracą,

Giną zdolności, umysł nuży się lada pracą,

Język się płacze, aż naraz wszystko się w śmierć pograży.

Zatem, jak dym, tak duszy natura musi dążyć

W strefy powietrzne, by tam się rozproszyć. Bo razem z ciałem

Rodzi się, razem rośnie, a gdy już sił nie staje,

Musi z niem razem runąć pod wieku uderzeniem.

Dalej widzisz, że równie jak ciało zna cierpienie
Chorób i bólów różnych, tak też i duszy nieraz
Smutek, trwoga, zmartwienie wcale nie mniej doskwiera —
Stąd też i dusza w śmierci musi swój udział znaleźć.
Bywa też, że w chorobie umysł odchodzi w dale
Mroczne i błędzi po nich, i plecie wszelkie brednie.
Powieki opadają i głowa, a dusza biegnie
Zapaść w sen ciężki, przedsmak wieczności przynoszący.
Wtedy już i świadomość, i pamięć w niej się kończy —
Już nie poznaje twarzy bliskich, nie słyszy wołań
Krewnych, co chcą ją wrócić i płaczą dookoła.
Przeto trzeba i duszy równą śmiertelność przyznać,
Skoro i ją, jak ciało, trapi choroby trucizna.
Bowiem na iluż zgonach mogliśmy sprawdzić oba,
Że śmierci jest rzeźbiarką i boleść, i choroba.
Czemuż wreszcie człowieka bierze po picciu wina
Moc gorąca i ostra? Czemu kolana zgina,
Czemu członki tak ciężą, czemu język drętwieje,
Czemu rozum zawodzi i myśl zbłąkana szaleje,
Oczy zachodzą łzami, i na kształt pijanej muzyki
Płacz się rozlega i klótnie, przekleństwa i wściekłe okrzyki?
Stąd pewnie, że moc wina ma zdolność nagłych zmażeń
Duszy, choć ona mocno tkwi w ciele szalejącem.
Co zaś się daje wstrząsnąć, nie zdoła ujść swej zguby
Przez groźniejszą przyczynę, mogącą spokój luby
Zniszczyć i bytu rzeczy przekreślić całą przyszłość.

Często komuś, chorobą nagłą tkniętemu, przyszło
Na oczach naszych upaść, jak pod pioruna ciosem:
Pianę ów biedak toczy, nie swoim bełkoce głosem,
Traci przytomność, drży cały, rzuca się, miota i jęczy,

Mięśnie nadmiernie wyteża i ciało wysiłkiem męczy —
Bowiem choroba okrutna pędzi po ciele całym
Duszę srogo targaną, piany sącząca białe,
Niczem odmęty morskie wichrem szarpane nieraz.
Jęk przez to się dobywa, że członki ból rozdziera
I że zarodki głosu, na zewnątrz wypierane,
Pędzą na świat przez usta, dokąd je, niewstrzymane,
Zwykła i przyrodzona ścież wiedzie, jak przez bramę.
Traci przytomność chory przez ducha i duszy zamęt,
Gdyż ich moc, jak mówiłem, rozdarła, rozproszona
Jadem choroby, wokoło miota się jak szalona.
Potem, gdy już odstąpi choroby nagły powód,
Gdy ciecz złośliwa do swoich kryjówek wróci znowu,
Wtedy jeszcze chwiejący się, słaby, podnosi się człowiek,
Zwolna wracają mu zmysły i jasno robi się w głowie.
Jeśli więc, jeszcze w ciele będąc, chorobą i bólem
Może się wstrząsnąć dusza, może rozdarciu ulec,
Jakże wierzyć, że kiedy śmierć ją z ciała wygoni,
Zdoła trwać na powietrzu i wichrom się obronić?

Skoro widać, że umysł, jak ciało chorowite,
Leczyć można i lekiem zmiany w nim czynić przytem,
Dowód to znów, że umysł śmiertelną ma naturę.
Trzeba-bo albo dodać cząstki, albo niektóre
Odjąć lub zmienić ich układ, inaczej cząstki rozdzielić,
Gdybyśmy ducha, czy inną jakąś naturę, chcieli
Zmienić choć trochę. Bo jakże zmienić można inaczej?
Lecz to, co nieśmiertelne, nie może nic utracić.
Obcy mu równie ubytek, jak nowych cząstek dodanie.
Cokolwiek bowiem w przemianach wyjdzie poza swój kraniec,
Umiera, i już nie ma tego, co przedtem było.

Zatem, czy duch choruje, czy leku zmieniony siłą
Krzepi się—jedno świadczy: że jest śmiertelny. Tak oto
Znowu niezbita prawda staje do walki z głupotą,
Ściska ją i osacza, i z każdej bijąc strony
Drogę zamyka kłamstwom mędrków niedouczonej.

Często przecież widzimy, jak człek, gdy duch ma uciec,
W każdym członku powoli traci żywotne czucie.
Najpierw mu nóg paznokcie i palce będą sine,
Potem martwieją stopy i uda, potem inne
Członki z kolei zimnem śmierć obejmuje. Owoż
Jeśli duch niknie z ciała nie zaraz, lecz stopniowo,
Musisz naturę jego nazwać śmiertelną. Przecie
Gdybyś myślał, że ona powoli zdoła przeciec
Z członków na jedno miejsce i tam swe ziarna pozbierać,
Z wszystkich członków czucie unosząc, to przyznaj teraz,
Że w miejscu tem, gdzie tyle duszy byś ściągnął z ciała,
Siła i zdolność czucia byłaby niebywała.
Lecz miejsca nie ma takiego: więc dusza, jak rzekłem już nieraz,
Rozproszona z ciała uchodzi, a zatem — umiera.
Gdyby już się koniecznie na fałsz ten jawny godzić,
Że dusza skupia się w ciele, gdy życie z człowieka uchodzi,
Zwolna światło istnienia gasząc mu, wtedy nawet
Śmiertelność wciąż dla duszy koniecznem będzie prawem.
Bo za jedno, czy zewnątrz w powietrzu zginąć zdolna,
Czy przez ściśnienie cząstek w głąz się zamienia zwolna
W ciele, skoro wciąż bardziej i czucie wszędy ginie,
I życie zewsząd z ciała uchodzi w śmierci godzinie.

Skoro duch jest częścią człowieka, co tkwi niezmiennie
W miejscu własnem, jak czucie, smak. słuch, wzrok, powonienie,

Które kierują życiem, to równie jako uszy,
Oczy, nos, ręka z dala nie mogą czuć ni ruszyć
Wrażeń naszych, ni istnieć oddzielnie, lecz po małym
Czasie gniją i giną, tak duch nasz, częścią czy cały,
Sam przez się nie jest zdolny bez ciała, bez człowieka,
W którym się mieści niby w naczyniu, żyć z daleka.
Może i zła ta przenośnia, i znajdzie się inna, co ściślej
Wskaże, co o spójności ciała i duszy myślę.

Wreszcie ducha i ciała potężny związek, spójnia
W sił ich żywotnych działaniu wzajemna jest i wspólna:
Ani ducha natura bez ciała ruchu stworzyć
Nie potrafi, ni ciało pełnią swych zmysłów ożyć
Ani trwać, gdy już duszę oddało śmierci mrokom.
Równie jak od korzeni swych oderwane oko
Samo nic nie zobaczy, nie pozna dnia ni nocy,
Tak duch i dusza same nie mają żadnej mocy.
Słusznie, gdyż przemieszane po mięśniach, nerwach i kościach
Cząstki ich dzierży ciało, tak że nie mogą się rozpaść,
Odbiec wzajem daleko, swobodnie się rozłączyć,
Ale — zamknięte — wzbudzają ów ruch, wrażliwość dający,
Który im na powietrzu nie da się zastosować
Z braku oparcia ziarnom, kiedy je śmierć surowa
Wygna w przestrzeń luźniejszą i pustszą bez ochyby.
Giałem-by żywem było powietrze wówczas, gdyby
Mogło duszę zatrzymać, z duszą tych ruchów zdolność,
Jakie jej tylko w żywem ciele wywołać wolno.
Dlatego przyznaj szczerze, że gdy ciała pokrywa
Pryśnie, gdy dech żywotny na zewnątrz się dobywa,
Czucie ducha i duszy rozwiewa się i ginie,
Bo trwać i działać może w związku z ciałem jedynie.

Jeśli ciało utraty swej duszy znieść nie może,
Psuje się i rozkłada, i gnije coraz gorzej,
Czemu wątpić, że duszy siła, wydartą z trzewi,
Niknie rozwiana wkoło, jak lekkie dymu zwiewy?
Że martwe ludzkie zwłoki, kiedy w nich życie zginie,
Przez to leżą zmienione, wystygłe i w ruinie,
Gdyż puściły ich więzy, kiedy dusza przez członki
Rwała w bólu gwałtowne drogi dla swej rozłąki,
Wstrząs sprawiając od podstaw? Stąd poznasz, że rozdzielona
Duszy natura uchodzi z ciała, gdy człowiek kona,
I że nim jeszcze wyjdzie, nim w wietrze się rozplynie.
Już się w ciele rozdziera, już jako całość — ginie.

Bywa, że duszą, choć granic życia nie przekroczyła,
Nagle targnie gwałtownie jakaś przyczyna niemiła.
Widać, jak pragnie z ciała odejść, jak się wydziera.
Członki bezkrwiste zwisają bezwładnie, blednie cera,
Jakby już człowiek umierał. Wtedy wołamy wkoło,
Że ktoś omdlał, zasłabnął, wodą skrapiamy czoło,
Staramy się przywrócić przytomność i co żywo
Chwycić duszę, i wstrzymać choć za ostatnie ogniwo.
Wtedy umysłu i duszy tak jest zachwiana potęgą,
Że razem z ciałem już niemal ulega, już się rozpręga —
Powód choć trochę silniejszy do szczętu by ją zniweczył.
Jakżeż więc możesz wątpić, że dusza bez ciała pieczy,
Słaba, bezdomna, w powietrzu na cios wystawiona wszędzie,
Nie tylko nienaruszona przez wieki trwać nie będzie,
Ale najkrótszej chwili nie zdoła przeżyć. Nikt też
Konając, nie odczuwa umysłem ni instynktem.
Ze nietknięta mu z ciała uchodzi cała dusza
Ani, że gardłem idzie albo mu krtań zadusza,

Ale że tam, gdzie była, tam też słabnie i ginie,
Równie jak w swoim miejscu rozsypują się inne
Zmysły. Gdyby zaś umysł nasz śmierci nie podlegał,
Wówczas bez jęku, radośnie z ciała by sam wybiegał
I zrzucał z siebie skorupę, jak skórę wąż co roku.

Czemu umysł i rozum nie tkwią w ciele naokół
Gdziekolwiek, w głowie, nogach, rękach — lecz wszędzie
w ludziach

Jedną mają siedzibę i jeden w ciele udział?
Widać stąd, że wszystkiemu właściwe miejsce służy,
W którym jedynie może powstać i życia użyć,
Zgodnie się porozmieszczać wśród odpowiednich członków,
Tak że ład jeden rządzi i wszystko tkwi w porządku.
Tak to jedno za drugim zna miejsce swe i drogę,
Z ognia mróz nie powstanie, z wody nie buchnie ogień.

Jeśli zresztą koniecznie dusza ma nie umierać
I oderwana od ciała czucie w sobie zawierać,
To najwidoczniej trzeba jej przydać zmysłów piątkę.
Trudno inaczej duszę, błądzącą nad Acherontem,

Zjawić wierzeniom naszym — i tak też od prawieka
Pokazują malarze i piewcy duszę człowieka,
Zmysły jej dając wszystkie. Lecz jakże sama, bez ciała,
Dusza-by oczy, nozdrza, ręce posiadać miała,
Język i uszy? — Toż to brednie są oczywiste.
Sama nie może więc dusza odczuwać ani istnieć.

Skoro czujemy, że w całym ciele naszym przebywa
Zmysł żywotny, widzimy, że każda w niem część jest żywa,

Przeto gwałtowny cios jakiś kiedy je nagle przetnie,
Jedną połowę ciała od drugiej połowy odetnie,
Ponad wszelką wątpliwość także i siłę duszy
Razem z ciałem na dwie połowy przekroić musi.
Skoro zaś da się dusza podzielić, czemu przeczyć,
Że ma śmiertelną naturę, jak wszystkie dzielące się rzeczy?
Mówią ludzie, że czasem tak wóz bojowy, zbrojny
W kosy, gładko obcina członki wśród zgiełku wojny,
Że wyraźnie drżą jeszcze po ziemi, a kalecy
Żołnierze w pierwszej chwili od bólu są dalecy:
Nagłością zaskoczeni, pijani rzezi szalem
Rwą się do dalszej walki krwawiącym, rannym ciałem.
Jeden rzuca się naprzód niepomny, że mu ramię
Lewe razem z puklerzem ciężar rydwanu łamie,
Ścięte świeżo kosami wprost pod kopyta koni.
Drugi nie wie, że stracił prawicę — dalej goni.
Trzeci chce biec, choć oto nogę utracił w walce —
Noga odcięta jeszcze skrwawione kurczy palce.
Często od gorącego, żywego odcięta tułowia
Długo patrzy oczyma ciepła wciąż ludzka głowa,
Wygląd chowając życia, aż cały dech wyzionie.

Także, gdy węża widzisz, jak wspięty na ogonie
Wije żądłem i ciało wysmukłe pręży — gdy tak
Zechcesz go pociąć mieczem, patrz: częśćka rozmaita,
Już oddzielona cięciem, długo skacze po ziemi,
Drga i świeżą posoką murawę w krąg czerwieni,
Przednia zaś część wraz z głową skręca się, aby w tyle
Chwycić ranę i kąsać, by zgłuszyć ból na chwilę.
Czyliż to ma dowodzić, że każda część odcięta
Całą ma duszę w sobie? Toż ludzie i zwierzęta

W jednym-by ciele kilka musieli dusz zawierać!
Zatem jedna jest dusza. Gdy skruszyć ją — umiera.
Bo jeśli, tak jak ciało, ciąć się i dzielić daje
Na części, musi także umierać razem z ciałem.

Dalej, jeżeli dusza przed śmierci się mocą nie chyli,
Jeśli wstępuje w ciało w samych narodzin chwili,
Czemu nie korzystamy z przeżyć poprzednich wcieleń
Ani z pamięci dawnej, by je utrwalić w dziele?
Zatem jeśli tak mocno zmienia się duszy władza,
Że w niej się dawna pamięć z obecną nie chce zgadzać,
To myślę, że od śmierci niebardzo jest odległa;
Że ta, co przedtem była, z ciałem śmierci uległa,
A druga, co jest teraz, musiała z ciałem powstać.

Jeśli też droga duszy do ciała tak jest prosta,
Iż żywa moc duchowa wtedy do ciała wchodzi,
Kiedy już ono gotowe i człowiek już się narodził,
Nie mogłaby, jak to czyni, rozwijać się razem z ciałem,
Razem z wszystkimi członkami, i nawet w krwi się znaleźć,
Ale jak w dziupli jakiej żyłaby sama sobie,
Czucie przytem nadając ciału — lecz jakim sposobem?
Tak więc raz jeszcze widzimy tę prawdę potwierdzoną,
Że dusze podlegają i narodzinom, i zgonom.
Jakżeby mogła dusza tak być składnikiem ciała,
Jako jest, gdyby z zewnątrz do niego przenikała?
Na to zaś masz oczywistych dowodów pod dostatkiem;
Tak-bo przepęlnia ona krew, kości, mięśnie gładkie,
Że i zęby w ogólnem czuciu przyjmują udział,
Kiedy ich dolegliwość ból przykry wzbudza w ludziach

Albo gdy w pożywieniu kamyk natrafia. Tedy,
Skoro tak dzieli dusza z ciałem wszelakie biedy,
Nie może wyjść zeń cała i luźno się wydostać
Z kości, nerwów i członków, tworzących naszą postać.

Jeśli przypadkiem sądzisz, że dusza, wchodząc z zewnątrz,
Wsącza się poprzez członki — to wiedz, że wtedy na pewno
Umrze, gdy tak się rozproszy, by móc połączyć się z ciałem.

Go wnika z zewnątrz, musi się dzielić, a tym podziałem
Śmierć mu zostanie zadana, po wszystkich się porach rozleje.

Jako pokarm strawiony już teraz pokarmem nie jest,

Inną tworzy naturę, tak samo duch człowieka

I dusza, jeśli z zewnątrz do ciała ma przeciekać,

Choćby najbardziej zwarta, jednak przez drobne tkanki

Niczem przez sito gęste tłocząc się bez ustanku,

Będzie się dzielić — a przeto natura duszy owej,

Która była na zewnątrz, zginie, bo formy nowe

Będą naturą inną i nowa powstanie dusza.

Jeszcze to jeden jest dowód, który najpewniej nas zmusza,

By nie odmawiać duszom ni śmierci, ni narodzin.

Dalej — czy w ciele, kiedy już życie zeń uchodzi,

Ziarna duszy zostają, czy nie? Jeśli tak — to jasno

Widać, że nieśmiertelność nie jest to duszy własność,

Skoro część utraciwszy odeszła mieszkać w niebie.

Jeśli zaś cała wyszła, nie zostawiając z siebie

W członkach nic, nic zupełnie, znikając z ciała — to powiedz,

Czemu w cuchnących trupach, gdy zgniły już w połowie,

Tyle robactwa żyje? Skąd bierze się ta mnogość

Wstrętnych, bezkrwistych stworzeń? Z czego się zrodzić mogą?

Wierzysz może, że do każdego z robaków z osobna
Dusza wsączyła się z zewnątrz? Zaiste nie podobna
Pojąć, jak może się zebrać dusz tysiadcna gromada
W miejscu, skąd wyszła jedna. I jeszcze muszę ci zadać
Takie pytanie, na które trzeba znaleźć odpowiedź:
Czy dusze na ziarna robacze polują tak gwałtownie,
Same sobie budując mieszkania, czy przeciwnie —
Wchodzą w gotowe ciała robaków? Ależ dziwnie
Pojąć, czemu by miały trudzić się, w jakim celu,
Skoro bezcielesność przykrości oszczędza im wielu,
Sprawia, że chorób bolesnych, chłodu ni głodu nie znają.
Jakże łatwo natomiast cierpieniu podlega ciało,
A z nim i dusza, skoro w cielesnej zamieszka osnowie,
Zresztą niechby im było najkorzystniej, najzdrowiej
Wchodzić sobie do ciała — jak wejda, nie odpowiesz.
Wszakże dusze, to pewna, ani sobie budują
Ciało, żeby w niem potem mieszkać, ani wskakują
W ciała gotowe, bo wtedy nigdy by nie zdobyły
Takiej z niem ścisłej jedności i wspólnej czucia siły.

Czemuż to sroga wściekłość lwom dzikim jest przydana,
Lisom podstęp, jeleniom znów trwożność drży w kolanach
I do ucieczki skłonność z ojców nasienia wzięta?
Czemuż dziedziczą inne, różnej natury zwierzęta,
W członkach, w sposobie życia własne cechy od mała —
Jeśli nie stąd, że duch ich rośnie z rozwojem ciała
Według własności rodu i jego cech nabiera?
Gdyby duch ciało zmieniał i z ciałem nie umierał,
Często byś widział zwierząt zmieszane obyczajem:
Oto zły pies hirkański zmykałby przez rozstaje

Przed jeleniem rogatym, oto w powietrza głębiach
Drżałby jastrząb w ucieczce przed głodnym dziobem gołębia.
Człowiek-by rodził się głupi, mądrością zadziwiał zwierz dziki
Bo na ten jawny bezsens nie zgodzę ja się z nikim,
By duch bezśmiertny mógł się wraz z zmianą ciała zmieniać.
Wszak zmiana jest rozkładem, więc śmiercią dla istnienia:
Części swój dawny utracą porządek i miejsca zmieniają,
Rozsypią się po członkach, ku nowym pomieszczeniom
Dążąc, by w śmierci godzinie razem z ciałem umierać.
Mówią, że dusza ludzka zawsze człowiecze wybiera
Ciało. Lecz czemu to z mądrej dusza się głupia stawa,
Czemu mądrych niemowląt nie tworzą życia prawa,
Czemu źrebię nie umie wszystkich rumaka sztuczek?
Rzekłby ktoś: w słabem ciele słabe ducha poczucie.
Lecz w takim razie przyznać też musi bez wątpienia,
Że dusza jest śmiertelna, gdy tak się w ciele zmienia,
Traci swój dawny żywot i dawną czucia siłę.
Jakżeby mogła dusza z każdym we spójni miłej
Ciałem zdobyć swój rozkwit, gdyby już od zarania
Brakło im wspólnej zgody, wspólnego bycia i trwania?
Czemuż wreszcie ucieka ze starych ludzkich leży?
Czyżby się bała zostać, swojej siedziby przeżyć
Zanik i wynędznienie i pod gruzami gmachu
Szczeznąć? Wszak nieśmiertelność nie zna takiego strachu.

Aby czekały dusze na figle Wenus grzesznej
I ruję wszelkich zwierząt — musi się wydać śmieszne;
By nieśmiertelne, w liczbie ogromnej, na wyprzody
Pchały się pośród członki śmiertelnych, boje wiodły,
Która z nich najdzielniejsza i pierwsza się dostaje.

Może są między niemi i takie obyczaje,
Że która przyfrunęła pierwsza, ta — pierwsza wchodzi,
Reszta zaś idzie sobie i za łby się nie wodzi?

Nie ma drzew wśród eteru, chmur nie zawiera morze,
Rybie pokolenie na ziemi żyć nie może,
Krwi nie upuścisz z drewna, sok nie tryśnie z kamienia:
Dane jest każdej rzeczy miejsce wzrostu, istnienia.
Tak i natura ducha bez ciała nie podoła
Powstać sama, ni istnieć bez krwi i ścięgien zgoła.
Gdyby to wszakże mogła, to czemu ducha potędze
W głowie, w plecach lub w piętach miejsca nie przyznać prędzej ?
Wszakże czy w tej, czy w innej zrodzona części ciała,
Zawsze by w tymże człowieku, w tem samem naczyniu została.
Gdy nawet w ciele naszym jest ściśle ustalone,
Gdzie może rosnać duch i dusza, co ma być domem
Dla nich, tem gorliwiej trzeba tę błędność zwalczać,
Aby im poza ciałem byt i początek starczał.
Zatem musisz potwierdzić, że kiedy ciało kona,
I dusza obumiera, po ciele rozproszona.
Przecież, że ze śmiertelnem wieczne połączyć da się,
Razem czuć, razem wzrastać, nie ginać w jednym czasie —
Trudno wierzyć. Cóż bowiem może być bardziej sprzeczne
Z wszelkim ładem, bardziej dziwaczne, nedorzeczne.
Niż by to, co śmiertelne, miało łączyć, swe losy
Z nieśmiertelnem i razem znosić burze i ciosy.

Co trwa wiecznie, to albo musi być niewzruszone,
Ciałem twardem ataki odpierać w każdą stronę
Tak. by nie mogło przeniknąć doń żadne obce ciało,
Które by jego części spoistość rozerwało

(Takie są ziarna materii — mówiłem już o nich niemało),
Albo trwa wiecznie przez to, że doznać nie może uderzeń,
 Niczem próżnia, co w siebie bez szkody ciosy bierze
 I nietknięta zostaje; albo znowu dlatego,
 Że wokół rzeczy owej brak miejsca dogodnego,
 Gdzieby ubytek odszedł i jakoś się rozprzegnął
(Taka jest wieczna wszechcałość, bowiem poza nią dokoła
 Nie ma miejsca ucieczce i nie ma ciałek zgoła,
 Które by mogły jej części zderzeniem swem naruszyć).
 Jeślibyś raczej przez to dał nieśmiertelność duszy,
 Że dla rzeczy życiowych twarda jest i daleka,
 Boviem albo żaden zgubny jej cios nie czeka,
Albo, gdy przyjdzie, jednak z jakichś przyczyn nieznanych
 Cofa się, zanim jego zgubność odczuć zdołamy,
 [To zdarzeń oczywistość takiej wierze zaprzeczy].
 Oprócz, że ciało gdy chore, chora i dusza przecie,
 Także troski o przyszłość często ją brzemię gniecie,
 Także niedole trapią, obawy — i niemiło
 Czuć jej mękę sumienia za to złe, co w niej było.
 Dodaj, że szął ją często i zapomnienie pali,
 Że się pogrąża niekiedy w czarnej letargu fali.

Nic więc śmierć nie ma do nas. Cóż moc jej może wskórać,
 Kiedy ducha naszego śmiertelna jest natura!
 I podobnie, jak ongiś żadnej nie czuliśmy trwogi,
 Kiedy zewsząd ze śmiercią szedł Kartagińczyk srogi,
 Kiedy zgiełkiem wojennym i najkrwawszą potrzebą
 Cały świat drżał dokoła i krzykiem bił o niebo,
 Kiedy się rozstrzygało, kto całą moc posiadzie
 Władzy nad ludzką rzeszą, na ziemi i na lądzie —
Tak też, gdy nas już nie będzie, gdy zerwie się ciała i duszy

Spójnia, która nas tworzy, nic nie zdoła nas wzruszyć
Wtedy, bo nas nie będzie, i nic nie wydarzy się dla nas
Ani pobudzi czucie, choćby ziemia zmieszana
Z morzem, a morze z niebem szalały w swych odmętach.

Jeśli przypuścić nawet, że dusza, choć ciała odjęta,
Czuje jednak dalej, własności swej nie zmieni,
Cóż by mieć mogła do nas, nas, cośmy poślubieni
Związkiem ciała i duszy, stoimy przez ich spójnię?
Nawet gdyby materię naszą, gdy w śmierci runie,
Złożył na nowo kaprys czasu i odbudował
Życie, jak dziś, to cóż by dało życie od nowa,
Jeśliby człek powtórny przeszłości nie pamiętał.
Skoro raz bytu ciągłość zerwana, rozdzierzgnięta,
Cóż by nas obchodziło, co było z nami? Wszak obaw
Nie zna serce o tamtych, co dawno legli w grobach!
Gdy wspomnisz, jaki bezmiar przeszłości za nami leży,
Jak różnorakie są ruchy materii — łącno uwierzysz,
Że ziarna, których układ dzisiaj nas właśnie tworzy,
Mogły już nieraz przedtem tak samo się ułożyć;
Mogło tak być — cóż, kiedy nic z tego nie pamiętam,
Bowiem porwana ta przeszłość i pamięć jej pęknięta.
Bo przerwa była w życiu i ruchy ziarn szalone
Od zmysłów w krąg odbiegłszy, zgubiły pamięć one,
Istnieć też musiały ktoś ów wtedy, gdy przyszłość niesłodka
Przyjdzie nań, kiedy mają go owe cierpienia spotkać —
Tego zaś śmierć nie dopuszcza, ona, co istnieć wzbrania
Dalej, i tak przed wszelkiem przyszłym cierpieniem osłania.
Czemuż więc bać się śmierci? Cios żaden nie ugodzi
Tego, kogo już nie ma. I nic nam z poprzednich narodzin,
Skoro od śmierci bezśmiertnej śmiertelne życie uchodzi.

Toteż, gdy widzisz człeka, jak dołą przeklina swoją,
Zgnić po śmierci się bojąc, na stosie płonąć się bojąc,
Albo, że skona marnie w paszczekach dzikich zwierzy —
Choćby przysięgał głośno, że w czucie po śmierci nie wierzy,
Ty mu nie wierz ni trochę, bo takich słów przysięga
Kłamie, bo w jego serce cierń wątpliwości sięga.
Wbrew zapewnieniom i racjom, jakie podaje obficie,
Nie chce, nie umie naprawdę, do końca rozstać się z życiem,
Nieświadomie coś z siebie w jakieś zaświaty przemyca;
Jeśli bowiem, żyjący, wierzy, że oto lica,
Ciało mu szarpać będą po śmierci sępy, kruki
I sam nad sobą boleje, to nie zna tej nauki,
By oddzielić się śmiało, z dala od swego trupa
Stanąc, lecz swoje czucie przypisać mu się uparł.
Stąd się oburza srodze, że się śmiertelny rodził:
Nie wie, że kiedy umarł, po świecie już nie chodzi
Drugi sam, by nad własnym zgonem darł szaty w strzępy
Albo płakał żałośnie, patrząc, jak żrą go sępy.
Jeśli bo źle po śmierci jest zżartym być przez zwierza —
Myślę: czemu to ludziom w ogniu jest spłonąć nie żal,
Smażyć się na skwierczące, lub dusić się od miodu,
Albo marznąć okrutnie od kamiennego chłodu
Pod marmurową płytą, albo dźwigać na sobie
Ciężar ogromny ziemi usypanej na grobie?

«Już cię dom nie powita ani małżonki kochanie,
Dzieci najmilsze już nigdy nie wyjdą na twoje spotkanie,
Ich pieśczoły radością już serca ci nie napoją.
Oto już utraciłeś władzę i możność swoją,
Oto już swoich bronić nie zdołasz, o, niebogi!
Jakże to jeden dzień czarny tyle dni skończył błogich!»

Lecz tego nie dodadzą: «Nigdy już za tem wszystkim
Nie zatęsknisz, co było ci ważne, drogie i bliskie».
A szkoda. Gdyby ze słów tych słuszne wysnuli wnioski,
Byliby wolni od żalu, obawy i ciężkiej troski.

«Oto, w śmierci uśpiony, będziesz po wszystkie wieki
Wolny od gorzkich cierpień, od wszystkich trosk daleki.
My zaś, przy stosie twoim, strasznym dotknięci ciosem,
Łzy wylewamy gorzkie, nie chcąc się godzić z losem,
I żaden dzień nam w piersi już żalu nie ukoj».
Spytać by trzeba, czemu ktoś tak w żałobie swojej
Zmartwił, czemu tak tęskni za tamtym, co na własność
Zdobył wieczysty spokój i może w ciszy zasnąć.

Także w rozgwarze uczyły często przy pełnych stołach
Woła z pucharem w dłoni i wieńcem róż u czoła
Gość ochoczy: «Hej, krótkie życie i radość płoną —
Prędko minie i nigdy już nie powróci do nas».
Jakby mu strasznie przykro było, że już po zgonie
Może pragnienie odczuć, albo że — biedny — dłonie
Próżno po strawę czy odzież wyciągnie. Och, na bogi!
Życia, ani sam siebie, nie pragniesz przecież w błogim
Śnie, kiedy odpoczywa spokojnie dusza z ciałem.
Ja, jeśli mam być szczerzy, mógłbym tak wieki całe
Trwać, nie trawiony żadną ku obudzeniu żądzą. —
A przecie we śnie zarodki w ciele naszym nie błądzą
Nazbyt daleko od ruchów czuciowych; tego dowodzi
Łatwość, z jaką człowiek od snu do jawy przechodzi.
Jeśli już sen jest dla nas niczem, to pustosza od śnienia
Śmierć żadnego już dla nas nie może mieć znaczenia;

Bowiem w godzinie śmierci większy powstaje zamęt,
Rozproszenie materii, i ten już nie powstanie,
Za kim granic żywota zamknęły się mroźne szlabany.

Wreszcie, gdyby Natura, wcielona w ludzką postać,
Przemówiła, tak mogłaby karcieć nas i chłostać:
«Czemu tak śmierć ci straszna, marny, lękliwy prochu,
Że nie ustajesz w żalach i nie zamilknieysz w szlochu?
Jeśli ci żywot miniony owocny był i miły
I dary jego wszystkie nie zmarnowane były,
Nie wyciekły wszystkie, jak z wazy nadpękniętej —
Czegóż, głupcze, żałujesz? Czemuż nie uśmiechnięty
W błogi odchodzisz spokój, po uczcie życia syty?
Jeśli zaś żywot miałeś twardy i nieużyty,
Szczęście marnie stracone — czyż na to jeszcze czekasz,
Co przypadnie podobnie? Toż nędzny los człowieka
Raczej ci warto przerwać i skończyć z tem cierpieniem.
Wszystko jest wciąż to samo. Niczego ci nie zmienię,
Nic nie wynajdę miłego i dobra nie dam więcej:
Oczy widzą wciąż jedno, wciąż jedno niosą ręce.
Choć krzepkie jeszcze członki i siły masz młodzieńcze,
Nic to — zawsze to samo urodzi jedna ziemia,
Choćbyś życie przedłużył i nigdy umrzeć nie miał».
Pomyśl, jaką na spór ten najszczerzą dasz odpowiedź,
Kiedy prawdę słyszysz w każdym Natury słowie.

Cóż zaś Natura powie, kiedy u mety starzec
W strachu śmierci wyrzeka i lica łzami maże?
Czy go nie słusznie ostrzej i bezlitośniej skarci:
«Precz ze łzami, dziadygo! Czyliż ci nie wystarczy,

Że znalazłeś pierwszej wszystkich żywota uciech?
Tego chcesz, czego nie ma, i oto czas ci uciekł,
Gdy tem, co jest, pogardzasz. A kiedy śmierć u boku,
Mógłbyś się pohamować, okazać godny spokój.
Oto jałowych lat twych, gdy takie były, dość ci.
Czas ustąpić miejsca — taki już los starości.
Odchodź tedy co żywo!» Gdyby tak mogła wołać
Do staruchów Natura, słuszne byłoby zgoła
Gniewne jej pałajanie, bo wszystko, co spróchniałe,
Musi zgnić — nowe życie odrodzić nowem ciałem.
Nikt do Tartaru nie schodzi czy w mroki innych piekieł —
Trwa materia, by mogły z niej powstać z nowym wiekiem
Nowe pokolenia, by rosły i twoim śladem
Idąc, ten sam znalazły i rozkwit, i upadek.
Jedno z drugiego się rodzi i takie wieczyste jest prawo.
Życie nie jest własnością niczyją, lecz wszystkich dzierzawą.
Patrz — cała wieczność minioną dla ciebie nic nie znaczy,
Wszystko, co było przedtem, nim tyś ten świat zobaczył.
Oto zwierciadło, które nam jawi Natura szczerą,
Byśmy znali przyszłość i mogli bez trwogi umierać.
Cóż w tym obrazie dojrzysz strasznego? Czy może zasmucić
Myśl o śnie najgłębszym, którego nic nie zakłóci?

To, co dzieje się ponoć wśród Acherontu mroku,
Zdarza się — ale na ziemi, naszych pilnuje kroków.
I nie Tantal nieszczęsny, jak znana baśń powiada,
Lęka się ciężkiej skały, co nań z powietrza spada.
Ale ludzie śmiertelni za życia taką udrekę
Znoszą, nękani próżnym przed bogów potęgą lękiem.
I nie Tytyosa w podziemiach sęp szarpie ostrym dziobem
(Jak nam mit opowiada) za serce czy wątrobę.

Bo chociażby był wielki, jak góra, choćby ciało
Miał rozciągnięte szerzej niż dziewięć staj, to mało,
To zbrakłoby na koniec pod piersiami olbrzyma
Jelit na żer, i chyba bólu by nie wytrzymał,
Ani by ciała jego starczyło, gdyby nawet
Był jak ziemia wielki, na wieczną ptakom strawę.
Dla nas Tytyos — to człowiek miłością powalony,
Ten, komu strach i zazdrość zatapia w sercu szpony,
Lub jakaś inna troska czy żądza ciało toczy.
A ów Syzyf? Nie trudno zobaczą, go tve oczy:
Szukaj tylko człowieka pogrążonego w bólach,
Że go lud wybrać nie chciał na miękki tron konsula.
Bowiem pożądać władzy, co zawsze z rąk ucieka,
Po to się trudzić i przez to cierpieć — to dla człowieka
Tyle, co kamień toczyć pod górę. by pod szczytem
Patrzeć — z rąk uciekł, na dół z łomotem gna i zgrzytem
Aż do łąk na dolinach, gdzie wreszcie utknie w trawie.
Tak też ducha naturę trzymać na dobrej strawie,
Wciąż mieć głodną i nigdy nasycić jej nie zdołać,
Niczego nie mieć, pragnąć wszystkiego — próżno zgoła,
Jako że pory roku wracają wciąż dokoła,
Ciągłe te same dary i ten sam urok niosą,
Wciąż jednak mało ludziom — o tem podania głoszą,
Że niby dziewcząt grono piękne i wcale żwawe
Wodę do stągwi leje, a stągwi dno dziurawe.
Jakże ją więc napęlnić? Znów Cerber, Furie krwawe,

Ciemność i żar piekielny, co wciąż z Tartaru bucha —
Nie ma ich, być nie może, i szkoda tego słuchać.
Jest przed karą doczesną lęk, co tem mocniej przeraża,
Im jest straszniejsza zbrodnia i kara na zbrodniarza:

Lochy zimne i skała, z której się zdrajców strąca,
Chłosta, ogień, kajdany i smoła gorejąca.
Choć kara dotąd nie spadła, choć grozi jeszcze z daleka,
Lęka się jej złe serce, pot zimny z czoła ścieka,
Oczy nie widzą końca nieszczęść i kar, które grożą,
Umysł, troski i strachy ustawnie co dzień mnożąc,
Drży przed karą po śmierci jeszcze bardziej straszliwą:
Tak oto piekłem staje się dla głupców ziemski żywot.

To jeszcze mógłbyś sobie powiedzieć na pocieszenie:
«Przecież i dobry Ankus skrył oczy wiecznym cieniem,
A lepszy był o wiele od ciebie, ty nienasycony.
Iluż to innych władców pomarło, sierocąc trony,
Z których nad ludy władali mnogimi. I ten nawet
Skonał cicho i oczy zamknął na blask i sławę,
Który przez morze wojska prowadził i legionom
Iść kazał nad głębiny i deptać wodę słońca,
Gardząc rykiem bałwanów. On nawet, wódz nad wodze,
Wielki Korneliusz Scypio, który, jak piorun, srodze
W Kartaginę uderzył, on także w swojej porze
Niczem ciura ostatni kości do ziemi złożył.
Dodaj innych, uczonych tej czy dawniejszej doby,
Muz kochanków. I Homer, co wśród nich berło zdobył,
Usnął snem jednakowym i wiecznym. Szukaj dalej:
Demokryt, gdy go pamięć zawodzić jęła stale
Z wiekiem późnym, nie czekał, aż sama śmierć nadleci,
Ale jej dobrowolnie nie zląkł się wyjść na przeciw.
Kiedy światło dni zgasło, umarł i sam Epikur,
On, co wielkością ducha przerósł ród śmiertelników.
Zaćmił, jak słońce gwiazdy zaćmiewa, kiedy wschodzi.

Ty więc masz bać się śmierci, dni życia kraść, jak złodziej?
Życie twe martwe prawie, bo jak najgłupszy nędzarz.
Więcej niżli pół życia na marne we śnie spędzasz,
Chrapiesz na jawie, widzisz wciąż rój upiorów zwodnych,
Trwogą niegodną karmisz swój umysł, prawdy głodny,
I nie znajdujesz drogi, skąd na cię, nieszczęśnika.
Tyle trosk spada ciągle i odwrót ci zamyka,
Że tylko w kółko chodzisz po błędu krętej ścieżce».

Gdyby ludzie tak jasno zrozumieć chcieli wreszcie
Ten ciężar, co ich tłoczy, jak czują, że ich tłoczy,
Skąd się bierze, poznali — przejrzeliby na oczy,
Precz odrzucili strachy i żyli tak inaczej,
Tak radośniej, niż teraz. A teraz marzą raczej
(Kto czego chce, nie wiedząc), by brzemię, co im ciąży,
Zrzucić gdzie bądź, jak niebądź, i zgięty grzbiet rozprężyć.
Jeden z wnętrza pałaców ucieka do ogrodu,
Kiedy mu pałac obmierzył, i wraca bez powodu,
Nie znalazłszy sam siebie na dworze. Inny zgola
Pędzi z miasta na wieś, choć nic go tam nie woła.
Gna konie, jakby pożar biegł gasić, a gdy stanie
W progu wiejskiego domu — znowu rozczarowanie.
Nuda — więc sen lekarstwem. Sen nie pomaga wcale —
Marsz więc do miasta znowu, tam zapomnienie znaleźć.
Każdy zmyka przed sobą, ale nie umknie do nikąd,
Musi nieść ciężar bólu wbrew westchnieniom i krzykom.
Cóż, że zionie wściekłością i męką swą przeklina?
Gdyby mu znana była boleści tej przyczyna,
Precz by odrzucił wszystko, zgłębiał naturę rzeczy —
Bo nie o chwilę idzie, ani o wiek człowieczy:

Wieczność tu w grze, ta wieczność, do której wszystkich ludzi
Śmierć i niebyt, jak ze snu, z życia krótkiego budzi.

Po cóż wreszcie pragnąć trwogi i niepewności,
Nędznie ulegając tak wielkiej życia miłości?
Czeka nas kres istnienia, każdy z nas w śmierci zginie,
Nikt nie oszuka natury i końca nie ominie.
W kółko drepemy stale w zamkniętym kręgu przeżyć
I zasięgu radości wiek długi nie rozszerzy.
Gdy, Czego pragniesz, nie masz — nie znasz w pragnieniu miary,
Kiedyś zdobył — już innej szukasz dla żądz ofiary.
Nigdy życia niesyty, wciąż nowych dni łaknący,
Nie wiesz, co dzień następny przyniesie, jak się skończy
Szereg dni, choć najdłuższy. A przedłużając żywot
Próżno się łudzisz znaleźć spokojność i szczęśliwość.
Nie okradniesz niebytu z najmniejszej nawet chwili:
Na jednakową wieczność zginiesz, gdy śmierć dni schyli.
Choćbyś wiele pokoleń przeżył, nim skończysz trwanie,
Równie dużo ci czasu na wieczną śmierć zostanie.
Tyleż czeka niebytu tego, kto dziś przy zgonie
Słońce żegnał, jak tego, co znalazł życia koniec
Wczoraj, czy dawno temu, przed rokiem, czy przed wiekiem.

Koniec księgi trzeciej

KSIĘGA CZWARTA

Stopą niczyją nie tknięte zdeptuję szlaki Pieryd.
Miło do czystych krynic przystąpić pierwszy z ludzi
I nieskalaną wodą żar własnej piersi studzić.
Milej Muz kochankowi iść wzwyż po takie wieńce,
Które ozdobią skronie mnie i nikomu więcej.
Uczę o wielkich rzeczach i stromą idę drogą,
Rwąc religijne więzy i kłam zadając bogom.

A choć w ciemności wkraczam, rwąc po systemie system,
Patrz słów mych: jakie dźwięczne! Patrz pieśni: jak przejrzyste!

Bo zdaje mi się słuszne tak czynić, jak lekarze;
Dając lekarstwo dzieciom w piołunu pełnej czarze,
Najpierw dokoła puchar omażą złotym miodem,
Aby kapryśne wargi przynęcić przez osłode,
Razem zaś, oszukawszy w języku małą dziatwę,
Dają jej połknąć leki, złe w smaku i niełatwe,
I tak podstępem, z tkliwej płynącym o nie pieczy,
Podadzą dziecku piołun, co dzielnie je wyleczy.
Tak też ja, gdy gorzka wydaje się nasza nauka
Tym, którzy nie przywykli jej śladem prawdy szukać,
Tłum zaś cofa się przed nią — chcę tobie słodkodźwięczną
Pieśnią wyłożyć prawdę, na wierzchu kładąc piękno.
Może też myśli trudność Muz miodem z brzegu kraszając,
Ducha delikatnego znęcę poezją naszą,

Aż się przed tobą, wsluchanym, cała natura otworzy —
Poznasz ją i uczujesz, jak wielka z tej wiedzy korzyść.

Skórom już wytłumaczył naturę rodnych ziaren
Oraz jak rozmaicie zmieniają kształtów miarę,
Własnym pędzone ruchem od niepamiętnych czasów
Krażą, rodząc ze siebie wszystkich przedmiotów zasób,
Skórom także wyłożył, jaka jest ducha budowa,
Jaka natura, jak może on razem z ciałem bytować,
I jak — gdy zerwie się spójnia — w pierwotny swój wraca obieg,
Trzeba, bym prawdę bardzo tu ważną wyjawiał tobie:
Rzeczy swoje obrazy, odbicia swoje mają,
Co jak błonki oddarte z ich ciała powierzchni latając
Tu i tam po powietrzu, drażnią świadomość naszą,
Poprzez sen i na jawie umysł człowieka strasząc,
Że najdziwniejsze kształty widzimy, że nas budzi
Nieraz w nocy zwidzenie dawno umarłych ludzi,
Aż przerażeni z krzykiem do jawy powracamy.
Nie myśl, że wyjść kto zdoła za Acherontu bramy,
Aby cieniem wśród żywych latać, i nie myśl sobie,
Że pozostanie coś z nas, gdy ciało legnie w grobie —
Bo kiedy ciało ginie, to przeznaczeniem duszy
Jest ziarna swe wraz z ciałem rozsypać i rozprószyć.

Mówię więc, że z powierzchni ciała wysyłać mogą
Cienkich odbić, podobizn, nie lada jaką mnogość.
Te jak łupinki czy błonki (powtarzam porównanie)
Wiernie oddają kształtem rzecz każdą w każdym stanie,
Z której wychodzą na zewnątrz — co łatwo poznać zdołasz,
Choćbyś był nie, jak jesteś, mądry, lecz tępy zgoła.

Najpierw, ponieważ rzeczy dostępne dla oka naszego
Mogą coś wydać z siebie: albo coś bardzo zwiewnego,
Jak drewno — dym, ogień — ciepło, albo, jak żywe twory
Coś trwalszego. Tak polne koniki wśród letniej pory
Strój zrzucają, a cielak, kiedy się rodzi nowy,
Zwłóczy błonę, pod którą mieszkał w żywocie krowy.
Dalej i śliskie węże, by postać swą oczyścić.
Skórę zwłóczą, i często, brodząc wśród krzaków i liści,
Znajdziesz ją, jak zużytą szmatę. A skoro takie
Masz dowody, to wszystko idzie tym samym szlakiem
I wysyłają wszystkie przedmioty swe odbicia —
Równie ludzie, stworzenia, jak to, co nie ma życia.
Czemuż ma być inaczej w różnych odmianach rzeczy,
A nie tak? Nikt rozsądny nie będzie tutaj przeczyć.
Zwłaszcza że błonki ciałek lżejsze są, bardziej lotne,
Łatwiej, kształt wiernie dzierżąc, oderwą się stokrotnie,
Prędzej przytem, bo będąc na wierzchu rzeczy, rzadziej
Lecąc, nie łatwo w pustce znajdą coś ku zawadzie.

Zresztą nie tylko z głębi, jak wyżej już wspomniałem,
Rzeczy wydają z siebie wiele drobniutkich ciałek,
Ale i od powierzchni, gdy barwę wysyłają.
Tak zasłony w teatrze na masztach powiewając
Mienia się raz czerwono, to żółto, to błękitnie —
Chwieje się blask po fałdach i na kształt kwiatu kwitnie.
Wtedy wszystko pod niemi, scena, widownia cała,
Taką czy inną barwą mocniej lub słabiej pała.
Im wyżej mur teatru i szczelniej się rozpiętrza,
Tem żywsze są kolory, barwniejsza jest ich tęcza,
Kiedy blask dnia odjąwszy, iskrzy się wśród igrzyska

Potop barw i odcieni, uśmiecha się, rozbłyska.
Odblask ślą płótna barwne z powierzchni — więc i siła
Innych ciał musi z siebie podobizn moc wysyłać,
Wkoło je odrzucając. I wkoło krążą z rzeczy
Nikłe, lecz pewne ślady. Nie da się to zaprzeczyć,
Choć ich z osobna nie znać i chociaż zmysły tępsze
Nie chcą wierzyć, by z rzeczy drobin promienny pęk szedł.

Każda woń, dym, gorąco i tym podobne własności,
Z rzeczy wychodząc, nie dążą tak łatwo i najprościej.
Bo powstawszy we wnętrzu przedmiotów, krętą drogą
Dążąc, jedynie z trudem, w rozsypce, wyjść na wierzch mogą,
Ani się skupią znowu, ujść nie mając otwartych.
Za to gdy z ciężkiej zasłony zrywa się błona barwy,
Nic jej nie grozi rozdarciem, bo tuż na wierzchu leżąc
Zdoła odlecieć prosto i unieść w przestrzeń świeżość.
Znowu odbicia wszelkie w zwierciadle i wód toni
Jeśli są tak podobne, to cóż powiedzieć o nich?
Otóż powstają z błonek wysłanych z wierzchu rzeczy.
Takie podobizny, obrazy — któż zaprzeczy —
Z osobna niewidoczne, to jednak, wzięte razem,
Odbite od zwierciadła wielekroć, są obrazem
Wiernym swego przedmiotu. I nie ma innego zgoła
Sposobu, aby w zwierciadle obraz ułożyć się zdołał,
Obraz do rzeczy podobny i kształtem, i wyglądem —
Muszą być takie błonki i taki ich ruchów porządek.

Poznaj teraz, jak cienka podobizn jest istota.
Najpierw, skoro zarodki tak mogą wzrok kłopotać,
Mniejsze będąc od rzeczy najmniejszych, które oczom
Ujrzeć się już nie dają — to prawdę tę jednocząc

Z prawdą drugą o błonkach, i owym przyznasz małość.
Lecz wróćmy jeszcze do ziaren, z których się rzeczy składają.

Są wszak takie żyjątka maleńkie, że nie można
Trzeciej ich części okiem uchwycić i rozpoznać.
Także małe wnętrzości mieć muszą! Jak drobniutki
Okruch serca! A oczy, a członki, a ich nóżki!
Cóż dopiero zarodki! A jak maleńkie musi
Być wobec ziaren ciała każde ziarenko duszy!
Widzisz już, jak misterne to wszystko? Weźmij dalej
Pod uwagę te ciała, co woń wydają stale
Ostrą, jak panaceum, lek niezawodny, lub piołun
Przykry. lub abrotonu albo centurii zioło,
Których malutką szczyptę ujawszy we dwa palce

Teraz pojdziesz, jak mnogość owych malutkich podobizn.
Niedostrzegalnych dla zmysłów, błędzi na różne sposoby.

Abyś nie myślał znowu, że takie tylko wkoło
Błądzą odbicia, które z rzeczy wynikły, dołącz
Do nich i te, co same powstają, samorodnie
Tworzą się w sferach powietrza i krążą tam swobodnie.
Różne jest ich powstanie i różny bieg wśród wyżyn
Nieba, skoro kształt zmienny i polot mają chyży,
Coraz inne postaci udając naszym oczom.
Tak i chmury na niebie, kiedy się nagle stłoczą,
Mącą pogodny błękit i niosą wietrzyk w darze,
Przybrać umieją ciemne groźnych Gigantów twarze,
Cień rzucając wokół, a już za chwilę ujrzysz
Zbocza i szczyty górskie przed nadciągnięciem burzy
Takie, jakby je stado potworów, maszkar, smoków
Na dół z jasnego nieba spychało w głębię mroku.

Teraz o tem, jak łatwo rodzą się i jak chyżo
Płyną, od rzeczy swoich porwawszy się ku wyżom,

Zawsze bowiem na rzeczy powierzchni coś zostanie,
Co odrzuca; «coś» owo, jeśli na drodze mu stanie
Ciało porowate, takie, jak bywa tkanina,
Łatwo przejdzie dalej; lecz jeśli je zatrzyma
Kamień lub twarde drewno, to całe się rozpadnie,
A przeto podobizny już nie utworzy żadnej.
Nic się takiego nie zdarzy, gdy cząstki ulatujące
Natkną się na ciało mocno zwarte i lśniące,
Takie jak zwierciadło. Wtedy się ani precisną,
Jak przez tkaninę, ani rozbiją się i rozprysną.
Gładkość je zbawi. Dlatego, gdy rzecz przed lustrem postawisz,
Zaraz, o każdej porze, jej obraz się pojawi.
Widzisz więc: z ciał powierzchni spływają nieznużenie
Tkanki i kształty rzeczy, drobnutkie i lekkie jak tchnienie.
A jeśli w jednej chwili tyle się odbić wyłania,
Słusznie powiemy, że krótki jest czas ich powstawania.
Równie jak tarcza słońca przez jedno oka mgnienie
Musi wysłać tysięczne tysiącem dróg promienie,
By wszystko światłem napęlić, tak z wszelkich ciał dokoła
Prawo to samo obrazki z powierzchni na świat woła,
By w jednej chwili mnogie biegły w kierunkach mnogich.
Dokąd zwrócisz zwierciadło, już w nie, jak w baśni progi.
Wbiega tłum owych drobin i odbić moc się tłoczy.
Lub patrzaj: jeśli przed chwilą pieścił rozśmiane oczy
Błękit nieba, już oto kłębią się czarne chmury,
Jakby wszystka ciemność wyszła z piekieł ponurych,
Aż z nieba sklepień wysokich, od zimnej grozy srogich,
Wyrzują na drżącą ziemię czarne paszczęki trwogi.

Widząc tę nagłość w niebieskich ogromnych odmętach — pomyśl,
Także są od nich mniejsze obrazki. Czy jest uczony,
Co by ich małość obliczył, formułę umiał znaleźć?

Teraz, jak szybko obrazki lecą w przestrzenne dale.
Jaką ruchliwość mają, gdy przez powietrzne odmęty
Tak pędzą, że godziny zmieniają na momenty,
Jak w swoje miejsce każdy, rozbieżnie idąc, sięgnie —
Nie długo ci opiszę, za to, jak zdołam, pięknie.
Milej-bo śpiewa łabędź, choć krótko, niżli żóraw,
Co wieczorami długo, wrzaskliwie jęczy w chmurach.

Najpierw więc rzeczy lekkie, złożone z drobnych ciałek,
Żywsze są, prędzej biegną — tak prędko, jak są małe.
Światło słońca i ciepło słoneczne — te naj żwawiej
Wprzód mkną, jako złożone z ciałek skrzydlatych prawie,
Tak małych, że pędzone jak gdyby chłostą, w tłoku
Materii naprzód gonią, czuciu podatne i oku.
Światło za światłem goni w biegu nieustępliwym,
Błysk za błyskiem, jak strzały z jednej wysłane cięciwy.
Muszą odbicia rzeczy z równej przyczyny równie
W jednej sekundzie zdolność przebycia wielkich dróg mieć:
Najpierw, że lada jakie, niewielkie z tyłu pchnięcie
Pędzi je, jak na skrzydłach lecące niepojęcie,
A od najlżejszych rzeczy lżejsze; z przyczyny wtórej
(Że osnowa ich rzadką i lotną ma naturę)
Wszystko przeniknąć mogą i przez powietrza przestwór
Mknące swej polotności niezbite dają świadectwo.

Jeśli dalej te ciała, co z głębi, nie z powierzchni
Rzeczy biegną, jak ciepło, jak jasny blask słoneczny,

Mogą w króciutkim czasie tak wielką drogę przebiec,
Że się w mig rozsypują po ziemi i po niebie,
Jeśli morza przechodzą, lądy skrapiają rosą,
To jakże bardziej chyżo inne się w przestrzeń niosą,
Które w odlotu chwili stoją na samem czele,
Żadnej nie cierpiąc zwłoki? Czyż nie widzisz, że śmielej
Będą mknęły i szybciej, niż w niebie słońca promienie,
I w czasie jednakowym więcej przebędą przestrzeni.
To najpierwszym szybkości i pewnym jest dowodem
Dla wizerunków owych, że kiedy gładką wodę
Znajdzie pod sobą niebo błyszczące, to od razu
Widzisz w niej, jak w zwierciadle, niebieskich tłok obrazów:
W dzień chmur srebrzyste grzywy, a nocą gwiazd źrenice.
A przecież jak odległe niebios i wód granice!
Jak szybko podobizny muszą tę przestrzeń pokonać!

Tedy raz jeszcze przyznaj, jaka chyżość szalona

Ciała przeróżne lotne rażą nam wzrok i oczy,
Z innych znów rzeczy wonie uchodzą w dzień i w nocy,
Tak jak chłód z rzek, ze słońca upał, a z morza głębi
Pokwas, co w mur nadbrzeżny niszczące wtapia zęby.
Nieustannie też różne głosy powietrzem płyną.
Często słoność wilgotna skrapia ci wargi śliną,
Gdy blisko morza chodzisz. Często na widok troszki
Piołunu aż się wzdrygniesz nad jego smakiem gorzkim.
Tak to płyną upływy ze wszystkich rzeczy, dokoła
Dążąc na wszystkie strony, żadnej przerwy zgoła
Nie znając, ni wytchnienia — bo przecież nieustannie
Coś czujemy, to wzrokiem, to znowu przez dotykanie,
Ciągłe słyszymy głosy i dźwięki, chwytamy wonie.

Dalej, jeżeli w ciemni coś w dłonie ujmiesz, potem
Poznasz za dnia to samo, ten sam kształt widzisz wzrokiem.

Stąd najwyraźniej jasne, że wzrokiem i dotykiem

Jedno prawo zarządza za zgodnym ich wynikiem.

Przykład — rzecz kwadratową weźmy. Jeżeli w ciemni
Czujesz dotykiem kwadrat, przy świetle cóż znajdziemy?

Co wzrok pobudzić może, jeśli nie podobizna?

W niej spoczywa przyczyna widzenia — musisz przyznać.

Bez niej nic nie ujrzymy. Ze wszystkich ciał dokoła

Obfitość ich wypływa i masz ich bezmiar zgoła.

Lecz że tylko źrenicom przydany zmysł widzenia,

Wszędzie, gdzie je obrócisz, napotkasz uderzenia

Podobizn, prących w oczy postacią i kolorem.

Ona to, podobizna, sprawia, że w każdą porę

Wszystkie poznajesz rzeczy, oceniasz ich odległość.

Od nich do ciebie gnane powietrze wszystko zbiegło,

Jakie się mieści między oczami a przedmiotem;

Całe ono przez źrenic otwory biegnąc lotem

Jakby je przecierało, i przez to poznać zdołasz,

Czy daleko, czy blisko przedmioty masz dokoła.

Przytem, jeśli powietrza przebiega większa ilość,

Im dłużotrwały przewiew przechodzi z każdą chwilą,

Bardziej, mocniej źrenice ścierając — tem powieki

Słabiej uchwycą obraz, wyda się on daleki.

Dzieje się to tak prędko, że razem dał przedmiotu

Poznasz i jednocześnie kształt jego masz już gotów.

Nie dziw się przytem wcale, że widzialności rzeczy

Niewidzialność podobizn, co biją w oczy — przeczy.

Bo i wtedy, gdy czujesz, jak wiatr powolnym wiewem

Ciało mrozem przenika do kości i do trzewi,

Nie odczuwasz oddzielnie każdej cząsteczki chłodu,
Ale od razu wszystkie. A dalszych chcesz dowodów?

Uważ: na ciało twoje gdy owe ciosy lecą,
Zdaje się, że ból niosąc kończynom albo plecom
Są jakaś jedną rzeczą, rzuconą z zewnątrz na nas.

Także kiedy o skalę opierasz swe kolana,
Z wierzchu jej dotkniesz tylko, jej barwę chwyta dotyk,
Jednak od razu czujesz własności jej istoty,
Jako całość, i twardość jej głębi niewzruszonej.

Teraz poznaj, dlaczego z drugiej zwierciadła strony,
W głębi niejako, widzisz swą postać. Zapamiętaj,
Że ona tak zupełnie w przestrzeni odsunięta,
Jak te rzeczy przed drzwiami, które, gdy drzwi otworzę,
Zdadzą się na tle głębi stojące już na dworze.

Powietrze gra tu rolę podwójną dla widzenia:
Najpierw je bowiem widzisz aż do drzwi i przysienia,
Potem drzwi skrzydła oba, lewe i prawe, potem
Światło z zewnątrz źrenice przeciera nowym lotem,
Przez co w drugim powietrzu widzisz za drzwiami przedmiot.

Tak rzecz i jej odbicie, kiedy wyskoczy przed nią
Ze zwierciadła, do oczu powietrze nam przybiega,
Co między nią a nami — i oto wpierw postrzegasz
Całe powietrze, później zwierciadło. Ale teraz,
Skoro już widzisz zwierciadło, do niego z kolei dociera
Od nas idąca podobizna, co w lustrze odbita,
Pędząc przed sobą nową falę powietrza, zawita
Do naszych oczu. I naprzód widzimy tę falę, a po niej
Nasze odbicie dopiero z lustra się ku nam wyłoni.
To jest przyczyna, że obraz w zwierciadle jest dla nas dalej
Niżli samo zwierciadło. I nie ma co dziwić się wcale,

Bo owe podobizny, podwójnie oddalone,
Mają dwuwiew powietrza na racji swej obronę.

Czemu teraz te części ciała, co z prawej strony —
Z lewej widać w zwierciadle? Znów z podobizny onej:

Bije ona o płaskość tafl i, uderzona,
Wraca nie cała, ale w tył zgięta i spłaszczona,
Jakby ktoś maskę z gipsu na mokro wprost położył
Na słup — przód będzie płaski, a odwrót jej utworzy
To, czego z przodu nie widzisz, i kształt ten sam zachowa
Tył, który przód miał pierwej. Taż i o oczach mowa:
Które z nich było prawe, na lewe się zamienia,
Lewe na prawe znowu, wiernie aż do złudzenia.

W zwierciadło za zwierciadłem przechodzi też odbicie,

Tak że pięć i sześć nawet udaje się uchwycić —
Przez to znów, że ukryte w najdalszym lustra tyle
Można wydobyć stamtąd mimo przerw i odchyień,
Poprzez szereg zwierciadeł odbicia te tak wywieść,
Że jak na samym wierzchu oglądasz je prawdziwie.

Jedno zwierciadło drugiemu podobizny przesyła,
Teraz jest z prawej strony ta, która z lewej była,
Potem znów się odbije, by dawne miejsce zająć.
Są też lustra, co zawsze właściwy obraz dają —
Takie są owe zwierciadła wygięte jak boki u ludzi.

W nich strona prawa jest prawą i odwróceniem nie ludzi

Obraz — albo dlatego, że zanim do nas doleci,
Już w zwierciadle się odbił podwójnie, w jednej części
Naprzód, a potem w drugiej, albo — że nauczony
Krażącym kształtem lustra przekreślił się w drugą stronę.

To, że zwierciadło wiernie każdy nasz ruch powtarza,
Z nami podnosi rękę czy nogę — to się przydarza
Stąd, że z tej części lustra, od której się odsuniesz,
Żadna już podobizna do ciebie nie przyfrunie.
Natura bowiem każe odbiciom przez przestrzenie
Przechodzić i powracać pod jednym odchyleniem.

Czemu lśniących błysków ludzka źrenica unika,
Czemu ją razi słońce, gdy powiek nie zamykać?
Wielką ma bowiem siłę i odbić pęd z wysoka
Ciężko przez rzadki eter uderza wprost do oka,
Raniąc mu układ czuły. A zresztą ostre błyski
Nader są niebezpieczne dla źrenic nazbyt bliskich,
Wiele-bo ziaren ognia, zawartych w blasku, sprawia,
Że nieznośnego bólu źrenica się nabawia.
Także kto na żółtaczkę chory i z ciała jego
Liczne żółtości ziarna przeciw odbiciom biega,
Ten wszystko żółte widzi, bo nawet wzrok zatruty
Ma, dzięki w oczach chorych zmieszany ciałkom żółtym,
Które wszystko dokoła kolorem swoim znaczą.
Prosto z ciemności znowu na rzeczy w świetle patrząc
Widzimy je dokładnie, bo po powietrznej ciemni,
Która utkwiała w oczach, przychodzi blask przyjemny
Razem z powietrzem nowem, które w swych wiewach różnych
Rozprasza mrok poprzedni i daje pęd wyraźny
Czystym podmuchom, jako że od ciemności pierwszej
Ciała ma bardziej drobne i ruch ich jest zwinniejszy.
I kiedy te, gdzie przedtem czarny się eter tłoczył,
Drogi otworzy oczom, kiedy napełni oczy,
Zaraz odbicia rzeczy, na świetle urodzone,
Każą nam się oglądać, zdążając w naszą stronę.

I przeciwnie — ze światła źle jest w ciemność spojrzeć,
Bowiem po lekkim powietrzu jasności zaraz naciera
Gęste powietrze mroku, we wszystkich otworach się tłoczy,
Wszystkie zamyka kanały wiodące do naszych oczu
I już ich podobizny nie wzruszą, nie uderzą.

Kiedy na miasto patrzysz z daleka, graniaste wieże
Często wydają się kragłe — dlatego że oddalę
Kąty tępsze ci przyślą, albo nie przyślą wcale;
Długą bo mają drogę, zanim do oczu dotrą
Podobizny, i gdy o powietrze wielekroć się otrą,
Kant, który coraz to nową przeszkodę napotyka,
Zwolna ostrość zatracą, aż wreszcie całkiem znikną.
Skoro tak kąt ci każdy nie da się ująć w oczy,
Wieża się wyda, jakby kto gładko ją utoczył —
Chociaż nie tak, jak owe bliskie i rzeczywiście
Kragłe, lecz do nich tylko podobne jakoś mgliście.

Zdaje się także nieraz, że w słońcu cień za nami
Idzie, powtarza ruchy i skrada się śladami.
Czyliż można powietrze bez światła za rzecz żywą
Przyjąć, co chodzić może, ruchów jej dać prawdziwość?
Wszakże takie powietrze, co światła pozbawione,
Zwiemy cieniami. Jasne, że mogą powstać one,
Kiedy na pewnych miejscach kolejno traci ziemia
Blask, gdy go przesłaniamy — i zyska znów na przemian,
Kiedy przejdziemy dalej i gdy na miejscu owem
Światło masz, gdzieś miał cienie, a cienie masz gotowe,
Gdzie światło było — przez co wydaje się, że cień nasz
Z nami się wraz porusza. Bo światła moc promienna
Tu gaśnie tam się znowu zapala — niby węża

W ogniu gremplowana. Dlatego raz jest pełna
Światła, to znowu mrokiem osnuta nasza ziemia.

Przyznać trzeba, że przytem zmysł wzroku błędu nie ma.
Wie on tylko, gdzie światło, gdzie cień — a skąd się biorą,
Czy są ciągle te same, czy inne inną porą,
Czy tu, czy tam przechodzą, jak się wspomniało wyżej,
O tem swój sąd jedynie rozum potrafi wyrzec.
Oczy ci mówią o rzeczach, nie mówią o rzeczy przyczynie.
Tę tylko umysł podsuwa. Więc strzeż się oczy swe winić.
Gdy zbłądził umysł wskutek pochopnych mniemań swoich.
Okretem jadąc szybkim sądzisz, że w miejscu stoisz,
Że cię wyprzedza statek, co stoi na kotwicy.
Że uciekają przed tobą w nadbrzeżnej okolicy
Wzgórza i pola, kiedy na skrzydłach żagli wprzód gnasz
Spójrz na gwiazdy na niebie: myśl ci przychodzi złudna,
Że oto wbite w przestwór, bez ruchu — a wiesz przecie,
Jak ze wschodu na zachód wędrują po nadśwdecie.
Całe sklepienie w górze jasnością karmiąc swoją.
Tak słońce, tak i księżyc. Zda się, że w miejscu stoją.
A przecież, rzecz to pewna, są w ruchu nieustannym.
Tak też gdy z.dala oglądasz sterczące w morzu wulkany,
Między którymi by flota ogromna mogła przepłynąć,
Sądzisz, że wszystkie jedną złączoną wyspę czynią.

Dzieci lubią się kręcić w kółko, a gdy przestaną,
Kołuje ponad nimi sufit nad każdą ścianą
I dziwne im się zdaje, że to, co drży w posadach
I goni się nawzajem, na głowy im nie spada.
A gdy czerwoną tarczą migotliwego słońca
O wschodzie lśni natura, w górę je dźwigająca.

Kiedy je na wierzchołkach gór oddalonych złoży,
Rzekłbyś, że tę odległość nie trudno byś pomnożył
Na dwa tysiące lotów strzał z łuku, a najwięcej
Pięćset rzutów oszczepem — i słońce masz już w ręce.
Wiesz jednak, że ed gór tych aż do słonecznej tarczy
Oszczepów ni strzał ściągłych na przelot nie wystarczy,
A od nas do tych szczytów tyle ziem, tyle krajów,
Gdzie moc ludzi i zwierząt, nie znanych nam w rodzaju!
Znów głęboka na palec kałuża podeszczowa.
Która się w lada jakich dróg nierównościami chowa.
Da ci spojrzeć pod ziemię z takim rozpędem wzroku,
Że widzisz w niej głąb nieba i białe kłęby obłoków,
Wszystkie ciała niebieskie, dziwnym cudem natury
Na dół odbite w wodzie, choć zawsze masz je z góry.
A kiedy koń twój rączy na środku rzeki stanie
I spojrzysz sam na fali gwałtowne przemijanie,
Zda się, że prąd unosi w tył całe ciało konia,
Pchając je przeciw rzece, choć stoisz z cugłą w dłoniach.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, wszystko w fałszywych biegach
Ruchom złudnym i wstecznym wydaje się podlegać.
Wreszcie portyk, gdzie spojrzeć, ma równą linię wszędzie,
Prosto stoi, oparty na równych kolumn rzedzie;
Kiedy nań jednak spojrzeć z jednego końca, widać
Jak się zwęża przy końcu, aż się źrenicom wyda,
Ze strona prawa z lewą. że dach się z ziemią łączy
I w jednym mi ocznym klinie wszystko się miesza i kończy.
Żeglarzom w morskiej drodze zdaje się, że wschodzące
Z fal na te same fale składa swe blaski słońce,
Prócz bowiem wód i nieba nie znają, dali znamion.
Lecz nie sądz lekko myślą, że zmysły stale kłamią.

Toć ludziom obcym morzu wyda się, z portu patrząc,
Że strzępy wraków dają odpór falom i wiatrom.
Toż i proste jest wiosło do miejsca zanurzenia,
Prosta górna część steru — a jednak jak się zmienia,
Kiedy je w nurt pograżyć; patrz, oto już pod wodę
Wszedłszy, są jak złamane, jakby się w górę przodem
Gięły i unosiły aż pod powierzchnię płynną.

Gdy wiatr rozprasza chmury na niebie nocą siną,
Zda się, że gwiazdy lśniące biegną naprzeciw chmurom
Deszczonośnym, wzbiwszy się płyną nad niemi górą.
Inaczej niż naprawdę. A znowu, gdy niechcący
Oko z dołu naciśniesz, to jakiś zmysł czujący
Każe ci wszystko widzieć nie pojedynczo, jak to
Zawsze jest, lecz podwójną przydaje szatę faktom.
Podwójnem tobie światłem zakwita świecy płomień,
Dwa razy więcej sprzętów oglądasz w swoim domu,
Ludzi o dwu obliczach i o podwójnych ciałach.
Kiedy cię znowu senność słodko ukołysała.
Kiedy cały spokojnie leżysz i ciszę chłoniesz,
Zdaje ci się, że czuwasz, że nogi, głowę, dłonie
W ruch wprawiasz, i w ciemności snów nocnych oczy twoje
Widzą słońce i niebo lub gwiazd świetliste roje;
W miejscu tkwiąc, schodzisz drogi, przemierzasz lądy, wody.
Lotną stopą zdeptujesz pola, łąki, ogrody,
Głos słyszysz, choć nie słyszysz, i z własnych ust milczących
Zda ci się, że odpowiedź posyłasz wołającym.

Wiele podobnych dziwów i złudnych spotkasz przeżyć,
Które ci łatwo każą w świadectwo zmysłów nie wierzyć.
Próżno. Bo prawie zawsze wynika cała szkoda

Z winy domniemań umysłu, które do wrażeń dodasz,
Twierdząc żeś widział to, czegoś wcale nie widział w istocie.
Trudno bo, bardzo trudno niemyślnej prawdy dociec,
Odróżnić jawność zmysłów od ducha dopowiedzeń.

Jeśli ktoś twierdzi znowu, że nic nie można wiedzieć,
Skąd to wie, skoro nie wie nic? I wprost szkoda gadać
Z takim co staje głową na swoich własnych śladach,
Prawdy nie chcąc poszukać. A zresztą, gdybyś nawet
Zgodził się na te słowa wielkiej grzeczności prawem,
 Spytaj: Jeżeli dotąd prawdy nie zobaczył
Nigdzie, skąd wie, co «wiedzieć» i co «nie wiedzieć» znaczy,
Skąd zaczerpnął pojęcia owe: «prawdziwe», «fałszywe»,
 Po czym odróżnia pewność od tego, co wątpliwe?
Powtórz, że prawda od zmysłów pochodzi i przez nie ją poznasz
I że świadectwu zmysłów nic przeciwstawić nie można.
 To bowiem więcej budzi ufności, co własną mocą
Łamie fałsz, prostą drogą ku pewnej prawdzie krocząc.
Cóż więc może od zmysłów większą obudzać wiarę?
Czy rozum, na fałszu zmysłów ciągnący swoją miarę,
Zdoła kłam kłamstwu zadać, gdy się powoła na nie?
Wszak jeśli zmysły kłamią — kłamię rozumowanie.
Czyż uszy oczom zaprzeczą, uszom zaprzeczy dotyk,
 Wyrok dotyku uchylą usta, nozdrza lub oczy?
Nie tak jest, myślę. Przecież zmysł każdy własną drogą
Prawdy szukając dla siebie, inaczej chwycić mogąc,
 Własną ma zdolność doznań i swoją własną siłę:
 Inaczej czujesz żar, zimno, i co w dotknięciu miłe,
A znowu wszystko, cokolwiek w rzeczach można zobaczyć,
Jak barwy, światła, innym zmysłem poznajesz, inaczej.
Inną ma czynność ust smak, osobno zapach chwytasz,

Osobno dźwięk. I jasne, że nie ma wprost po co pytać,
Czy jedne zmysły drugim zaprzeczą lub przyganiają.
Jednaka wiara wszystkim należy się doznaniom,
Nie może jedno drugiego obalić ani poprawić.
Prawdą jest, co się zmysłom w danym momencie jawi.

Jeśli zaś umysł nie może słusznej przyczyny odnaleźć,
Czemu, co z bliska graniaste, okrągłe wyda się z dali —
Lepiej, gdy brak wyjaśnień, błędne przyczyny podać
Dla kształtów, niż dopuścić, by mądra zmysłów zgoda
Ze światem rzeczy wszelkich zginęła, by z rąk naszych
Pewne i dotykalne dowody w mrok wystraszyć,
Burząc podstawy bytu i wybawienie życia.
Nie dość-bo, że i rozum dozna przy tem rozbicia,
Kiedy zbraknie odwagi uwierzyć zmysłom, ale
Będziesz brnąć w przepaści, nie bacząc na nie wcale,
Rzeczy przeciwne zmysłom uznając, miast je mijać.
Próżne to słowa, któremi nieuctwo zmysły zbija;
Niechże ciebie nie złudzą, przygotowane tanio.
Tak, jak i przy budowie, jeśli zła miara stanie,
Jeśli skrzywione piony i na dobytek złego
Linie poziome także nie całkiem równo biega,
To całość ciężkich murów zła musi wypaść, krzywa:
Będą drzeć ściany z wiatrem, na przód i w tył się kiwać,
I do runięcia skłonne czasem i runą z nagłą,
Gdyż złą miały podstawę, błędnie tworzoną na gwałt.
Tak zły i nieudolny będzie dowodzeń system,
Co wyrasta na zmysłów oszustwie oczywistem.

Teraz ci jeszcze — a rzecz to nietrudna — wytłumaczę,
Jak inne zmysły doznają — a każdy doznaje inaczej.

Najpierw: Wtedy słyszymy szmery i dźwięków śpiewność,
Gdy wpadnie i zmysł w uchu obudzi ciało z zewnątrz.
I dźwięk, i głos — musimy przyznać, że nie bez ciała
Są, skoro namacalnie na zmysł nasz mogą działać.
Często głos drapie gardło, a znów silniejsze krzyki
Wychodząc, chrypią ostro o ciasne ściany grdyki;
Gdy bowiem ziarna głosu przez wąską gardziel na wierzch
Prą, i jak w odrzwiach muszą tłoczyć się gwałtem prawie,
To się przez usta wewnątrz obetrą aż do bólu.
Niewątpliwie więc słowa, głosy i szept najczulej
Zwiewny — cielesne będą, gdy mogą ciało ranić.
Oto, kto pełnem gardłem przekrzyczał cały ranek
I dzień aż do wieczora, lub mówił wciąż bez przerwy
Głos podnosząc — niechybnie nie tylko stargał nerwy,
Ale dobrze wiadomo, że całe jego ciało
Z sił opadło, na wadze straciwszy też niemało.
Jest więc i głos cielesny już przez to, że ubytek
Słów i -okrzyków wielu — to strata ciała przytem.
Ostry głos i chrapliwy rodzi się z ostrych ziaren,
Gładki — gładkich zarodków większą zużywa miarę.
Nie też same zarodki do uszu idą naszych,
Gdy ryk chrapliwej trąby ptaki dokoła straszy
A dzika okolica oddaje echem wrzask ten —
I kiedy z Helikonu smętnych łabędzi zastęp
Pieśnią ostatnią dźwięczy i żalem świat okrywa.

Kiedy z ludzkiego ciała głęboko się głos dobywa,
Z ust na zewnątrz idący prosto, to już go język,
Ruchliwy słowotwórca, ujmuje w zgłosek więzy,
Częścią wargi na pomoc wezwawszy. Tedy oto
Jeśli z niezbyt daleka zgłoski się w słowa plotą

I krótką mają drogę do uszu, to dokładnie
I same zgłoski chwytasz, i słowa wiążesz ładnie,
Bo się i całość ziaren, i układ ich zachowa.
Kiedy odległość większa, łatwo się zetną słowa,
W kręgach powietrznych biegać rozejdą się co nieco,
Kształt utracą i układ, nim uszu twych doleczą.
Bywa też, że z daleka gdy biegną słowa czyje,
Słyszysz je niewyraźnie, znaczenia nie odkryjesz,
Tak słabo głos przybiega, gdy go powietrze zgłuszy.
Za to jakże donośnie uderza w widzów uszy
Każde słowo herolda, co oznajmia igrzyska.
Na wiele głosów głos się rozbija zaraz z bliska,
Dążąc do różnych uszu, a w pojedynczych słowach
Razem się i znaczenie, i własny dźwięk zachowa.
Część zaś głosów, co bokiem przechodzą, uszy minie,
Rozprasza się w powietrzu i nadaremnie ginie,
Część zaś w swej drodze twarde napotkawszy przedmioty
Odbija się i złudnem echem przychodzi z powrotem.

Kiedyś to już rozpatrzył, zdasz sprawę sobie, innym,
Czemu to nagie skały na bezludziu pustynnem
Jeden po drugim okrzyk w porządku ci powtórzą,
Gdy od swych towarzyszy odbiegłszy w bok za dużo,
Wołasz ich pełnym głosem, by ci się odezwali.
Sam z sześć lub siedem razy powtórzone słyszałem
Echo, gdy raz krzyknąłem — tak parów do parowu,
Wzgórze innemu wzgórzu głos odsyłały znowu.
Stąd też dla starych ludzi tyle okazji mnogich
Do bajek to o nimfach, satyrach kozionogich,
To faunach. Ich to nieraz zabawy i okrzyki

Nocną ciszę podobno psują rozgwarem dzikim.
Pono i struny słyhać, i słodkich skarg podźwięki,
Jakie flet wypłakuje spod zręcznej grajka ręki.
Nieraz nawet słyszeli co głuchsi wiejscy starce,
Jak Pan w ostępach leśnych wygrywa na fujarce
Z trzcin pustych, krzywym ustom każąc w nią dmuchać zdrowo
I trzęsąc uliścioną, na pół zwierzęcą głową.
Mówią o wielu innych dziwadłach i potworach,
Byś nie myślał, że w zwykłych mieszkają, pustych borach,
Przez bogów zapomnianych. Dlatego przy okazji
Bają, by i ambicji dogodzić, i fantazji,
Oraz że ludzkie plemię na bajki bardzo łase.

Nie dziw się, dodam jeszcze, że przez te miejsca czasem,
Przez które nic nie widzą najlepsze oczy czyjeś,
Jednak głos przejść potrafi i w ludzkie uszy bije.
Przez to często rozmowę słyhać skroś drzwi zamknięte,
Że może głos przenikać przez różne dziurki kręte,
Przez które wizerunki nie przejdą, nie zdołają,
Bo tylko prostą drogę bez groźby zguby mają —
Szkła na przykład, przez które obraz przenika lekko,
Głos zaś na wszystkie strony rozprysnie się daleko,
Jeden z drugiego, trzeci, i każdy się rozdziela
Na kształt ognistej iskry, co iskierkami strzela
Hojnie dokoła siebie. Tak oto w mig niespełna
Bliższa i dalsza przestrzeń głosami się napęlnia,
Które i w tyłach wreszcie dokoła dźwięczą. Jednak
Dla odbić, wizerunków jest tylko droga jedna,
W którą zostały pchnięte: prosta. Dlatego nie zdołasz
Patrzeć przez mur, lecz słyszysz, gdy przez mur ktoś zawoła.

Przecież i głos zza muru przechodząc domów ściany,
Wpada w uszy już słabszy, po drodze pościerany,
Dźwiękowi podobniejszy, niż wyraźnemu słowu.

Smak, podniebienie i język gdy chcesz tłumaczyć znowu —
Łatwe jest tłumaczenie i mała przy niem zwłoka:
Smak odczuwamy w ustach, gdy wyciskamy pokarm
Żuciem, jak wodę z gąbki, gdy ją wilgotną w dłonie
Ująć i tak wyzymać, aż wilgoć spłynie po niej.
Potem, co wyciśnięte, po podniebienia błonkach
Kanalikami idzie i w pory języka wsiąka.
Jeśli więc gładkie ciała pożywny sok posiadają,
Miło tykają język i słodko mogą wpadać
W mokre otwory, które ochoczo język podaje;
Kłują zaś język srodze, kiedy się z nim stykają,
Ciała chropowate bardziej, niż zmysł ten lubi.
Zaraz za podniebieniem kończy się posmak luby,
Bo kiedy sok do gardła popłynie, już rozkoszy
Nie masz, gdyż wszystko w członkach od razu się rozproszy.
Mało jest ważne przeto, czem swe odżywasz ciało,
Byle ci pokarm strawić i wchłonąć się udało,
Oraz byłeś żołądek w wilgoci trzymać zdołał.

Teraz, dlaczego pokarm dla innych inny zgoła

Wyjaśnię, i dlaczego jedni na ten sam pokarm
Rzekną: gorzki, a inni, że słodki jak patoka.
Takie masz różne smaki, że co jednemu służy.
Drugi, niby trucizny, nie zechce za nic użyć.
Są takie węże pono, co ludzką tkniętę śliną,
Same się z bólu gryzą i jak otrute giną.

A ziele ciemierzycy zabójcze wprost dla ludzi,
W kozach oraz w przepiórkach zdrowie i tłuściość budzi.
Jeśli chcesz wiedzieć, czemu, to w pamięci zachowaj,
Co poprzednio mówiłem: że różnych ciał budowa
Różne ma ziarna w sobie i różnie pomieszane.
Wszystkie znowu stworzenia, i znane, i nieznanie,
Pokarmem się żywiące, posłuszne swym rodzajom.
I zewnątrz i na wewnątrz inną budowę mają,
I z różnych kształtem ziaren składają się ich ciała.
Skoro zaś ciała różne — różna ich zwięzłość cała,
Drogi pomiędzy niemi i szczeliny odmienne
W członkach wszystkich, w ustach, i nawet w podniebieniu.
Tu masz otwory duże, tam mniejsze o połowę,
Gdzie indziej masz trójkątne, cudzie indziej kwadratowe.
Wiele jest znów okrągłych, są też i wielokątne,
Musi bowiem ich układ na kształt całości wzgląd mieć,
Na ruch jej; stąd otwory muszą być tej budowy,
Jakiej wymaga całość i ciała jej osnowy.
Przez to, co jednym słodkie, drugim się gorzkie wyda;
Temu, komu słodkie, łatwiej przenika widać
W otwory podniebienia coś, odpowiednie kształtem,
Komuś to samo gorzkie, usta wykrzywia gwałtem:
Widać jest dla przewodów nierówne i chropawe.
Z tego już i o reszcie łatwo zdać sobie sprawę.
Kogo gorączka napadnie z nadmiaru żółci lub z innych
Przyczyn popadł w chorobę, zaraz organizm czynny
Zmącił się, całe ciało zmieniło układ ziaren
I już porządek ciałek zagubił dawną miarę.
Co przedtem smaczne było, teraz się wyda wstrętne,
To zaś, czego nie lubił, spożywa oto chętnie,
Choć smak wywoła przykry. Różne masz tedy zmiany,

Może być też smak ostry ze słodkim pomieszany —
Taki jest miód, i o tem już przedtem wykladałem.

Teraz chcę opowiedzieć, jak woń na nozdrza działa.
Najpierw nam przyjąć trzeba, że z rzeczy bardzo wiele
Prąd przeróżnych zapachów dokoła się wydziela,
Ciągłe z nich wypływając. I tylko tak być może,
Że inny zapach innych przyciąga chrapy stworzeń
Przez inne kształty ziaren. Tak to za miodu wonią
Z dała przez strugi powietrza robotne pszczoły gonią,
Za wonią trupów sępy, a po zwierzyny śladach
Pies myśliwski nas wiedzie i czując łup, ujada;
A znowu zapach ludzi z daleka łowią w polu
Białe gęsi, przesławne strażniczki Kapitolu.
Każde zwierzę za siebie właściwą węszy paszą.
Trujące zaś pokarmy nozdrza mu przykro straszą:
Przez to się zachowuje mnogość zwierzęcych rodzin.

Zapach zaś, co do nozdrzy drażniącym wiewem wchodzi,
Jeden daleko sięga, a drugi znacznie bliżej —
Żaden jednak nie zdoła, jak głos, przenikać spiże,
Nie mówiąc już, że żaden nie sięga tak z daleka,
Jak blask, co z odległości podrażnia wzrok człowieka.
Woń bowiem długo błądzi i kiedy przyjdzie do nas
Późno, już jest w powietrzu błędzeniem rozproszona.
Trudno też ze swej rzeczy na wierzch się wydobywa,
Bo, że ze środka idzie, prawda to niewątpliwa.
Mocny zapach wydziela ciało, gdy je rozkruszyć,
W pól przełamać, lub ogniem spoidła mu naruszyć.
Dalej jest niewątpliwe, że ma od ziaren głosu
Ziarna większe, bo murów nie przejdzie w żaden sposób,

Którędy dźwięk czy słowo przenika doskonale.
Przez to nie jest tak łatwo źródło zapachu znaleźć
I skąd woń idzie, poznać. Bo uderzenie woni
Łatwo chłodnie i słabnie, gdy przez powietrze goni,
Zmysłu już na gorąco nie rażąc. I psy czasem
Mylą się i fałszywy chwytają wiatr pod lasem.

Bywa tak i z zapachem nie tylko i ze smakiem,
Lecz obrazy i barwy bywają niejednakie
Dla wszystkich — i co jednym przyjemną da przynętę
Oczom, dla innych znowu widzi się z wielkim wstrętem.
Oto widok koguta, co różnym skrzydeł biciem
I pianiem blask jutrzeńki wita o wczesnym świcie,
Lwy nieprzyjemnie drażni, aż pustyń dzierzyciele
Zmykają przed nim. Zda się, że są w koguta ciele
Takie jakieś zarodki, co kiedy lwom do źrenic
Wpadną, muszą je razie ciosami bolesnemi,
Że srogie zwierząt króle mimo potęgi swojej
Muszą zmykać — i oto lew się koguta boi.
Nasze znowu źrenice takiego lęku nie znają:
Może w nie owe kogucie obrazki nie wpadają,
Może zaś wchodzą do oczu taką przestronną drogą,
Że łatwo z ócz wychodzą i szkodzić im nie mogą.

Teraz te rzeczy poznaj, co umysł poruszają,
Dowiedz się, skąd przychodzą do ducha, jak powstają.
Powiem tedy naprzód, że bardzo jest wielka mnogość
Rzeczy odbić przeróżnych, że one błędzić mogą
Wszędy, zwiewne będąc, a gdy się spotkają przelotem,
Łatwo się łączą, jak nitki pajęczce lub listki złote.
Lżejszą bo mają ośnowę od tych, co w oczu ludzi

Wchodząc łatwo, sprawiają, że się widzenie budzi —
Jeśli przez pory ciała przeniknąć mogą do duszy,
Dotknąć jej delikatną naturę i czucie w niej wzruszyć.
Dzięki nim i Centaury widzimy, i Scyl srogich
Cielska, paszcze Cerbera, i wreszcie widma drogie
Tych, co już dawno zmarli i cicho leżą w ziemi.
Wszędzie wszelkie odbicia wędrują po przestrzeni —
Jedne, które się same w powietrzu tworzyć mogą,
Inne, co z ciał przeróżnych uchodzą powietrzną drogą,
I wreszcie te, co z tamtych złączonych kształtów wstają.
Nigdzie żywe Centaury podobizn swych nie mają,
Bo nigdy ich nie było, a tylko gdy w sferze powietrznej
Konia odbicie przypadkiem z odbiciem człowieka się zetknie,
Powstaje wizerunek, jak przedtem okazałem,
Z cieniuchnych dwóch podobizn przez połączenie ciałek.
Podobnie inne powstają złączenia, a że przytem
Tak lekkie są te odbicia, tak w ruchach rozmaite,
Łatwo jednym dotknięciem zdołają władze ducha
Zbudzić i w różny sposób tworzywo jej poruszać —
Umysł jest bowiem lekki i czuły ponad miarę.

Teraz ci dowód podam, jawiący słów mych wiarę.
Jeśli patrzenie wzrokiem do postrzegania umysłem
Podobne jest, to muszą być i w przyczynach ściśle
Związki. I gdy na przykład oglądasz lwa oczami
Dzięki odbiciom, wierzaj, że umysł też z tych samych
Odbić ruchu doznaje, lwa widzi oraz inne
Rzeczy — dokładniej nawet przez ruchy bardziej zwinne,
W każdym razie nie gorzej, niż oczy. A jeśli nocą,
Gdy sen ci członki rozciągnie i światło zaćmi oczom,
Duch twój czuwa, to przez to, że wizerunki go drażnią

Te same, co na jawie w oczy wpadają rażno.
Bywa nawet często, że oto oglądasz we śnie
Kogoś, kto umarł temu lat kilka, albo wcześniej.
Tak każe ci natura, ponieważ zmysły w ciebie
Twojem wypoczywają i, prawdy przyjaciele,
Nie mogą złud fałszywych obalić doświadczeniem.
Także i pamięć twoja, gdy wpadła ci w uśpienie,
Nie sprzeciwi się, mówiąc, że dawno spróchnieć musiał
Ten, kogo we śnie żywym ogląda twoja dusza.
Zresztą niech cię nie dziwi, że podobizny senne
Członkami poruszają, jak gdyby śmierci lennem
Nie były (często we śnie oglądasz takie dziwy):
Oto, gdy jedna znika, druga już w bieg skwapliwy
Goni i przez to zda się, że pierwsza ruchy zmienia;
Dodaj, że dzieje się to w połowie okamgnienia.
Tyle jest ruchliwości i razem rzeczy tyle,
Tak wielka ilość cząstek spada na każdą chwilę
Czucia, że ich wystarczy dla wszelkich takich przeżyć.

Dużo tu pytać można, wyjaśnić też należy
Wiele, jeżeli wszystko dokładnie poznać pragniesz.
Pytają więc, dlaczego umysł tak w lot i zgrabnie
Myśli o tem, co człowiek pożąda. Czyli przez to,
Że odbicia czyhają, by woli dać świadectwo
I to, co chcemy, oddać, chociażby nam w pragnieniach
Nie wystarczało morze, niebios, ani ziemia?
Czyli pochody ludzkie, walki, biesiady w tłumie
Wnet natura, posłuszna życzeniom, tworzyć umie
(Zwłaszcza, że w jednym miejscu pragnie przeróżnych rzeczy
Mnogość ludzi, a jedno pragnienie drugim przeczy)?
Czemż widzimy we śnie, jak wizerunki zgodnie

Kroki umieją czynić, stopę za stopą podnieść,
Jak miarowo ramiona podnoszą, ruchów miękkość
Jak w tańcu wyrażają tułowiem, nogą, ręką?
W cyrkowym gimnazjonie te wizerunki może
Uczyły się, jak harce urządzać w nocnej porze?
Taka jest chyba odpowiedź: ponieważ chwila potrzebna
Do wydania głosu, co nam wydaje się jedna,
Niepodzielna — naprawdę wiele w sobie zawiera
Chwilek (do których nie czucie, lecz tylko rozum dociera),
Przeto jest odbić obfitość w każdym miejscu i chwili.
Tyle jest ruchliwości i razem rzeczy tyle:
Oto gdy jedna znika, to druga już nadbiega,
Różna, i przez to zda się, że pierwszej ruch postrzegasz.
Wszystkie one tak zwiewne, że umysł te jedynie
Chwyta, których zapragnął, a reszta wkoło ginie —
Chyba, że umysł na nie jest już przysposobiony,
Sam bowiem w przyszłość patrzy i czeka z każdej strony
Tego, co przyjść ma. Nie dziw, że zjawia się. Sam poznasz,
Że tylko wtedy wzrokiem rzecz drobną widzieć można,
Kiedy natężysz oczy, a bez przygotowania
Najbliższe małe rzeczy jakby ci mgła przysłania.
Przekonasz się dokładnie, że kiedy nieuważnie
Patrzeć na rzecz, to przecie nie widzisz jej wyraźnie —
Zda ci się oddalona, choćżeś jej nawet bliski.
Nie dziw tedy, że umysł gubi tę mnogość wszystkich
Odbić, których nie pragnął i nie wyglądał bacznie.
Po małych rzeczach często sądzymy większe znacznie
I nieraz się wydarzy omylić mimochodem.
Czasem i podobizna zjawia się inna rodem
Od wzoru swego; bywa, że ta, co bez wątpienia
Była kobietą, naraz w mężczyznę się zamienia.

Wiek, wygląd bywa inny, treść odbić się pokręci —
We śnie jest wszystko dobre, bo nie zna sen pamięci.

Tego się strzeż starannie i przy tych rzeczach zważaj,

Abyś się na pomyłkę zbyt wielką nie narażał.
Nie myśl, że po to zostały stworzone człowieka oczy,
Abyś patrzył. Także nie po to, abyś mógł kroczyć
Lekko — została zrobiona taka dolna kończyna,
Którą w kolanie i kostce swobodnie możesz zginać.
Ramiona do twych barków przypięte nie w tym celu,
Ani do ramion dłonie, żebyś mógł, przyjacielu,
Co ci do życia trzeba, sięgać i brać swobodnie.
Takie bowiem wywody i wszystkie im podobne
Na fałszywem myśleniu oparte są, bo w ciele
Wpierw się zrodziły członki, a później członków cele,
I ich użytek mocno po ich powstaniu kroczy.
Nie było też patrzenia, nim nie urosły oczy,
Nim język się nie zrodził, nie było słów i mowy,
I uszu nie poprzedzał zmysł słuchu już gotowy,
Bo od działania swego starsze organy one,
Nim się użytek zaczął, musiały być skończone.
Podobnie wszystkie członki — nie przez to, nie po to powstały,
By z góry pomyślaną czynność najlepiej spełniały,
Ale walki na pięści i bitew zła szaloność,
Ciała ludzkie brocząca bolesną krwią czerwoną,
Dawniej była, niż ostre pociski. Także dawniej
Ran uczyła natura unikać, nim ktoś sprawnie
Tarczę w lewicę ujął, by ciało swe zasłaniać.
Pierwej też ciało ludzkie знаło potrzebę spania,
Nim pościelono miękkie łoża. I bardziej stary

Ludzki pęd do napojów, niżli misterne puchary.
Dlatego można wierzyć, że to, co ku potrzebie
Życia wynaleziono, nie przyszło samo z siebie.
Lecz co innego rzeczy, które się wpierw poczęły,
A pot m, już istniejące, użytku myśl podsunęły.
Do nich należą członki, do nich i zmysły liczę.
Więc nie wierz w przypuszczenia mylące i zwodnicze,
By zmysły wraz z członkami przyszły dla używania.

Nie dziw się, że sama cielesna natura skłania
Każdą istotę żyjącą, by sobie pokarmu szukała.
Wszakże już tłumaczyłem, jak wiele różnych ciałek
Wciąż uchodzi z rzeczy, a już najwięcej tracą
Zwierzęta, utrudzone wiecznego ruchu pracą.
Dużo im ciałek z potem wypływa, dużo w drodze
Przez usta wydychają, kiedy się zmęczą srodze.
Ciało im rzędzie wtedy, natura swą podpore
Traci i ból po członkach wzywa posiłku porę.
Przeto się pokarm bierze, by pożywienie miłe
I członki pokrzepiło, i dało ciału siłę,
Otwory utykając, głodne sytości obfitej.
Napój znowu przesiąka w te miejsca rozmaite,
Gdzie za wiele suchości. I przykry żar gardzieli,
Gdy zbytek ziarn gorących przenika a|bf do jelit,
Miłym napitkiem gasisz, jak ogień wody strumieniem,
I zaraz w członkach ustaje owo bolesne palenie.
Tak się pragnienie syci ziejące, tak niesyty
Brzuch zaspokoić można pokarmem smakowitym.

Teraz o tem, jak kroki stawiamy rażno po ziemi,
Jak różnemi członkami swobodnie władać możemy,

Jaka to siła zarządza ciała naszego wagą —
Powiem pokrótce, ty zaś słowa me czytaj z uwagą.
Najpierw odbicia chodzenia do ducha sięgnąć muszą;
Te, jak już tłumaczyłem, wraz czucie w nim poruszają.
Z tego powstaje wola. Nic bo nie zrobi człowiek,
Jeśli mu naprzód umysł, co czynić, nie podpowie,
Bo umysł przewidywanej rzeczy ogląda odbicie.
Kiedy więc duch działaniem pragnie objawić życie,
Iść dokądś, sprawia, że w ciele podnosi się moc owa
Duszy, co się wszędy po stawach i członkach chowa.
Łatwo mu to przychodzi, bo jest z nią połączony.
Ona zaś w ciała wszystkie ośrodki, w każdą, stronę
Bije, aż cała masa w ruch się wprawi pomału.
Jako że w takim momencie rzadsze też staje się ciało,
Tedy powietrze — którego natura jest wielce ruchliwa —
Do rozszerzonych otworów obficie zewsząd przypływa,
Stąd się po ciele, aż do najmniejszych cząstek rozchodząc.
I jak żagle wraz z wiatrem okręt po morzu wodzą,
Tak owe dwie przyczyny ciało nam w ruch wprawiają.
I nic w tem nie masz dziwnego, że oto takie małe
Ciałka kierować mogą wielkiem człowieka ciałem
I ciężar nasz obracać. Wszak wiatr, gdy bije o żagle
Wielkie cielsko okrętu porusza, jak zapragnie,
A ciała ma tak drobne, tak zwiewne. Wszak okręty
Jedną ręką sternika prowadzi przez odmęty
I skręca tam, gdzie trzeba, choćby szybkość szalona
Niosła je poprzez fale. Tak przemyślne dźwigary
Wzniosą i łatwo przesuną największe nawet ciężary.

Teraz ci w słowach krótkich, a miłodźwięcznych raczej,
Snu, trosk pocieszycieła, naturę wytłumaczę,

My znowu we śnie nawet szukamy prawdy czystej,
By ją znalazłszy dla ludzi wpisać na karty ojczyste.
Tak oto te i inne marzenia, prace — ludziom
Także i sen upragniony zwodniczem działaniem ludzą.
Nawet na jawie nieraz widowisk amatorom,
Co wiele dni spędzili w teatrze igrzysk porą,
Mimo że już im z oczu zeszyły areny uroki,
Jednak w umyśle mają otwarte drogi szerokie
Dla odbić z dawnych czasów i nieraz im się wyda,
Że jeszcze wciąż to samo nawet w dzień biały widać:
Znowu płasają tancerze, miękko ruszając nogami,
Barwność ozdób scenicznych znów oko wdzięcznie mami,
Te same widzów rzędy, te same dźwięki lutni,
Co przemawia strunami weselej raz, raz smutniej —
A wszystko jakby żywe, i to nie we śnie przecież.
Takie to urojenia nie tylko w ludzkim świecie
Dla rzeczy upragnionych, nie tylko w ludzkim ciele
Powstają — zna je także i różnych zwierząt wiele.
Przypatrz się koniom rączym, jak we śnie członki swoje
Choć wyciągnięte mając, częstych wyścigów bojem
Nieraz przez sen się przejmą, jakby do mety gnały
Sił resztą lub niecierpliwie, w szrankach trzymane, drżały.
Nieraz też psy myśliwskie we snu spoczynku błogim
Nagle szczekną, drgną ciałem, niezdarnie prężą nogi,
Woń nozdrzami wciągając, bo może przez sen niesie
Wiatr im zapach zwierzyny, ciągle tropionej w lesie.
Zbudzone zaś, popędzą nieraz za sennem widmem
Jeleni, jakby naprawdę w ucieczce im były widne —
I dopiero po chwili zwierzę złudzenie traci.
Te zaś psy, co nawykły w domu do stróżów pracy,
Łagodne, jednak ze snu porwą się z ziemi spieszenie,

Jakby obce postacie świeżo ujrzały we śnie.
A im są dziksze które zwierzęta, tem w snach swoich
Srożej szaleją, bardziej muszą się niepokoić.
Czasem w noc ptak zbudzony ucieka, skrzydłem w mroku
Bije w gałęzie, mącąc gajów święconych spokój,
Kiedy mu się przywidzą w chłodnej powietrza głębi
Bitwy srogie i pościg lecących z nieb jastrzębi.
Ludzie zaś, co na jawie wielkie stwarzają dzieła,
To samo czynić zwykli poprzez snów swoich nieład:
Królów zwyciężają lub idą w niewolę, często
Krzyczą, jakby śmierć marną zgadując za swą klęską.
Wielu jest tych, co przez sen jęczą okropnie, siły
Wszystkie swe natężając, jakby ich kaleczyły
Ostre zęby pantery lub lwa srogięgo. Mnogo
Takich, co przez sen wszystko, co wiedzą, zdradzić mogą —
Niejeden sam się we śnie o własnej zbrodni wygada.
Wielu ze śmiercią walczy, to znów z wysoka spada,
Jakby z góry w przepaście rzuceni całym ciałem —
Gdy zbudzą się, to ledwie swe członki obolałe
Z trudem o władnąć mogą. A kto szedł spać spragniony,
Ten całą rzekę we śnie do ust przelewa z dłoni —
Tak nieprawdziwe fale pragnienie senne koją.
Często się dzieciom zdaje przez sen, że blisko stojąc
Sadzawki ku potrzebie unoszą szatkę swoją,
Śmiało mocz wypuszczają z ciała i nieświadomie
Skrapiają babilońskie kobierce w swoim domie.
Komu zaś wiek młodzieńczy w lędźwiach, krzepnących wczesnie,
Pierwsze nasienie zrodzi, temu się często we śnie
Wdzięczą odbicia przyjemne wszelakiej płci przeciwnej,
Kraśnym rumieńcem miłe, nagością bliskie dziwnie,
Drażniąc miejsca, gdzie nasion obfitość napęczniała,

Aż jakby już po wszystkim, nagle wytryśnie z ciała
Hojnym prądem nasienie, aż moknie szata biała.

Bo niepokoi w nas się, o którym już mówiłem,
Nasienie, kiedy członki męską zdobędą siłę.
Na każdą rzecz odmienną odmienny powód działa —
Ludzkie nasienie tylko moc ludzka wywabia z ciała.
I kiedy z miejsc, gdzie wzrasta, wygna je życia nakaz,
Zaraz schodzi się ono po różnych ciała szlakach,
Poprzez członki i stawy spływając ku organom
Rodnym, drażni je ciągle z mocą niepowstrzymaną.
Prężą się rodne członki, budzi się w nich pragnienie,
Aby gdzie żądza wskazuje, trysnąć dojrzałym nasieniem.
I ciało tam podąża, skąd umysł odebrał ranę:
Przecie upada ranny na miejsce rozszarpane
I krwią w tę stronę tryska, skąd cios odebrał srogi,
Nieraz z bliska posoką brocząc wrogowi nogi.
Ten, kogo kusi chłopiec powabem dziewczęcych kształtów,
Lub rozkochana kobieta pragnąca miłego gwałtu,
Kto od strzały Wenery otrzymał ranę, dąży,
Skąd wyszedł cios, by żądze u źródła jej pogrążyć,
Złączyć swe ciało z drugim i trysnąć płynem rodnym,
Gdzie obiecuje rozkosz popędu, sytości głodny.

Taka jest Wenus dla nas. Stąd jest miłości miano,
Stąd słodycz, co nam w serca sączy się kropel pianą,
Aby je potem odretwić lodowym niepokojem —
Bo choć daleki od ciebie przedmiot miłości twojej,
Przecież odbicia jego wzrok twój i słuch twój drażnią.
Trzeba więc strawę miłości obrzydzać wyobraźnią,

Umysł zwracać gdzie indziej, a nadmiar nasion płynnych
W różnych ciałach przygodnie umieszczać, coraz innych,
 Nie zatrzymywać po to, by wpadłszy w miłość stała
 W bólu i trwodze żyjąc udrećzać ducha i ciało.
Jątrzy się bowiem, puchnie wrzód, gdy go długo żywisz.
Dzień po dniu bardziej choryś, szalony, nieszczęśliwy —
 Jeśli na świeżo swej rany nowemi ciosami nie koisz,
Z pierwszą-lepszą kochanką nie leczysz odurzeń swoich,
Albo ruchów umysłu gdzie indziej zwrócić nie zdołasz.

 Kto unika miłości, nie traci czarów jej zgoła,
 Ale nie płacąc okupu, zbiera rozkoszy najwięcej.
 Bo chyba mniejszą radość osiągną z niej szaleńcy
 Niż zdrowi na umyśle; wszak i w złączeniach chwili
 Zwodniczy dla kochanków ten raj, który zdobyli.
Nie wiedzą, czem swe oczy, czem ręce wpierw nacieszyć,
Ból zadają swym ciałom w nagłych uściskach pierwszych,
 Zęby wtapiają w wargi, miażdżąc swe usta nawzajem.
 Ale im ich namiętność rozkoszy czystej nie daje,
A tylko żądza, każe w to godzić w czułych męczarniach,
 Skąd szaleństwo okrutne płomieniem ich ogarnia.
 Choć tę mękę miłosną łatwo im Wenus słodka
 Koi, choć wśród uścisków miła ich rozkosz spotka,
Próżna jest ich nadzieja, że z własnych ciał płonących
 Przyjdzie i ochłodzenie, które szaleństwo skończy.
Wszystko zaprzecza temu, bo ta namiętność straszliwa
 Taka jest, że im więcej dosytu w niej zdobywasz,
 Tem ci mocniejszą żądzą pierś gore. Patrzaj: często
 Pokarm i napój biorąc ciało nasycasz przez to,
 Bo we właściwe członki płyn wchodzi czy potrawa
 I łatwo ich potrzebę łagodzisz, gdy powstawa.

Ale ni kształt oblicza, ni barwa miłej twarzy
Niczem — prócz zwiewnych odbić — ciała ci nie obdarzy,
A i tę mdlą nadzieję tak często wiatr porywa!
I —jak oto pragnienie czując, kto we śnie spoczywa,
Darmo woła o wodę, by w gardle zgasić ogień,
Goni rzek wizerunki, co go napoić nie mogą,
Choć zda mu się, że w środku jeziora stojąc, pije —
Tak i Wenus nas ludzi przez zwiewne odbicia czyje.
Nie mogą kochankowie napatrzeć się sobie dosyć
Ni błędząc rękami po ciele dobyć ostatek rozkoszy
I z płci przeciwnej powabów ująć dla siebie niczego.
A kiedy zewrą już członki, gdy w kwiecie wieku młodego
Ciała im drżą od lubieży, w jakiej od tylu pokoleń
Wenus ziarnem mężczyzny zasiewa kobiecą rolę —
Cisną swe ciała do siebie, cisną swe usta wilgotne,
Dyszac kaleczą wargi od żądnych zębów dotknięć.
Próżno! Bo nic nie wezmą od siebie, ni w uściskach
Złączyć się nie zdołają — a wszak się wyda z bliska,
Że wszelkimi siłami chcieliby tego dokonać.
Mocno tkwią w pętach Wenery — tymczasem wysilona
Żądza, słabnie, odpływa sok z mdlejącego ciała.
A kiedy się dopełni namiętność oszalała,
Krótka nastaje przerwa w miłosnym boju ludzi.
Potem powraca wściekłość i znowu szal się budzi,
Kiedy się zwierza ciało z ciałem, by znów nie znaleźć
Ani na zło sposobu, ani dosytu w szale.
Tak krwawią nieświadomi od tej ukrytej rany.

Dodaj, że tracą siły w tym trudzie nieustannym,
Że życie im upływa w niewoli, a bogaty
Dobytek lekko idzie na stroje i makaty;

Że cierpią obowiązki, że dobra cześć się niszczy.
Za to na wonnych stopach sikiońskie obuwie błyszczą,
Oprawione w złoto szmaragdy lśnią wieczorem
A suknie purpurowe, noszone w każdą porę,
Drań się, miłosnym potem skrapiane bez umiaru.
Majątek dziedziczony topnieje w złocie darów
Dla lubej, w szaty, w tkaniny z Alindy czy z Kos się zamienia -
Za to wciąż masz zabawy, przepych uczt i odzienia,
Maści, puchary, wieńce wciąż nowe, wciąż wspaniałe.
Próżno! Bo pośród uciech, choć końca w nich nie miałeś,
Gorycz wstaje, co dławi przez zapach kwiatów wonnych —
Czy to, że umysł czuje winę za życie płonne.
Pędzone wśród rozpusty nędznie i niegodziwie,
Lub że słowo kochanki mogło domysły przywieść,
Które ci serce palą, jak ogniem, lub że ona
Zbyttnio na innych patrzy — i oto myśl szalona
Szuka podejrzeń w śmiechu zalotnym, w minach gości.

Masz to w każdej wzajemnej, w każdej szczęśliwej miłości —
Cóż zaś w złej, nieszczęśliwej? Rozpaczy i goryczy
Z zamkniętymi oczami za wiele byś policzył!
Lepiej więc jak najwcześniej w rozwałę się uzbroić
I uniknąć zasadzki, z rad korzystając moich.
Bo nieskończenie łatwiej wcześniej rozerwać węzły,
Niż później, gdyś zupełnie w opłotach ich ugrzęzły
I gdy ci zdradna Wenus na pewno nie pomoże.
A nawet uwikłany, oplatany najgorzej.
Zdołasz się wyrwać cało, jeśli sam swojej zguby
Nie dopełnisz i jeśli swej upragnionej lubej
Wady ducha i ciała rozpatrzysz po kolei.
Mężczyzn bowiem namiętność pogrąża bez nadziei,

Każąc w kochance widzieć zalety, których nie ma.
Wiele-bo szkaradzieństwa nosi cierpliwa ziemia,
Które i czci zażywa, i wprost za cud uchodzi.
Drwią sobie jedni z drugich zakochani i młodzi,
Radząc wzajem, by Wenus skarżyli o kochanek
Brzydkość — a sami mają po trzykroć mniej udane.
Czarną zwie się klejnotem. Niechlujna, to niesztuczna.
Niebieskooka — Pallas, a chuda niczem włócznia —
To sarenka; karlica — oto maleństwo miłe;
Wielka, tęga — to cudo, mające wdzięk i siłę:
Jąkała jest szczebiotką, niema — skromności wzorem,
Rozkoszą uszu ta znów, co stale trzeszczy ozorem.
Biedactwem ukochanem suchotnica, a wiotka
Ta, którą od kaszłania śmierć już niedługo spotka.
Tęga, piersista znowu, to istna Ceres żywa,
Z Satyrowego rodu pochodzi każda krzywa,
Długowarga — namiętna. Zbyt długo liczyć dalej!

Nawet niech będzie cudna i niech wad nie ma wcale,
Niech z jej członków prześlicznych urok Wenery bije —
Tyle jest jeszcze innych! A bez tej — nie wyżyjesz?
Tak samo i to samo robi, co wstrętne jędze.
Kadzi się zapachami, aż z drogi jej co prędzej
Własne uchodzą służki, śmiejąc się z czaru pani.
Tymczasem za jej drzwiami gach stoi zapłakany,
Kwiaty na progu składa, wonnością go naciera
I drzwi całuje zimne i znowu — et caetera.
Gdyby go, wpuszczonego, raz ów zapaszek dobiegł,
Zaraz by szukał wyjścia, pozory tworząc sobie.
Wtedy długo i żmudnie składane miłosne zaklęcia
Klnąc serdecznie, od razu wyrzuciłby z pamięci,

Dziwiąc się, że ubóstwiał niegodną czci nadziemskiej.
Wiedzą to nasze Wenery. Toteż przed okiem męskiem
Tych, których złowić pragną, zazdrośnie strzegą tajni
Skrytych szczegółów życia, a przecie tak zwyczajnych!
Próżno, bo jeśli zechcesz, twój umysł na światło dobędzie
Wszystko. Słabość i śmieszność wybadać możesz wszędzie.

A jeśli luba twoja mądra i szczerą — tedy
Odrzuć niebiańskość uczuć, ziemskiej z nią użyj schedy.

Nie zawsze też kobieta kłamie, udaje miłość,
Kiedy w ciało mężczyzny wtula się całą siłą
I usta swe wilgotne do pocałunków rozchyła,
szczerze i ona pragnie, by przyszła owa chwila,
Która wspólną rozkoszą miłosny trud zakończy.
Inaczej by samice nie chciały ciał swych łączyć
Z samcami, ani ptaki, zwierzyzna, jałowice
Nie dałyby wejść samcom, gdyby nie żar dziewiczej
Natury, którą jurna Wenus obdarza w chucie.
Bo i mąk rozmaitych, nie tylko miłych uciech,
Ci doznają, co w pętach Wenery tkwią nawzajem.
Często psy połączone, wybiegłszy na rozstaje,
Ciagną się z całej siły w przeciwną stronę, byle
Wyrwać się z pęt Wenery, które je dręczą tyle.
Nie czyniłyby tego, gdyby ich wprzód nie związał
Szał miłosny, co potem dręczy je. Więc pogrąża
Wenus — twierdzą stanowczo — w rozkoszy płci oboje.

I gdy z męskiem nasieniem łączy kobieta swoje,
Jeśli mężczyzny siłę jej własne przemogą siły,
Będą się jej podobne dzieci z jej ziaren rodziły,

Jak z męskich znów — do ojca podobne. Te znów dzieci.
Co podobne obojgu i w których rysach świeci
Obopólna uroda, powstają z pomieszania
Nasion, które gdy Wenus do wytryśnięcia skłania,
Łączą się zgodnie wzajem; wtedy nasienie męża
Żeńskiemu nie ulega, lecz go i nie zwycięża.
Bywa też, że się dzieci dziadkom podobne darzą
Lub ślad kształtu pradziadów oddają swoją twarzą —
Przez to, że i w nasieniu rodziców wśród zarodków
Wiele różnie zmieszanych znajdzie się ziaren przodków.
Z nich to Wenus potrafi dziecięce ciało ukuć,
Które w spadku przechodzi do wnuków i prawnuków.
Nieraz mowę i włosy dziadów przydaje małym —
Bo głos i uwłosienie z tych samych wzięte ziaren,
Z których członki i twarze biorą swój kształt i miarę.
Z ziaren ojca dziewczęta się także rodzą, a z matki
Nasienia płcią ojcowską znaczone rosną dziatki.
Z podwójnego bo ziarna powstaje życie nowe,
Temu podobne, z kogo ma więcej niż połowę.
I łatwo poznać przez to, czy w to lub owe stadło
Więcej w dzieciach dziedzictwa męża, czy żony padło.

Nikogo jednak bogi nie gnębią taką karą,
By słodkiej nazwy ojca nie przybrał choć na starość,
Aby w niepłodnej miłości przepędzał życie całe.
Wielu tak myśli. Wielu na srogich bogów chwałę
Ofiary składa sute i smutne wznosi modły,
Byle od ich nasienia żony zastąpić mogły.
I wyrocznie, i bogów trudzą biedacy na darmo.
Niepłodni są po części zbyt tęgie mając ziarno,

Po części, że zbyt słabe i nikłe. Nikłe zatem
Nie wchodzi do właściwych miejsc rodnych przyszyłych matek,
Zbyt lekkie, by się zatrzymać, od razu na zewnątrz spływa.
Mocne zaś, które z trudem drogę sobie zdobywa,
Albo tam, gdzie potrzeba, nie trafia, lub gdy sięgnie,
Na zmieszanie z kobiecem nasieniem zbyt jest tęgie,
Albo nie dosyć luźno dobiega. Skutek próżny.
W połączeniach Wenery wiele masz odmian różnych:
Jedni jedne kobiety łatwiej zapłodnią ziarnem,
Przez innych mężów inne łatwiej bywają ciężarne.
Wiele kobiet przez kilka bezpłodnych przeszło łożnic,
Nim wreszcie ktoś je zaczął płodnością uwielmożnił
I słodkie dzieci na świat nareszcie wydać mogą.
Ci zaś, którym małżonka, poprzednio płodna mnogo,
Nie rodzi — znajdują wreszcie naturę sobie bliską
I dziećmi uradują na starość domowe ognisko.
Tak ważne jest, by mogły nasiona odpowiednie
Z odpowiedniami zejść się, razem się zgęszczać, rzednieć.
By nikłe się łączyły z tęgiemi, i odwrotnie.
Także i pokarm płodność podtrzyma wielokrotnie,
Bo z jednych rzeczy mogą nasiona rosnać w ciele,
Z innych znów albo słabną, albo ich ginie wiele.
Ważne też, rozkosz miłą jaką zdobywasz drogą.
Sądzą wszakże niektórzy, że żony łatwiej mogą
Zajść w ciążę, gdy je bierzesz na czworonogów sposób
Z tyłu, bo wtedy ziarno lepszego dozna losu,
Gdy pierś kobiety nisko, pośladki wyżej trzymać.
Ale namiętność aktu znaczenia tutaj nie ma.
Bo nawet się kobieta broni przed ciążą, gdy tak
Z lubością żądne ruchy mężczyzny ciałem chwyta

I sse bezkostną piersią całą wilgotność jego:
Wytrąca w bruździe swojej pług z należnego biegu,
Drogę pędowi ziaren utrudnia. Przez to może
Czynią tak nierządnicę, by wciąż mieć wolne łożę
I nie leżeć ciężarnie, oraz by mężczyzn żądza.
Częściej zmyślne rozkosze kazała im urządzać —
Ale to żonom naszym zbyt wiele całkowicie.

Można jednej kobiety pragnąć przez całe życie
Nie z cudów, nie z miłosnych podniet i strzał Wenerę.
Może bowiem kobieta czystością ciała, szczerym
Duchem i uczciwością osiągnąć to, że przy niej
Miło ci i spokojnie twój męski wiek przeminie.
Przytem przyzwyczajenie uczucie krzepi wzajem,
Bo to, co się na słabe choćby, lecz częste zdaje
Ciosy, po dłuższym czasie zachwieje się i runie.
Patrzaj — oto ślad kropel po twardych skałach sunie,
Aż je powoli draży, aż je na wskroś przewierca.

Koniec księgi czwartej

KSIĘGA PIĄTA

Kto by mógł dobyć z piersi na prawd i odkryć chwałę
Dosyć potężne słowa i pieśni dość wspaniałe?
Któż by tak mową władał, by się pokusił słać
Zasługi tego męża, który nam pozostawił
Tyle zdobyczy serca i tyle myśli dzielnych?
Nie byłby to, zaiste, człowiek, jak ja, śmiertelny.
Bo jeśli słowa szczere posłać mam do twych uszu,
Powiem, że on był bogiem. Bogiem zostanie, Memmiuszu,
On, który pierwszy podał wszystkie sposoby żywota
Dziś nazywane mądrością. On siłą swą wymotał,
Wydobył z głębi mroków, stawiał na światła szczycie
Obdarzone nareszcie spokojem ludzkie życie.
Popatrz, co dotąd nam dano za bogów różnych przyczyną:
Ceres zrodziła zboże, Bakchus dał ludziom wino —
A przecież życie bez nich obyłoby się lekko
I nawet głosi fama, że kędyś tam, daleko,
Mieszka lud, co bez zboża i wina życie przedzie.
Ale bez czystej piersi cóż życie warte będzie?
Tem bardziej on nam bogiem być godny, że przez niego
Aż do dziś ludzie w tylu narodach prawdy strzegą,
Słodko kojącej życie i wartej, byśmy żyli.
Gdybyś do jego czynów czyny przyrównać silił
Herkulesa sławne — tem rychlej prawdę zgubisz.
Cóż by nas dziś obchodził — przyczyna jego chluby —
Lew nemejski, albo ów dzik z Arkadii krwawy?
Cóż ów straszny byk z Krety, albo ta z Lern dzierzawy
Hydra wraz z jadowitym kłębem okropnych węży?
Czyżby nas ów trójpiersny Gerion zdołał zwyciężyć

Cóż by nam dziś szkodziły spiżowe ptaki Stymfalii
Lub konie Diomedeskie, którym z paszcz ogień wali,
Płonąc w polach bistońskich aż gdzieś koło Ismaru?
Albo gad, u Hesperyd strzegący jabłek paru
Strasznym wzrokiem, cóż nam by wadził węzowem ciałem
Gdzieś z dala, gdzie za morzem poprzez Atlasy białe
Świat dla nas jednakowo nieznany, głuchy, niemy,
Gdzie ani barbarzyńcy, ani my nie jedziemy?
Także inne potwory, już wytępione z ziemi,

Gdyby żyły, to w czym by nam utrudniały życie?
W niczem chyba. Wszak dziś też mieszka wśród puszczy obficie
Dziki zwierz i dokoła oddają lasy, góry
Strach, radość, walkę bestyj i groźny ryk ponury.
Puszcz możemy unikać i gdzie bądź znaleźć przystań,
Ale nie unikniemy męki, gdy pierś nieczysta,
Gdy tyle walk ją szarpie i tyle niepokojów!
Troska wtedy i żądza w nieustającym boju
Męczy duszę człowieka i wiecznym lękiem poi.
Z tego pycha niegodna, ogień rozpusty brzydkiej,
Kląski przynoszą ludziom z lenistwem wraz i zbytkiem.
Czyż więc nie słuszne bogiem nazwać owego męża,
Który te wszystkie zmory potrafił przewyciężyć
Nie bronią, lecz słowami i myślą? Który nieraz
W rzeczach boskich o bogach roztropny głos zabierał,
A przede wszystkim umiał o bytu prawdach wszystkich
Rzucać myśli świetliste jak jasne słońca błyski!

Ja w jego idąc ślady gdy jego myśli ścigam,
Uczę, jak się z tych zasad prawda istnienia dźwiga,
Takie prawo rządzi rzeczy istnieniem i trwaniem,
Tak że mocnych więzów czasu żadna się z nich nie wyłamie.
Taka jest najpierw ducha natura, którą włada
Czas — zaczęło ciało zrodzone, śmiertelne posiada
I wiecznie żyć nie może, niewzruszony, niezmienny.
Kiedy ludzi już zmarłych w rojeniach widzimy sennych,
Zwodzą nas tylko odbicia złudnym pozorem istnienia.
Teraz trzeba mi jeszcze w porządku dowodzenia
Te oto prawdy pokazać: Dowieść, że świat ma ciało
Śmiertelne, które kiedyś umrze, jak kiedyś powstało.
Dalej wytłumaczyć, jak z tego materii skupienia
Niebo powstało, i gwiazdy, i słońce, i morze, i ziemia,
Księżyc krąży: jak z ziemi tyle się narodziło
Zwierząt (a jakich zwierząt nigdy na ziemi nie było);
Jak zaczął porozumiewać się wzajem rodzaj człowieczy
Przez nazywanie odmiennym słowem odmiennych rzeczy.
Czemu do piersi ludzi wtargnął strach przed bogami;
Co sprawia, że ich wielbią na ziemi ołtarzami,
Wznoszą świątynie, posągi, jeziora i gaje święcą.
Powiem dalej, przez jaką siłę natura skręca
Drogi słońca, księżycy — byśmy nie tkwili w błędzie,
Że one tak swobodnie krążą w przestworzach wszędzie
Między niebem a ziemią swojemi rocznymi szlakami
Po to, by roślin i zwierząt ułatwiać dojrzewanie,
Lub byśmy nie myśleli, że jest to z woli bogów;
Bo i ci, co spokojny byt bogów przyjąć mogą
Za prawdę, nieraz w dawny zabobon zwykli popadać,
Dziwiąc się, jak być może, by niebem nikt nie władał.
Zaraz więc nieszczęśliwi, gdy tylko spojrzą nad ziemię,

Kładą sobie na barki okrutnych władców brzemie,
W wszystkim, co sobie uroją, widząc zrządzenie boże.
Biedni — nie wiedzący, co może być, co nie może,
Jakie granice mocy rzecz każda w sobie zawiera,
Co każe rodzić się życiu i co mu każe umierać.

Teraz, ażeby czasu na obietnice nie trawić —
Popatrz, proszę, na ziemię, niebo i mórz dzierzawy:
Ich naturę potrójną, trzy różne ciała postaci,
Jeden dzień, mój Memmiuszu, zniweczy i zatraci,
I nieuchronnie zginie ten przez tak długie lata
Prawem natury rządzony ogromny mechanizm świata.
Dobrze wiem, jak dziwaczna, jak obca zda się zmysłom
Taka zgubę wróżąca nieba i ziemi przyszłość.
I niełatwo mi przyjdzie trudność tę zwalczyć słowem —
Jak to zawsze, gdy uszom przynosisz rzeczy nowe,
Których oczy zobaczyć ni ręce dotknąć nie mogą.
Wszakże najkrótszą do naszych serc i umysłów drogą
Jest świadectwo zmysłów: widzenie, dotykanie.
Może już bardzo niedługo rzeczywistością się stanie
To, o czym mówię, może po wielkich wstrząsach ziemi
Zginie świat i my obaj ze światem tym zginiemy.
Oby władczy los sprawił, byśmy tę prawdę mogli
Poznać z rozumowania, a nie z wulkanów ogni,
Kiedy wszystko w zatacnie pograży, się rozpacznej!

Nim zaś w tych wszystkich rzeczach wyroki głosić zacznę
Świętsze i bardziej pewne niż te, które z trójnoga
W laur spowita Pytia wygłasza z łaski boga —
Pragnę cię najwierniejszym słowem mądrości pokrzepić,

Aby cię religijny zabobon nie oślepił,
Że ziemia, niebo, morze, gwiazdy, księżyc i słońce
Boskie mają ciało i nie przemijające.
Nie myśl, że jak Giganci poniosą straszną karę
Ci, co umysłem burzą granice świata stare;
Nie sądź, że straszną zbrodnią jest (jak to w oczach tłumu)
Słońce na przyszłość gasić mocą śmiałego rozumu
Lub rzeczy nieśmiertelne śmiertelną mową burzyć.
Skądby boska potęga miała tym ciałom służyć?
Jakże są im dalekie wszelkie znamiona boskości!
Raczej powiemy, że są nam dane za przykład istności
Nie obdarzonych władzą ruchów żywotnych i czucia.

Wszakże nic nam nie każe o wszelkiem ciele sądzić,
Że ducha w sobie mieści i rozum, którym się rządzi.
Nie ma drzew wśród eteru, chmur nie zawiera morze,
Rybie pokolenie na ziemi żyć nie może,
Krwi nie upuścisz z drewna, sok nie wytryśnie z kamienia —
Dane jest każdej rzeczy miejsce wzrostu, istnienia.
Tak i natura ducha bez ciała nie podola
Powstać sama, ni istnieć bez krwi i ścięgien zgoła.
Gdyby to wszakże mogła, to czemu ducha potędze
W głowie, w plecach lub w piętach miejsca nie przyznać prędzej?
Wszakże czy w tej, czy w innej zrodzona części ciała,
Zawsze by w tymże człowieku, w tem samem naczyniu została.
Gdy nawet w ciele naszym jest ściśle wyznaczone
Miejsce dla duszy i ducha, miejsce osobne i stałe,
Tem bardziej wierzyć trudno, by mogły poza ciałem
Żywych stworzeń przebywać i mieszkać w ziemi zwietrzalej
Albo w upale słońca lub w wodach morza czy rzeki,

Albo znów wśród eterów wysokich i dalekich.
Nie ma więc w żadnej z tych rzeczy ni śladu natury bożej,
Skoro ich nawet dusza czuciem ożywić nie może.

Również uwierzyć trudno, aby bogowie święci
Mieli siedziby w jakiejś naszego świata części.
Zwiewna natura bogów, z dala od zmysłów stojąc,
Ledwie naszym umysłem chwycić się da i pojąć.
Jeśli zaś dotykowi naszych się rąk wymyka,
Sama też żadnym sposobem rzeczy nie może dotykać.
Które są dla nas uchwytnie. Bo temu, co samo dotknięte
Zostać nie może, jest także dotykane odjęte.
Muszą więc mieć siedziby inne, niż my, bogowie:
Lekkie jak oni. Kiedyś szerzej ci o tem powiem.

Mówić znów, że dla ludzi stworzyli bogowie z nieba
Cudną naturę świata, i że ich słać trzeba
Za wspaniałe ich dzieło, i twierdzić, że koniecznie
Musi to, co stworzyli, najlepsze być i wieczne,
Że się nie godzi ludziom, dla których już na zawsze
Wszystko ustanowiły potęgi najłaskawsze,
Wstrząsnąć świata posady albo bluźnierczem słowem
Ład światowy wywracać — te wszystkie tak nienowe
Zdania są jednym wielkim głupstwem, Memmiuszu drogi.
Cóż bowiem nieśmiertelny ród bogów oraz bogiń
Szczęsnych mieć będzie z naszej wdzięczności? Czyżby dla nas
Coś jeszcze czynić mieli za te podziękowania?
Cóż by nowego mogło tak znęcić ich i skusić
W ich spokoju, by chcieli ten spokój swój naruszyć?
Tylko ten bowiem, komu obrzydł obecny żywot,

Pragnie zmiany; lecz każdy, kto tylko znał szczęśliwość
Przez czas długi, a nie znał, co w lęku żyć i w bólach,
Skądby nowości pragnął, nad czerń by się rozczulił?
Może tak źle nam byłoby wcale się nie narodzić?
Gzyliż musimy wierzyć, że świat w ciemnościach brodził
I życie było straszne, nim myśmy je dostali?
Każdy, kto posiadał życie, ceni je sobie, chwali,
Póki go błoga rozkosz trzyma. Ale kto żywy
Nigdy nie był, czyż przez to czułby się nieszczęśliwy,
Że niezrodzony został? I skąd bogowie wzięli
Model dla wszystkich rzeczy, które utworzyć mieli?
Jak mogli przewidywać i znać przed czasem ludzi,
Których dopiero tworzyć mieli, do życia budzić?
Jak i kiedy poznali wszystkich zarodków mocność,
Oraz, co czynić mogą, kiedy przemieniać poczną
Układ swój—gdy natura nie dała wzorów bogom?
Bo jeśli te zarodki od wielu wieków mogą
W tylu ilościach swoich, w tylu sposobach różnych
Pędzić pośród ciężarów oraz uderzeń w próżni,
Jeśli się skupiać mogą i różne kształty tworzyć
Wedle tego, jak się porządek ich ułoży —
To nie ma nic dziwnego, że w doświadczeniach stałych
Te własności zdobyły, w jakich dziś świat się cały
Obraca, wciąż się tworząc i odnawiając stale.

Nawet i o zarodkach gdybym nie wiedział wcale,
To już z porządku nieba odważyłbym się głosić
(Jeszcze innych dowodów mogąc przytoczyć dosyć),
Że ani łaska żadna, ni cud jakiegoś boga
Natury nam nie stworzył — tak jej ułomność mnoga.

Najpierw z tego, co niebo z rozmachem objąć zdolne,
Część zabierają góry i knieje zwierząt wolnych,
Skały, bagna szerokie i morza sine odmęty,
Które swoim ogromem rozdziela kontynenty.
Ziemi dwie trzecie prawie wydziera ludzkiej mocy
Skwar pustyni oraz zimna śnieżycą od północy.
Co pozostaje roli, natura z każdej strony
Chwastami by obsiała, gdyby człowiek nie bronił
Gleby, albo motyką z męką skopując ziemię,
Albo w twarde jej skiby wpierając ostry lemiesz.
I gdyby pług uparty nie orał żyznej gleby,
Kaząc jej siew przyjmować — to sama z siebie gdzieby
Plony wydała jakie na łaskę wiatrów zmiennych?
A kiedy już po pracy owocnej i codziennej
Zielenią się i kwitną tak wypieszczone łąny,
Nagle niszczy je całkiem to upał niestłuchany,
To deszcz i zimne śniegi, to znowu niedościgłe
Wichry, bijące w ziemię gwałtownym lotnem skrzydłem.

Czemu natura w morzach i w krąg na ziemi żywi,
Ciągłe mnożąc, ród zwierząt wrogi nam i straszliwy?
Czemu nam tyle chorób przynoszą pory roku?
Dlaczego śmierć wędrowna nigdy nie wstrzyma kroku?
Dziecko — jak na brzeg wyrzucony przez morskie fale
Rozbitek — leży nagie, nieme, pomocy wcale
Nie ma do życia, odkąd w męce je z matki łona
Wyda na świat natura sroga i niewzruszona.
Kwili więc na tej ziemi, na której mu wypadnie
Tyle boleści przeżyć, radości prawie żadnej.
Oto bydłom lepiej, oto drapieżcom wszelkim
Nie trzeba ni grzechotek, ni pieszczot rodzicielki,

Ani słów kołysanki; one na srogie mrozy
Czy upały nie muszą szat odpowiednich włożyć,
Ani im broń potrzebna, ani wysokie mury,
By mienia swego strzegły, bo wszystko od natury
Mają hojnie i wszystko ziemia im sama rodzi.

Patrzaj — oto i ziemia, i morze, co ją chłodzi,
I wiatr miły, i upał gorący, rzeczy owe,
Którym ziemia zawdzięcza treść swoją i budowę,
Skoro ze śmiertelnego są utworzone ciała,
Musi mieć takie samo ciało natura cała.
Wiemy przecież, że jeśli czyjeś części oddzielne
Są kształtu zrodzonego i z materii śmiertelnej —
To całość jest śmiertelna i urodzona przytem.
Widząc tedy, jak świata składniki rozmaite
Mogą się po zniszczeniu odrodzić w nową całość —
O niebie i o ziemi też twierdzić będę śmiało,
Że kiedyś się zrodziły i kiedyś muszą zginąć.

Nie sądź, że myśl upraszczam, trudności chcę ominąć
W tych rzeczach, gdy powiadam, że ziemia i że ogień
Zginą, że wiatr i morze nie ujdą zguby srogiej,
Mówiąc razem, że rosną i mogą się odradzać.
Najpierw, gdy ziemię pali płomienna słońca władza,
Gleba, skopana gęsto krokami stóp i racic,
Wiele pyłu i kurzu w obłokach lotnych traci,
Które wiatr w krąg roznosi w powietrzu; potem jeszcze
Brzeg wykruszają rzeki, glebę splukują deszcze.
Dalej, jako że wszystko, co ziemia żywi i tuczy,
Musi w tej samej mierze znowu do ziemi wrócić,

Że ziemia dla wszystkiego, co kiedyś się z niej urodziło
Jak ze wspólnej matki, będzie też wspólną mogiłą,
Więc raz się wyczerpuje ziemia, a raz odnawia.

Dalej — długo nie warto o wzroście rzek rozprawiać:
Każdy wie, jak wzbierają, jak wody wciąż przybywa
Nowej i wszędzie, gdzie spojrzeć, to samo się odbywa;
Jednak zarazem część wody ginie o każdym czasie
I nigdy nad miarę nie wzrośnie wilgoć w całej swej masie,
Bo albo wiatry mocne zagarną część z powierzchni,
Albo się od promieni słonecznych wzwyż rozpięzchnie,
Albo część spłynie dołem do ziemi w różne strony,
Gdzie już gorycz zostanie, a wody odcedzonej
Materia ścieka z powrotem, do źródeł wraca rzeki,
Skąd ją znowu, jak dawniej, poniesie do ziem dalekich
Miły nurt płynną stopą noszący lekkie fale.

Teraz ci o powietrzu zmiennem wyłożę dalej,
Które się w każdej chwili w całym swem ciele przetwarza.
Wszystko bowiem, co z rzeczy uchodzi w różnych razach,
Wpływa do morza powietrza. Gdyby zaś nie wzmacniało
Powietrze wszystkich rzeczy, ciała zwracając ciałom,
Wszystko by się od dawna w powietrze przemieniło.
Ciągłe więc rzeczom oddaje to, co im przedtem ubyło,
Gdyż wszystko, jak wiadomo, porusza się, przepływa.

Także światła płynnego krynica szczodrobliva,
Słońce — niebo oblewa jasnością ciągle świeżą,
Błyskiem jednym za drugim ziemię i eter mierząc;
Ale niejeden błysk mu, gdzie padnie, tam przepada.
Możesz to poznać łatwo po chmur cienistych śladach,

Które gdy popod słońce posuną się gromadą.
Zaraz słońcu promienie wpół przecinając kradną;
Zaraz ciemnieją z dołu, zaraz ciemnieje z niemi
Ziemia, nad którą zwisną skrzydłami szerokiemi.
Widzisz więc, że światłości wciąż nowej trzeba rzeczom.
Że rozprasza się każdy blask, gdy go w drodze przeciąć,
Że tylko wtedy jaśnieć mogą przedmioty wszystkie,
Kiedy w nie źródło światła wciąż nowym tchnie połyskiem.
Tak i światła nocą przez ludzi zapalone:
Lampy, świece i żagwie płomienie swe czerwone
Odnawiają co chwila, a błyski ich pośpieszne,
Ogniem żywione ostrym, w ciemną wpadają przestrzeń
Drżąc płomykami, dzięki czemu nie znajdziesz zupełnie
Miejsc, których nowy płomyk światłem by nie zapełnił.
Tak to żwawo ogniki wciąż od pochodni płynąc
Nie pozwalają światłu zapóźnić się i zginąć.
Zatem i słońce, księżyc i gwiazdy muszą podobnie
Z coraz to nowych zasobów lśniąco wysyłać ognie,
Zawsze nowe wydając i nowe tracąc płomienie.
Nie sądź tedy, by mogły na niebie trwać nieskończenie.

Czyliż nie widzisz, jak z czasem w proch się skruszają skały,
Jak się wywraca w gruzy potęga wież wspaniałych,
Głazy wietrzeją, pękają posągi i dumne świątynie
Bogów, którzy nie mogą zagłady zagładzie przynieść
Ani z naturą walczyć, ni jej wyroków zmienić.
Leżą w gruzach posągi mężów sławnych na ziemi,
Jakby zapytać chciały, czy wierzysz, że są stare.
Z gór obsuwają się skały, co chociaż potężne ciężarem,
Znieść nie mogą, że czas je niszczy ograniczony.
Przecieżby nie spadały nagle do kotlin zielonych.

Gdyby od wieków zarania dzielnie umiały znosić
Nieuchronnego czasu wszystkie ataki i ciosy.

Spojrzyj wreszcie na to, co z góry i zewsząd w uścisku
Dzierży ziemię całą. Jeżeli eter ów wszystko
Z siebie rodzi, a zmarłe do siebie przyjmuje z powrotem,
Musi mieć ciało zrodzone i mieć śmiertelną istotę.
Co bowiem inne rzeczy karmi, samo ubywa,
Aby wzrosnąć, gdy rzeczy z powrotem do siebie przyzywa.

Gdyby odwieczna była i ziemia nasza, i nieba —
Czemuż to, nim wybuchły potężne wojny w Tebach
I w Troi, innych czynów walecznych, bardziej dawnych,
Nie spisali poeci, równie jak Homer sławni?
Gdzież liczne czyny mężów ówczesnych się podziały,
Że nie zakwitły nigdzie na wiecznych pomnikach chwały?
Tymczasem świat naprawdę to jeszcze istny młodzik
I myślę, że niedawno dopiero się narodził.
Wiele umiejętności powstaje coraz nowych,
Inne się ulepszają. Patrz — w sprzęcie okrętowym
Ileż zmian! A muzyka—jakże jest jeszcze młoda!
Oto naukę naszą niedawno ludziom podał
Mistrz nasz, a ja dopiero wśród Rzymian jestem pierwszy,
Co ją wyjawiam słowem pięknych, ojczystych wierszy.
Jeśli wierzysz, że dawniej wszystko już było, ale
Ludzie wszyscy zginęli w strasznym słońca upale
Albo runęły miasta w nagłym trzęsieniu ziemi,
Albo woda, wezbrana deszczami przeciągłemi,
Miasta i wsie zaląła, granice skradłszy brzegom —
Musisz swój umysł skłonić do potwierdzenia tego,
Że i ziemia, i niebo zguby swej nie uniknie.

Bo jeśli świat prznosił tak liczne, tak niezwykle
Wstrząsy i choroby, to już by ze szczętem zginął,
Gdyby się zetknął z jeszcze bardziej zgubną przyczyną.
Tak i my swą śmiertelność przez to znamy, że bóle
Chorób tych samych nas dręczą, którym i dziad nasz uległ,
I ojciec, i wszyscy inni, co żywot utracili.

Co trwa wiecznie, to albo musi być twarde na tyle,
Żeby swem zwartem ciałem odpierać uderzenia,
Żeby nie mogło przeniknąć doń żadne obce ciało,
Które by jego części spoistość rozerwało
(Takie są ziarna materii — mówiłem już o nich niemało),
Albo trwa wiecznie przez to, że doznać nie może uderzeń,
Niczem próżnia, co w siebie bez szkody ciosy bierze
I nietknięta zostaje, albo znowu dlatego,
Że wokół rzeczy owej brak miejsca dogodnego,
Gdzieby ubytek odszedł i jakoś się rozprzegnął —
Taka jest wieczna wszechcałość, bowiem poza nią dokoła
Nie ma miejsca ucieczce i nie ma ciałek zgoła,
Co by uderzyć w nią mogły, jej części rozprzegając.
Ale świata natura nie ma, jak już wspomniałem,
Ciała twardego, zwartego, bo próżnia jest z jej ciałem
Zmieszana, ani nie jest, jak próżnia ta, ani też
Nie brak ciałek, co mogą przez ciosy rozmaite
Rozbić cały ten świat nasz, kiedy je z nieskończonych
Przestrzeni poza światem sprowadzi pęd szalony.
Nie brak też poza światem takich głębin natury,
W których rozpaść się mogą całego świata mury,
Kiedy je jakaś inna siła rozłamie w ćwierci.
Tak więc nie jest zamknięta dla ziemi droga śmierci,
Ani dla nieba, słońca, ni dla mórz głębi słonej —

Zguba czeka i grozi gardłem nienasyconem.
Wszystko to: ziemia, słońce, wód głębia, obszar nieba
Nie jest również odwieczne — to także przyznać trzeba —
Bowiem co śmierci podlega, nie mogło od czasów zarania
Przed ciosami wieków zwycięsko się osłaniać.

Wreszcie, jeżeli wszystkie z wielkich świata żywiołów
Walkę nieubłaganą toczą z sobą po społu,
Kiedyś skończyć się musi ta wojna. Wtedy może,
Kiedy słońce i ogień wysuszą każde morze
I wodę z rzek wypiją. Do tego bez wątpienia
(Choć bez skutku na razie) dążą w swoich płomieniach —
Chociaż znów rzeki tyle wód niosą w bystrych falach,
Że zda się, jakby chciały świat cały gniewnie zalać.
Próżno! Bo oto wichry, po morzu hulające,
I promieniami swemi groźne, polotne słońce
Wodę wchłaniają i wierzą, że świat osuszą prędzej,
Niż woda go zatopi w powodzi swych potędze.
Taką to walką dysząc, równe siłami swemi,
Pragną rozstrzygnąć losy morza, nieba i ziemi.
I raz już światem całym zawładnął według podań
Ogień srogi — raz znowu ziemię zalała woda.

Ogień bowiem zwycięski wiele rzeczy wszelakich
Spalił, gdy rozbiegane w krąg Faetona rumaki
Gnały nad wszystkie ziemie i po eterze całym:
Wtedy ogromnym gniewem zapłonął Jowisz wspaniały,
Dumnego Faetona poraził piorunem nagłym.
Spotkał onego Apollo i z jego rąk upadłych
Podjął wieczną pochodnię, co dotąd ziemi świeci,

I, jak to opiewali starzy helleńscy poeci,
Konie zawrócił zbiegane, na nowo sprzągl oszalałe,
Jadąc znów prosto, wszystko na ziemi ożywił całej.
Wszystko to oczywiście nazbyt od prawdy odległe.
Ogień mógłby zwyciężyć, gdyby ziarn jego zbiegły
Z nieskończoności na dół gromady coraz inne:
Wtedy albo coś sprawi, że skruszy się siła ziaren
Ognia, lub zginą rzeczy, spalone jego żarem.
Także i woda niegdyś, jak głoszą bajki gminne,
Zwycięzwszy zalała wiele miast zamieszkałych.
Potem, kiedy jej przemoc z nieskończoności całej
Zebrana ustąpiła pod wpływem jakiejś siły,
Deszcz ustał, wszystkie rzeki gwałtowność swą zmniejszyły.

Teraz z kolei wyjaśnię, jak z materii skupienia
Niebo powstało rozległe, morze głębokie, ziemia,
Księżyc krągły, jego biegi stałe i zmiany.
Na pewno nie jakimś z góry powziętym wiedzione planem
I nie przez bystry dowcip miejsca sobie właściwe
Zajmowały zarodki, jeden nie nakazywał
Drugiemu, gdzie się zderzą. Ale od wieków gnane,
Tyle ciosów doznając, każdą zbiorów odmianę
Wypróbowałwszy, i mogąc ciężarem swym niejedno
Złożyć skupisko, różnie połączyć się i zbiegnąć,
Raz takie, innym razem odmienne stworzyć skupienie,
Wszystkie układy i ruchy sprawdziwszy doświadczeniem
Lat niezliczonych, na koniec, w jednym momencie nagłym
Tak się ze sobą zderzyły i tak do siebie przypadły,
Aż utworzyły z siebie owe największe rzeczy:
Ziemię, morze, niebo i wreszcie ród człowieczy.

Kiedyś nie było jeszcze widać ni kuli słońca
Mknącej po jasnym niebie, ni srebrnych gwiazd tysiaca,
Ani nieba i morza, ani w powietrzu, na ziemi
Rzeczy podobnych wszystkim, które oglądać możemy.
Burza jakaś rządziła wśród zarodków i chaos,
Wszystko wieczną niezgodą mieszając i gmatwając:
Drogi i odległości, uderzenia, ciężary,
Związki. I trwała ta walka, bo różnej będąc miary,
Kształtem niepodobne, zarodki nie mogły jeszcze
Utrzymać związków wzajemnych, trwałych znaleźć pomieszczeń
Ani ruchów sobie udzielać wzajemnie i zgodnie.
Potem cała ta masa zaczęła się dzielić. Podobne
Ziarna z podobnemi łączyły się, tworząc zręby
Świata, dając początek jego składnikom odrębnym.
Tak oddzieliło się naprzód niebo wysokie od ziemi,
Potem morze, by było osobno z wodami swemi,
Wreszcie ognie niebieskie, by były oddzielne i czyste.

Najpierw te, które ziemię tworzyły, ciała wszystkie
Skoro tak ciężkie były i tak splątane mocno,
Musiały w samym środku w najniższym dole spocząć.
Im bardziej z sobą zwarte schodziły się, tem żywiej
Na zewnątrz wypierały inne, co swem tworzywem
Miały zbudować morza, gwiazdy, księżyc i słońce
I wielkie mury świata — wszystkie ciała, mające
Ziarna krągłejsze, gładsze i niniejsze niż ziarna ziemi.
Dlatego to nad ziemię otworami rzadkiemi
Uniósł się eter płomienny i mnogie lekkie ognie
Poniósł ze sobą w górę. Często się dzieje podobnie
Ranną porą, gdy słońce na łąk zroszone obszary
Śle swoje blaski szkarłatne i widać, jak wstają opary

I w górę się unoszą z nad jezior, rzek i strumieni.
A czasem zdaje się para uchodzić z samej ziemi.
Owe to mgły poranne z ziemi i wód lecące
Kiedy się w górze połączą i zgęszczą, mogą słońce
Zakryć, ścieląc się pod nim czarną chmury powłoką.
Tak i ów eter lekki i zwinny wzniósł się wysoko,
Tam się zageścił w ciało, co jak sklepienie wygięte
Ze wszystkich stron nad światem naszym zawisło rozpięte.
Wszystkie rzeczy w zachłannym swoim uścisku dzierżące.
Po narodzinach eteru powstał księżyc i słońce —
Kule ich między niebem i ziemią w powietrzu krążą,
Ani się z ziemią, ani z eterem rozległym wiążąc:
Nie miały ciał dość ciężkich, by osiąść w dolnych kręgach,
Ani lekkich na tyle, by jeszcze wyżej sięgać —
Mogą jednakże ciałem, jak żywem, w środku latać
I zostać w swych obrotach częścią całego świata.
Oto podobnie w ludziach masz jedne członki w ciele
Nieruchome, a inne ruchu doznają wiele.

Gdy więc te rzeczy ziemia straciła nagle, spadła
W dół, gdzie się dzisiaj błyszczą błękitnych mórzw zwierciadła,
Które dno ziemi skryły. I oto co dzień więcej,
Im mocniej żar eteru grzał ziemię, im goręcej
Słońce od zewnątrz co dzień uderzeniami promieni
Ze wszystkich stron zaciekłość zwracało przeciw ziemi,
Tem mocniej się kurczyła ziemia pod owem biciem.
Pot z ciała wypierany ściekał jej tem obficiej.
Morzom, jeziorom więcej przydawał sił, a różne
Ciała powietrza i ognia biegły na zewnątrz w próżnię,
Z ziemi wyparte, swoje tworzywo lotne unosząc
Ponad ziemię wysoko, ku lekkim, jasnym niebiosom.

Polą opadły niżej, wspięły się górskie granie,
Bo ani skały nie mogły osiadać nieustannie
Równy, ni części wszystkie równo się zwierać i spręzać.

Tak z najgęstszej materii powstały ziemi ciężar
Zajął swe miejsce, jakby świata całego osad
Stoczył się gęsty i ciężki i cały na dnie osiadł.
Element morza, powietrze i eter sam ognisty —
Jeden od drugiego lżejszy, więc każdy czysty —
Wyższe zajęły miejsca. A ze wszystkich najdalej,
Wyżej niżli ciekłego powietrza lekkie fale.
Płynie eter, lżejszy niż wszystkie elementy.
Niepokojem gwałtownych wirów powietrznych nie tknięty,
Wyższy nad wichry kapryśne, orkany i burze, swobodnie
Równym pędem kołując, ponosi swoje ognie.
Na dowód jego drogi niezmienniej, równej, możesz
Wziąć niezmiennym prądem płynące Czarne Morze,
Które nigdy nie traci kierunku swoim pędem.

Teraz ci o przyczynie gwiazd ruchu mówić będę.
Trzeba przyznać nasamprzód, że jeśli wciąż jest w biegu
Krań świata, to powietrze ciśnie na każdy biegun
Z obu stron i zarazem od zewnątrz go zawiera.
Potem inne powietrze płynie po górnych sferach,
Tam dążąc, gdzie migają gwiazdy wiecznego świata,
Albo też drugie pod spodem w drugą wciąż stronę przelata,
Tak jak prąd rzek obraca wiadra i młyńskie koła.

Może nawet spoczywa całe niebo dokoła,
A gwiazdy wszystkie biegają po szlakach mnogich —
Przez to, że eter gorący wciąż poszukując drogi,

Zamknięty dookoła, nie mogąc przejść swobodnie,
Wszędzie po niebie wyniosłem nocne przetacza, ognie.
Albo i przez to może, że z zewnątrz powietrze płynne
Każe się ogniom kręcić. Może z przyczyny innej —
Że same ognie mogą, za własnym goniąc pokarmem,
Toczyć się tam, gdzie niebo nasycić je może swym żarem.
Która z tych przyczyn możliwych w naszym tu świecie włada,
Trudno jest stwierdzić pewnie. Ja tylko opowiadam,
Jak się dzieć może, i dzieje, na tym świecie, czy innym —
Bowiem światów jest wiele, i różnych. A chociaż przyczyny
Mnogie podałem, by wskazać, jak się może odbywać
Obieg naszego słońca i naszych gwiazd, to prawdziwa
Może być z nich tylko jedna— a która, ta czy owa —
Trudno rzec, gdy ostrożnie chcesz myśłą postępować.

Po to, by mogła ziemia w środku świata spoczywać,
Musi jej zwolna, stopniowo trochę ciężaru ubywać.
Ma też ziemia pod sobą od czasu, gdy powstała,
Inną naturę, która ją i powietrzne ciała
Świata całego łączy. Żyjąc w tych związkach świata
Ziemia nie jest zbyt ciężka, powietrza nie przygniata.
Równie jak człowiekowi nie gniotą członki do ziemi
Ciała, nie ciąży głowa karkowi, nie czujemy
Całej swej wagi w nogach, za to nam ciężą na pewno
Rzeczy nałożone na barki nasze z zewnątrz,
Chociażby lżejsze były — tyle bowiem zależy
Od siły danej rzeczy, by dobrze ją wymierzyć —
Równie i ziemia nasza skądś obca się nie wzięła,
W obcym powietrzu miejsca przemocą nie zajęła,
Ale jest częścią świata, ma wspólne z nim początki,
Świat ją nosi swobodnie, jak ludzie noszą członki.

Często ziemia piorunem wstrząśnięta niespodzianie
Nagłym drgnieniem porusza to wszystko, co jest na niej.

Czynić by tak nie mogła, gdyby jej nie łączyły
Z niebem oraz z powietrzem związki jakowejś siły.

I od początku bytu wśród ciał tych i żywiołów

Jest wspólnota, i całość związała je po społu.

Czyż nie widzisz, jak wielki ciężar naszego ciała

Dusza podtrzymuje, która, choć taka mała,

Wartość ma i potęgę przez wspólną z ciałem całość?

Cóż zresztą członki twoje w skoku poderwie śmiało,

Jeśli nie owa dusza, która członkami włada?

Owa nikła natura, patrz, jaką moc posiada,

Jeśli się z ciężkim ciałem połączy, jak z ziemią

Powietrze, jak moc ducha jest połączona z nami.

A słońce, które widzisz, zar jego tchnący władczo —

Nie są większe ni mniejsze, niż zmysły tobie świadczą.

Z jak bądź daleka ognie mogą światło dorzucić,

Nagłym przywiewem w członkach obudzić żaru czucie —

Jednak odległość owa płomieniom nie zabiera

Mocy i ogień nie był większy przedtem niż teraz.

Stąd też, gdy światło słońca z daleka zar prowadzi,

Gdy przenika do zmysłów i ciało ludzkie gładzi,

Postać i wielkość słońca jest taka, jak widzieć zdołasz,

Ani jej czego dodać, ani jej odjąć zgoła.

Mniejsza też, czyli księżyc po niebie chodząc jasnym,

Cudzem oświeca ziemię światłem, czy swoim własnym;

Nie inny on nad nami chodzi — jest tym księżycem,

Jakim wzrost jego widzą baczne ludzkie źrenice.

Wpierw bowiem to, co widzisz z daleka przez szerokie

Powietrze, kształt zaciera przed oddalonym okiem,

Później wielkość: dlatego księżyc uważać trzeba,
Skoro nam pewny, jasny kształt ukazuje z nieba,
Za taki w wysokości, w tarczy swojej zarysach.
Jak się duży wydaje, kiedy nad nami zwisa.
Wreszcie, jakie stąd widzisz ognie czy to w eterze,
Czy to na ziemi, jeśli żar za podstawę bierzesz
Albo drganie ich blasków — przyznasz, że swoje ciało
Z odległości zmieniają nic, albo bardzo mało
W jedną lub drugą stronę wielkości — i zależy,
Jak są z dala, bo wtedy czy trochę się poszerzyć,
Czy się umniejszyć mogą, lecz zawsze bardzo skąpo.

Niechże cię też nie dziwi, gdy patrzysz na słońce — skąd to
Takie małe, a tyle światła wysyłać może,
Które napełnia niebo, zalewa szerokie morze,
Od jego gorącości grzeje się ziemia wszystka.
Może z owego miejsca na cały świat wytryska
Źródło światła obfite, otwarte nieustannie,
Jeśli ziarna gorąca znajdują tam spotkanie,
Zewsząd idąc, i jeśli mnogość nieustająca
Żaru wciąż się gromadzi w jednym ośrodku słońca.
Czyż nie widzisz, jak czasem mała krynica wody
Powódź czyniąc zalewa wszere pola i ogrody?
Może jest tak, że wielkie powietrza w krąg przestrzenie
Od niewielkiego słońca zajmują się płomieniem,
Jeśli jest to powietrze tak zapalne przypadkiem,
Ze mogą je roziskrzyć żaru zderzenia rzadkie,
Równie jak nieraz z małej iskry ogromny pożar
Nagle ogarnia wkoło wyschnięte snopy zboża.
Może też słońce, różaną pochodnią świecące ziemi,
Ma wkoło siebie ogień z jakichś niewidnych płomieni,

Których blasku nie poznasz, a które swoim ciałem
Ciosy słonecznych promieni wzmagają ciepłem stałem.

Prostej nie znajdziesz racji, czemu to słońce w biegu
Z letnich stron kręgiem zdąża aż do zimowych brzegów
Koziorożca i czemu, wracając z owych szlaków,
Idzie aż do płomiennych na niebie Raka znaków;
Czemu księżyc tę drogę przebywa w ciągu miesiąca,
Która wyraźnie rok cały biegu wymaga od słońca.
Nie są, powtarzam, proste wszystkich tych rzeczy przyczyny.
Przede wszystkim możliwa pośród rozwiązań innych
Wyda się myśl czcigodna Demokryta, że skoro
Bliżej ziemi wypadnie wirować nieba tworom,
Tem wolniej z pędem nieba gnać mogą. A ich moce
Nikną, ciągle maleją, w dół idąc w tym obrocie.
Przez to także i słońce w swoim wolniejszym pędzie
Wraz z innymi gwiazdami wciąż się opóźniać będzie,
Niżej jest bowiem znacznie od innych ciał ogniowych.
Księżyc tembardziej — skoro swój bieg czwórtygodniowy
Bardziej do ziemi zbliża, ciągle od nieba dalej,
Tem słabiej innym gwiazdom kroku dotrzyma w cwale.
Przeto im w biegu swoim niżej od słońca krąży,
Tem mu trudniej za resztą znaków Zodiaku nadążyć,
Więc go mijają one i krążą wkoło niego —
Z tego może złudzenie, jakby się znaków biegiom
Prędzej wracał, gdy każdy prędzej go może ominąć.
Może jest tak, że powietrzne prądy na przemian płyną
Z obu krańców poprzecznej osi świata. I tak to
Jeden słońce wypędzi na wprost zimowym traktem
Od gwiazd letnich, a drugi na odwrót, w pełnym biegu
Słońce odepchnie raźnie od znaku mroźnych śniegów

Aż do ognistych znaków i aż w upalne strony.
Stąd wypada, że księżyc i rój gwiazd wyiskrzonych,
Krażące pośród nieba kołami przeciw sobie,
Przez zmienny pęd powietrza mogą po niebie pobiec.
Czyż nie widzisz, jak chmury, zmiennym wiatrem pędzone,
Niskie przeciw wysokim gnają w przeciwną stronę?
Czemuż nie mają ciała w eteru wielkich kręgach
Skutkiem pędów przeciwnych przeciwnych dróg dosięgać?

Noc zaś okrywa ziemię mrokiem swym nieprzejrzanym,
Kiedy po długim biegu słońce do nieba granic
Przyjdzie, kiedy, zmęczone, ognie wydyszy z siebie,
Które wystygły w drodze czy też w powietrze w niebie
Wsiąkły; albo dlatego, że słońce ta sama siła
Gna pod ziemię, co je nad ziemią przenosiła.

Czemu w czas oznaczony Jutrzenkę o palcach różanych
Śle bogini poranna i światła otwiera bramy?
Może przez to, że słońce, gdy wzwyż się pnie spod ziemi,
Niebo rozpaść pragnie wprzód promieniami swemi;
Albo też, że się ognie i ziarna żaru schodzą,
Już przed przybyciem słońca światła dla słońca rodzą
Nowy zapas, gdy w jednej porze zdołają zejść się.
Podobno nawet widać z gór Idy, jak wieść niesie,
Jak się ognie o wschodzie rozproszone zbierają,
Toczą się w jeden okrąg i jedną kulą się stają.
Nic w tem nie ma dziwnego, że w ruchach światła dziennych
Mogą się ziarna ognia schodzić w czasie niezmiennym,
Aby słońcu wciąż światło odnawiać. Wkoło siebie
Widzisz, jak wiele rzeczy na ziemi i na niebie

Dzieje się w równym czasie. Oto o własnej porze
Kwitną krzewy. Okwitną, gdy równy czas je zmoże.
Także z nakazu wieku człek starszy zęby traci,
Z nakazu wieku zarost przydany do postaci
Młodzieńca, gdy mu broda miękko wyrasta z twarzy.
Wreszcie pioruny, deszcze, śnieg, mgły i wichry wraży
W niezbyt odmiennych porach co roku zwykły szaleć.
Bo skoro raz się ziarna przyczyn złożyły stale
I od początku świata jedna jest rzeczy kolej,
Muszą wracać w porządku pór, lat swych, czy pokoleń.

Czemu widzimy, że dni nam rosna z nocy utrata,
To znów noce rosna, a dni maleją za to?
Albo słońce to samo, pod i nad ziemią biegnąc,
Na nierówne półkregi rozdziela drogę jedną.
Krażąc pośród eteru. Nie trudno jest zrozumieć,
Że co po jednej stronie łukowi biegu ujmie,
To dołoży po drugiej, różnice większe, mniejsze
Czyniąc, aż przywędruje na takie nieba miejsce,
Gdzie się z ciemnością nocy blask wyrównywa dniowy.
Bo środkiem pędu swego słońce tnie na połowy
I południe, i północ, różnice znosząc biegiem
Przez położenie całe okręgu gwiazdzistego,
Gdzie roczne słońca biegi równą mają cięciwę,
Kiedy ziemie i niebo oblewa światłem krzywem,
Jak to uczą ci ludzie, którzy nam niebo całe
Wyrysowali i gwiazdom nazwy nadali stałe.
Może przez to, że w pewnych miejscach pod ziemią naszą
Gęstsze wiewy powietrza drżące mu ognie gaszą,
Nie dając się wynurzyć i drogę wydrzeć mrokom;
Przez to się noce długie w zimowej porze włoką,

Zanim słońce zabłyśnie przybyciem swem promiennem.
Może znowu dlatego, że w porach roku zmiennych
Wolniej, to znowu szybciej schodzą się ognie one,
Przez które słońce wstaje po stronie określonej.
Przez to chyba prawdziwie ci mówią, jak się zdaje.

Księżyc może od słońca promiennych ciosów jaśnieć
I co dzień bardziej ku nam światło obracać kraśnie
W miarę jak się oddala od słońca złotej twarzy,
Aż się naprzeciw niego pełnem światłem rozjarzy
I sam wschodząc, na słońca zachód z wysoka patrzy;
Potem, jakby się chował, blask swój stopniowo bladej
Kryje, im bliżej słońca zsuwa się z drugiej strony
Ku ogniom, przez gwiazd kręgi srebrzyście roziskrzonym.
Tak głoszą ci, co twierdzą, że księżyc jest podobny
Piłce, że biegnie dołem poniżej słońca ogni.
Może znowu, że z własnem światłem się w niebie toczy
I rozmaitym blaskiem uderza w nasze oczy.
Może być jakieś ciało inne, które z księżycem
Pędząc, w drodze mu jasność przesłania rozmaicie,
Samo niewidne, skoro światła nie niesie z sobą.
Może jeszcze jak piłka toczy się tym sposobem.
Że tylko z jednej strony oblany światłem jasnym
Różnie wiruje idąc, aż nam oblicze własne
Całej części, co ogniem wzmożona, nie pokaże,
Blaskiem sypiąc na oczy otwarte i na twarze;
Potem lekko w tył skręca i ciemną swoją ścianą
Patrząc, odsuwa oczom swej piłki część świetlaną.
Tak uczy babilońskich mędrców wiedza z Chaldei,
Przecząc innym, tez swoich broniącym po kolei —

Jakby nie można było uwierzyć obu stronom,
Bo przecież rację może mieć ten i ten astronom.
Czemuż by nie mógł wstawać i co noc życie tracić
Księżyc ten sam, jednaki i z treści, i z postaci,
Albo, gdy jeden zginie, czemuż by nie miał powstać
Co dzień inny, jednakie miejsce mający i postać?
Trudno dowieść rozumem, trudno móc się nie mylić,
Gdy się ciał tyle rodzi w tak odmierzonej chwili.
Tdzie wiosna i Wenus, Wenery herold przed niemi
Kroczy skrzydlaty. Przedtem już Matka Kwietna na ziemi
W lekkie ślady Zefira drogę ustraja zielenią,
Całą ją zapachami i kolorami mieniać.
Potem idą upały i Ceres zakurzona
Z niemi razem, i wieją podmuchy Akwilona.
Potem jesień. Z jesienią przychodzi Bakchus Ewan.
Później czas, rozszalały w wichurach i ulewach,
Gdy Wolturn grzmi a Auster połyska piorunami.
Wreszcie zima rozwiesza zimno i śnieg nad nami,
Mróz, zębami szczękając, przybywa w nasze strony.
Przez to nie jest mi dziwne, jeśli w czas oznaczony
Rodzi się nowy księżyc i znów go czas niweczy —
Gdy w tak ścisłym porządku powstaje tyle rzeczy.

Myślę też, że zaćmienia i słońca, i księżyca,
Nie jedna, ale kilka przyczyn może podsycać.
Skądby miał tylko księżyc ziemię od słońca odcinać,
Światło kradnąc, gdy w górę zwrócona jego łysina
Ciemna, cała pożera słonecznych żarów białość —
Równie zaś ma nie czynić tegoż i inne ciało,
Które wiecznie bez światła biegnie w eteru przestrzeni?
Czemuż by słońce strudzone nie miało tracić płomieni,

Potem je w stałym czasie odzyskać, sypiąc ogień,
Gdy minie na swej drodze miejsca płomieniom wrogie,
Które gaszą je, mogąc o zgubę przyprawić nieraz!
Czemuż by ziemia miała z światła księżyc obdzierać
I sama wyżej będąc, słońce zakrywać w przestrzeniach,
Gdy księżyc się co miesiąc przemyka w stożka cieniach?
Czemuż by inne ciało nie mogło w tym okresie
Zejsć pod księżyc lub ponad słońce, gdy nisko się niesie,
Aby promienie przeciąć i światło razem z niemi?
Jeśli zaś księżyc własnym blaskiem przyświeca ziemi,
Czemuż by nie miał słabnąć w tych stałych miejscach nieba,
Kiedy mu miejsca, wrogie promieniom, przebyć trzeba?

Dalej, skórom wyłożył, jakie to rządzą moce
Wielkim błękitem świata, abyś był poznać mocen,
Jaka siła bieg słońca i bieg księżycyca sprawia —
Czemu poprzez przeszkody światłości je pozbawia.
Czemu wtedy na ziemię przez niebo z gwiazd usiane
Lecą czasem w dzień biały ciemności niespodziane,
Potem, gdy źródła światła otworzą się na nowo,
Wszystkie miejsca na ziemi lśnią świetlistością dniową —
Teraz wrócę do świata, gdy wiotki był i młody:
Co też najpierw przyniosły dni pierwszych jasne wschody,
Co powierzyły wichrom niepewnym i szalonym?

Ziemia wydała najpierw ród roślin i zielonym
Płaszczem ubrała wkoło wzgórze i pola wszystkie,
Aż w dolinach błysnęły barwami łąki kwieciste;
Potem dopiero wolno w ciepłych powietrza wiewach
Rosnąć poczęły w zawody wielkie, cieniste drzewa.

Jak najpierw puch i włosy rosną w młodzieńczym czasie
Na członkach czworonogów i ciałach rzeszy ptasiej —
Tak młoda ziemia zrodziła najprzód wszelką roślinność.

Potem się z różnych racji na różne sposoby rozwinął
Różnorodny rodzaj zwierzęcy. Ani bowiem
Z nieba nie mogły zlecieć zwierzęta już gotowe,
Ani się nie mógł zrodzić ród ziemski w mórz głębinie.
Widać więc, że należne jest ziemi matki imię,
Wszystko bowiem, co żyje, z niej tylko się zrodziło.
Dziś jeszcze wiele stworzeń powstaje z życia siłą
Z ziemi — dzięki deszczom i słońca gorącym żarom.
Nie dziw więc, że powstały większe liczbą i miarą
Wtedy, gdy młody był eter i ziemia była nowa.

Najpierw ród ptaków różnych życiem się rozkoszował
Z jaj się wylągłszy wiosną, podobnie jak z poczwarek
Polne koniki latem zrzucają stroje stare,
Aby życia zaczerpnąć i za pokarmem gonić.
Wtedy to właśnie został śmiertelnych ród stworzony.
Pola stały w upale i w ciągłych wilgotnych oparach —
Gdzie więc miejsce dogodne zdarzało się, tam zaraz
Rosły macice, z ziemią korzeniem połączone.
Kędy pomiot żyjątek, wydany dojrzałym łonem,
Dążył po czysty powiew i od wilgoci umykał,
Tam już siła natury z ziemi tryskała w strumykach,
Płynem podobnym mleku sącząc się z hojnych porów.
Tak i kobietę mlekiem napełnia bliski poród,
Mleko zaś w piersi dąży i tam się w pokarm zmienia,
By nie zabrakło potomstwu miłego pożywienia.
Ciepło ubranie było, pokarm dawała ziemia.

A zieloność traw miękkich służyła za posłanie.
Młodość świata nie знаła, co mrozy niesłychane,
Co znaczy wiatr niszczący albo upały wściekle —
Wszystko bowiem stopniowo rośnie i w siły krzepnie.

Słusznie więc ziemi naszej przydano matki imię,
Gdyż i sama zrodziła na przestrzeni olbrzymiej
Ludzi plemię, i sama zrodziła w tymże czasie
Wszystkich zwierząt rozliczność, co się po wzgórzach pasie,
I wszystkich ptaków tyle o tak przeróżnej postaci!
Ale że wszystko kiedyś moc rodną musi utracić,
Ziemia ustała w rodzeniu na kształt kobiety wiekowej.
Wiek bowiem całej natury zmienia na świecie ośnowę,
Jeden stan wszystko zbiera po swym poprzednim stanie,
Wszystko się zmienia na świecie, wędrując nieustannie,
I wszystkiemu natura każe się wciąż przeobrażać.
Co więc murszeje z wiekiem, na zgubę się naraża,
A inna rzecz tymczasem na to miejsce powstanie.
Tak więc zmienia się świata natura z czasu mijaniem,
Nowy stan z poprzedniego wyrasta, który nie stworzy
Tego, co tamten, lecz wyda coś, czego tamten nie dożył.

Wtedy to wiele dziwów ziemia potworzyć chciała
O dziwacznych obliczu i dziwnych częściach ciała:
Dwupłciowca, zwierzę nijakie i obu płci pozbawione,
Te znów bez nóg, bez ramion, i inne poronione,
Nieme, bez ust i twarzy, i ślepe, lub poczwary
Z członkami zrośniętymi przy ciele nie do wiary,
Ze ani nic nie mogły uczynić, ni się bronić,
Ani ruszyć, ni jadłem napełnić brzuch spragniony.

Wiele innych potworów natury popęd utworzył —
Na próżno, bo nie mogły ni rosnać, ni się mnożyć
Łącząc się w kwiecie życia, w rodnym Wenery szale.
Ani upragnionego pokarmu wkoło znaleźć.
Widać bowiem, jak wiele musi się zbiec przymiotów,
Aby zdołały twory doczekać się pomiotu:
Najpierw musi być pokarm, i musi być też droga,
Którą z napiętych członków moc nasion spłynie błoga,
Muszą mieć w ciałach swoich i samce, i samice
Możność, by wspólną rozkosz zmieniać na przyszłe życie.

Wiele wtedy musiało zginać wszelakich stworzeń,
Które nie potrafiły pokoleń swych rozmnożyć.
Wszystko bowiem, co widzisz, jak się oddechem żywi,
Albo podstęp, lub szybkość, lub męstwa pęd straszliwy
Od szczenięcia ochrania, życie warując przytem.
Wiele jest takich zwierząt, które przez swój pożytek
Ludziom przydatne, weszły pod ludzi straż i pieczę.
Srogie lwy tylko dzielność ocala na tym świecie,
Lisy chytryść, jelenie zdolność do uciekania.
Inne znowu zwierzęta człowiek, Memmiuszu, ochrania:
Psy, które sen mają lekki i czujny, a serce wierne,
Owce o gęstem runie i wszelkie trawożerne
Bydło do pracy skore. Zwierzęta owe bowiem
Uciekły przed bestiami, pokój ceniąc ze zdrowiem
Oraz paszy szukając zdobytej nie ze strachem,
Którą im za pożytek dał człowiek pod swym dachem.
Te zaś, którym natura nie dała nic, by z siebie
Mogły żyć ani ludziom pożytek nieść w potrzebie,
Za co by człowiek dał im, opieką czujną darząc,
Paść się na bujnych łąkach pod psów i bronni strażą —

Wszystkie one przez losy skazane na zagładę
W paszczy innych ginęły z imieniem i ze śladem,
Aż ich gatunek natura zniszczyła mocą srogą.

Ale ani Centaurów nie było, ani mogą
Istnieć twory z podwójną naturą i o ciele,
Na które z dwojga natur składa się części wiele
Nierównych, których siła także nierówna bywa.
Rozpozna to myśl nawet bardzo nieprzenikliwa.
Koń bowiem już dorosły, dziarski w trzech latach wieku,
Czego wcale nie można powiedzieć o człowieku,
Często on bowiem wtedy tęskni do piersi matki
We śnie, a kiedy koń już traci swych sił ostatki,
Kiedy wraz z życiem zwolna moc z członków mu ucieka,
Wtedy dopiero młodzian w tężyznę się obleka
I męskość miękkim puchem policzki mu ocienia.
Nie wierz tedy, by mogły z ludzkiego się rodzić nasienia
Pomieszanego z końskim Centaury, by żyły na ziemi
Scylle — pół-ryby psami opasane dzikiemi
Albo inne jakoweś poczwary, których ciała
Natura z dwóch niezgodnych części by się składała.
Przecież równo nie rosną, równo sił nie nabiorą
Ani ich jednocześnie nie tracą z wieku porą,
Jedną żądzą Wenery nie płoną, obyczajom
Różnym służą i różnych w członkach uciech doznają.
Często brodate bydło tuczy się od cykuty,
Od której rychłą śmiercią ginie człowiek zatruty.
Wreszcie, jeżeli ogień spala jednakim żarem
Ciała lwów płowych, równie jak mięso na ofiarę,
Jak członki wszelkich zwierząt — to skądżeby na ziemi
Wyżyć mogła Chimera z członkami potrójnemi

Węża, lwa i własnymi, jakżeby mogła z brzucha
Nie poparzoną pyskiem srogim płomieniem buchać?
Wszakże — kto tyle sobie dziwnych potworów ubzdurał
Dla czasów, gdy młoda była ziemi i nieba natura,
Zaczarowany jednym jedynym wyrazem «nowość»,
Mógłby z jednakiem prawem, biorąc to samo słowo
Jako porękę, twierdzić, że złoto strumieniami
W owym czasie płynęło, że krzaki kwitnęły perłami,
A ludzie się rodziła z taką w członkach potęgą,
Że jednym krokiem morze przeskoczyć mogli tęgo
Lub w rękach całe niebo wykręcać według woli.
Bo choć tak wiele ziaren w ziemskiej leżało roli,
Kiedy się z niej zrodziła liczna zwierzęca rzesza,
Jednak nie ma dowodu, aby w nich miała mieszać
Różne dowolne członki bydła i dzikich zwierząt;
Bo nawet te rośliny, co kryją ziemię świeżą,
Krzewy i drzewa, które dzisiaj bujnym wznoszą łanem,
Nie rosną między sobą złączone i zmieszane,
Ale wszystko wyrasta i dąży własną drogą,
Prawem natury swoje tylko przymioty mieć mogąc.

A ludzki ród ówczesny na polach twardej ziemi
Godnie został zrodzony z członkami silniejszymi,
Kości miał większe, twardsze, i po swem ciele tęgiem
Mocniej przywiązane mięśnie do mocnych ścięgien.
Wtedy im ani upał, ni mróz nie szkodził wiele,
Ani pokarm niestrawny, ni jakaś słabość w ciele.
Przez wiele biegów słońca, co jasne niebo mierząc
Lata niosło, wędrownie żyli na modłę zwierząt.
Nie znały bron żelaznych dziewicze pola długie,
Nikt jeszcze po zagonach nie chodził z krzywym pługiem,

Nikt młodych pędów w ziemię nie sadił ani piłą
Nie ścinał z drzew suszaków, by lepiej obrodziło.
Co sama ziemia dała wraz z deszczem i ze słońcem,
To człowiek miał za dary miłe, wystarczające.
Strawą mu były dla ciała najczęstszą dębowe żołądziejce,
Te zaś arbuzy, które zimą oglądać będziesz
Mieniące się purpurą dojrzałą, w owym czasie
Większe były o wiele i w gęstszej rosły masie.
Inne także pokarmy ziemia w kwiecie młodości
Dosyć obficie rodziła dla owej nędznej ludzkości.
Rzeki zaś i jeziora wołały do pragnących
Miłe, jak to i dzisiaj górski wodospad grzmiący
Wzywa spragnione trzody szumem świeżości płynnej.
Znali także wędrowcy w lesie strugi gęstwinne
Nimf, a w tych strugach miłą widzieli nurtu błogość
Płynącą po kamieniach na traw i liści mnogość,
Płynącą po mchu miękkim, albo przez szczerze pole
Żyzną wilgoć niosącą po bujnych łąkach w dole.

Ognia nie znali wtedy i nie umieli swoich
Ciał w skóry dzikich zwierząt odziewać ani stroić.
Mieszkali po jaskiniach, po lasach i po wzgórzach,
Każdy członek zbrudzone w gęstwie zarośli nurzał,
Kiedy im przyszło deszcze i srogie wichry omijać.
Nie wiedzieli, co własność wspólna, czy też niczyja,
Praw ani obyczajów nie znali i nie mieli:
Komu z nich los przyjazny większą zdobycz udzielił,
Ten ją sobie unosił, życia dla siebie głodny.
W lasach Wenus łączyła ciała kochanków przygodnych,
Bo albo wspólna żądza, zbliżała ich oboje,
Albo mąż brał kobietę przemocą siły swojej,

Albo jej płacił garścią wybranych leśnych owoców.
Ufając sile rąk swych, bystrości nóg i oczu.
Ścigali zwierza w kniejach, nieraz z nim walcząc długo
Kamieniami lub twardą z ciężkiej kłody maczugą.
Wiele zwierząt gonili, rzadziej musieli kryć się,
Dzikom podobni, ciała kładąc na mchów podszybie,
Sypiąc dokoła siebie stos liści i gałęzi,
Kiedy gdzie bądź ich w lesie wieczorny mrok uwięził.
Nie krzyczeli o słońce i tęskniąc do promieni
Nie błakali się trwożnie wśród groźnych, nocnych cieni.
Ale twardo uśpieni czekali, aż im rano
Błyśnie zza drzew cienistych pochodnią słońca różaną.
Od maleńka przywykli poznawać pośród kniei
Światło dnia, ciemność nocy, idące po kolei;
Ani się dziwić mogli, ani też trwogę znali,
Że się po jakiejś nocy już słońce nie zapali
Pozwalając, by noc się na zawsze na ziemi rozparła.
Częściej strach dzikich zwierząt chwycił ich w noc za gardła,
Gdy im nędzny spoczynek odbierał dzik spieniony
Albo lew srogi; wówczas zmykali na wsze strony
Przerażeni, bezbronni, wśród ciemnej nocy dokoła,
Z szalasów swych wygnani kryli się, jak kto zdołał.
Strasznym gościom liściaste posłania zostawiając.
Niewiele też powszechniej, niż ludzie dziś konają.
Tracili wtedy w jękach życia miłego światło.
Prawda, że mógł niejeden paść łupem zwierząt łatwo.
Dla krwiożerczych kłów bestyj stając się żerem żywym,
W kniei krzycząc i z bólu, i w strachu przenikliwym.
Widząc, jak żywe ciało w żywym grobie przepada.
Inny, choć spod kłów uciekł, choć życia nie postradał.

Zaraz drżącymi dłońmi przyciskał swoje rany,
Strasznym krzykiem wstrząsając knieje, aż wyczerpany,
Nie wiedząc, jak opatrzeć nieszczęsne skaleczenia,
Umierał od boleści, gorączki i pragnienia.
Ale nie gubił wtedy w dzień jeden bój zawzięty
Tylu mężów, co dzisiaj, nie trzaskały okręty
Z ludźmi o ostre skały, nie ginęły w głębinie.
Często wtedy daremnie szalały mórz pustynie,
Próżne, choć srogie groźby ciskając z burzą nagle,
Bo nigdzie się na falach nie chygotały żagle,
Zwabione do podróży uśmiechem toni łagodnej.
[Nie istniały bo wtedy żeglugi racje niegodne].
Wtedy często mdłe członki głód ostry sił pozbawił —
Teraz za to, przeciwnie: przesył tak wielu dławi!
Wielu dawniej niebacznie ginęło od trucizny —
Dzisiaj się ją podaje bez własnej szkody bliźnim.

Później, gdy dom i odzież stworzyli, gdy orężem
Ogień był, gdy kobieta po społu siadła z mężem

Poznali i ujrzeni zrodzone z siebie dzieci,
Zaczął ród ludzki łagodnieć. Mogąc już ogień rozniecić,
Dom ogrzewać, byli już także wrażliwsi, a ciało
Utraciło dawniejszą na mrozy wytrzymałość.
Wenus siły odjęła, a dziątek miłym pieścizom
Ulegając rodzice tracili surowość pierwotną.
Wtedy i przyjaźń sąsiedzka wzajem zawierać zaczęli,
Aby ich krzywda żadna i żaden gwałt nie dzielił,
A kobiety i dzieci wzajemnej zdając pieczy,
Głosem i gestem sobie zdawali sprawę z rzeczy,
Że niedołączne wszystko trzeba z litości ochraniać.

Chociaż nie całkiem jeszcze doszło do pojednania,
Jednak wielu z nich wiernie trwało przy tych przymierzach;
Inaczej by ród ludzki ni kwitł, ni się rozszerzał
Do dziś, musiałby zginąć bez śladu już od dawna.

Dźwięki sama natura podpowiadała wprawna,
A potem już pożytek wydobył nazwy rzeczy.
Dziś tak samo widzimy: słabość języka dzieci
Zmusza je ruchy czynić i nie znajdując słowa
Palcem wskażą, że miła jest im rzecz ta lub owa.
Czuje bo każda istota, jak ma swej siły użyć:
Zanim rogi na czole zdobędzie cielak duży,
Już niemi w gniewie grozi i bodzie, co napadnie.
Znow szczenięta pantery i małe lwięta zgrabne,
Ledwie im się wykłują pazury, zęby w pyszczkach,
Już odbywają niemi i bitwy, i igrzyska.
Cały lud ptaków lotnych od razu swą naturą
Skrzydłom ufa, w opiekę zdając się drżącym piórom.
Głupio więc byłoby sądzić, że ludziom ktoś udzielił
Imion rzeczy, i z tego wyrazy rozwinęli.
Czemu bowiem ktoś jeden miałby nazwy zamykać
W głosie i różne dźwięki dobywać spod języka,
A nie mogliby inni tego samego dokonać?
Zresztą jeśli dla innych tak była oddalona
Możność mowy, to skądże ów pierwszy poznał korzyść
Słowa, kto w usta jego i w pierś mu władzę włożył,
Że tak dokładnie wiedział, co uczynić zamierza?
Nie mógł chyba sam tłumów nauczyć, jak pacierza,
Słów przymusem, by nazw się wszelkich wyuczać jęli.
Nie tak łatwo z głuchymi nauką się podzielić,
By robili, co trzeba, bo któż by z nich pozwoił,

Któż by z nich długo strzymał, że oto ktoś dowoli
Wciąż im na uszy kładzie nieznanym dźwięków brzemie?

Nie ma nic dziwnego, jeżeli ludzkie plemię,
Któremu głos tak służył i dźwięk się mocno wołał,
Różnie dla różnych uczuć rzeczy nazwało dokoła.
Przecie nieme bydłęta, przecie ród dzikich zwierzy
Różnym głosem odmiennie okrzyki swoje mierzy,
Gdy wyraża ból, trwogę, albo gdy czuje radość.

Dowód tej prostej rzeczy jawnym powierz przykładom.

Oto wielki i miękki pysk podrażnionych molosów
Poprzez odkryte zęby wydaje warkot głosu,
A inaczej już grożą, gdy z niemi w walce staniesz,
Gdy zaniosą się wściekłem, donośnym ujadaniem.

Kiedy swoje szczenięta w pieszczotach liżą językiem,

Łapą je przewracają i w kły chwytając dzikie
Lekko, łagodnie dyszą z udaniem — jak odmiennie
Skomli ich głos ściszony pieszczotą i wzruszeniem.

Znów inaczej, gdy wyją zamknięte, lub z ogonem
Pod sobą głośno skiełczą przed biciem zasłużonem.

Także czyż się nie różni rzenie ogiera wśród stada
Młodych zgrabnych klaczy, gdy nim kwiat wieku włada,

Gdy ostrogą miłości ukłuty pianą spływa,
Albo gdy mu gra w chrapach ochota bitwy chciwa,

Albo gdy bez powodu zarzy, sprzężając członki?
Wreszcie lotny ród ptaków znad wody i znad łąki,

Sępy, czajki i mewy nad polem i nad tonią
Morską, kiedy za życiem i za swym żerem gonią,

Inne co chwila krzyki rzucają, niż gdy bojem
O życie lub o zdobycz zaostrzą głosy swoje.

Są takie, co zmieniają brzmienie głosów chrapliwych

Z pogodą, jak te kruki, jak stada wron krzykliwych,

Pomawiane od wieków, że krzykiem wróżą deszcze,
A potrafią czasami burzę i wicher wywrzeszczyć.
Jeśli więc różne czucia mogą dobywać głosu
Z niemych zwierząt, by coraz krzyczały w inny sposób,
Czemu ma nie być prawdą, że ludzie ongiś mogli
Różne rzeczy w dźwiękach nazywać niepodobnych?

Żebyś próżno po cichu nie pytał, gdy nie trzeba —
Powiem, że ogień piorun na ziemię przyniósł z nieba
Ludziom i stąd pochodzą płomienie wszelkich ogni.
Widzisz wszak, jak strzelają żarem jego pochodni
Różne rzeczy, rażone gorącym ciosem z nieba.
Ale też, gdy od wichru chwieje się i koleba
Wielkie drzewo, o inne trąc gałęziami swemi,
Czasem płomień od tarcia błysnie pośród zieleni
I wybuchnie żar czasem, kiedy poddane wiatrom
Pnie i gałęzie nagle gwałtem na siebie natrą.
Ludzie ogień zdobyli jedną lub drugą drogą.
Potem ich nauczyło słońce tego, że mogą
W ogniu gotować potrawy i zmiękczać je na parze —
Wszakże widzieli, jak pola plonują w słońca żarze.

Co dzień bardziej ci ludzie, co szli bystrzejszym śladem
Umysłu i zdolności, zmieniali swym przykładem,
Ogniem i inną sztuką żywność i dawne życie.
Miasta jęli królowie zakładać, a na szczycie
Zamki stawiać warowne dla ochrony. Powoli
Bydło innym rozdali oraz obszary roli —
Tym, którzy byli silni i mieli wygląd miły,
Ludzi bo wtedy ceniono wedle urody i siły.

Potem przyszła własność i złota wynalezienie,
Co sprawiło, że męstwo i piękność spadły już w cenie;
Wszak widzimy, że przy tym komu pieniędzy nie brak,
Każdy piękny i dzielny krząta się, niczem żebrak.
Kto jednak pragnie życie w prawej mądrości pędzić,
Temu. i bez majątku pogodne ono będzie:
Małych rzeczy na świecie nie braknie. Tamtym oto
Chce się w sławie opływać, potęgę mieć i złoto,
Aby trwał podstawy ich wygodnego losu
Dały im żyć bogato bez trosk i bólu ciosów.
Próżno! Bo chociaż walcząc z wszystkimi trudną drogą
Do najwyższych szczytów dojść po wysiłkach mogą,
Ale ich nieraz zawiść, jak piorun niespodziana,
Rzuci ze szczytu na dół w piekło sponiewierania.
Wszystko, co wyniesione wśród pożądań olbrzymich,
Niby wulkan trujący zawiścią wkoło dymi.
Ileż lepiej podlegać, w ciszy żyjąc spokojnie.
Niż królować i władzę ciąglej powierzać wojnie!
Niech się więc pocą krwawo wszyscy pragnący władzy,
Których na wąskiej ścieżce ambicja w bój prowadzi.
Oni tylko z ust cudzych czerpią swą mądrość, życie
Podśluchem poznawając. a nie śmiałem odkryciem.
Tak jest i później będzie nie mniej, niż dotąd było.

Po zabiciu królów nagłą strącona siłą
Świetność majestatu upadła w proch zrzuciona;
Wraz z berłem cześć straciła krwią zbryzgana korona,
Wnet nogami zdeptana przez tłum — bo jakże często
Depce po długim strachu żądne zemsty zwycięstwo.
Wszystko w rozprężeniu i walkach ginęło marnie;
Każdy, kto silny, marzył, że wszelką władzę zagarnie.

Wreszcie w zgodzie częściowej moc wybranym urzędom
Zdano widząc, że z prawa większe korzyści będą;
Ród bowiem ludzki życie pędzący wciąż w przemocy,
Zgnębiony nieprzyjaźnią, w tem się wreszcie zjednoczył,
By dobrowolnie przyjąć ustawy oraz prawa:
Zbrzydło już życie ludziom w ciągłych gwałtu obawach,
Bo każdy przedtem zemstę knuł wrogom znacznie sroższą,
Niż to dzisiejsze sądy, dla wszystkich równe, znoszą.
Odtąd strach przed karami życie szczęśliwe mąci,
Każdemu grozi krzywda, postrach nieustający,
I skąd zbrodnia wypełzła, tam powraca najczęściej,
Tak że trudno mieć w życiu spokój, ciszę i szczęście
Temu, kto zerwał czynem wspólne zgody przymierze.
Choćby ludzi i bogów okpił, to jednak szczerze
Ufać nie może, że zawsze trwać będzie to oszustwo.
Nieraz przecie zdradzili swych ciężkich zbrodni mnóstwo
We śnie albo w gorączce tacy, co w duszy głębi
Kryli występki, pary nie śmiejąc puścić z gęby.

Teraz nie będzie trudno w jasnych słowach wyłożyć,
Skąd u tyłu narodów tyle jest potęg bożych,
Jaka przyczyna stawia tyle ołtarzy po miastach,
Skąd się wzięły ofiary, skąd cześć obrzędów wzrasta,
Które i dzisiaj jeszcze szumnie sprawiane bogom
Tyle w sercach śmiertelnych grozy obudzić mogą,
Że dokoła na świecie przed nowych bóstw świątynie
W dni godów rozmodlona ciżba, jak rzeka, płynie.

Kiedy już lud śmiertelny czasem na jawie nawet
Widział bogów potężnych kształt wielki i postawę,
Które we śnie tem większe, tem się dziwniejsze zdały —

Wierzono więc w ich czucie, bo się człowieczkom małym
Często zdarzyło widzieć ich członki, głos ich słyszeć
Godny bogów, potężnie brzmiący przez nocną ciszę.
Wierzono, że są wieczni, bo silna bogów postać
Dała się ciągle widzieć, bez zmiany mogła zostać.
Każdy też myśleć musiał, że istot tak mocarnych
Nic nie przestraszy, na nie nie przyjdzie koniec marny.
Zdało się, że bogowie muszą żyć w szczęściu większem,
Bo ani niemoc na nich, ni śmierci jaki lęk szedł,
A w snach ludzi czynili rzeczy nad wszelką miarę,
Wciąż niezmęczeni, ciągle wszechmocy tchnący czarem.
Przytem widzieli ciągle, że niebo się nie zmienia
W pór corocznych i roku jednakich okrążeniach,
A nie wiedzieli, czemu. I przyczyn znać nie mogąc,
Wyjście znaleźli, władzę nad wszystkim dając bogom,
Aby za ich zrządzeniem działało się w koło wszystko.
Stąd znów w niebie wysokim dali bogom siedlisko,
Że widzieli, jak noc po niebie i księżyc się toczy,
Księżyc i noc, a także surowe gwiazdy nocy,
Nocne pochodnie nieba, błędne pochodnie po niem,
Śnieg, grad i deszcz, i chmury na niskim nieboskłonie.
Błyskawice ściągłe, pioruny i grzmoty straszliwe.

Biedny, biedny ród ludzki, co bogom przypisywał
Takie czyny niezwykle, tak straszne zagniewania!
Jakąż mękę dla siebie i jakież rany dla nas,
Ileż łez pokoleniom przyszłym niebacznie przydał!
Bo czyliż to nabożność, kiedy świętoszka widać
Wciąż przy kamieniu ofiarnym, wciąż przy dymiących ołtarzach,
Jak wyciągnięte ku niebu ręce błagalnie obnaża
Przed posagami bogów, jak na ołtarzu miesza

Krew ofiarną bydłęcą, jak ciągle wota wiesz?
Lepiej umieć spoglądać na świat z duszą spokojną.
Bo kiedy popatrzymy na jasną niebios strojność,
Na gwiazdy w wysokościach eteru migające,
Drogą zdumieni, jaką przebywa księżyc i słońce —
W takich, mnogą zgryzotą napiętnowanych chwilach,
Jeszcze ta oto troska głowę na pierś pochyla:
Czy przypadkiem doprawdy niezmierna bogów siła
Jasne gwiazdy na niebie w ruch rozmaity wprowadziła?
Gnębi bowiem myśl chwiejną ów brak wytłumaczenia,
Czy naprawdę zrodzone zostały świat i ziemia,
Czy zginą kiedyś, kiedy wytrwałość świata krańców
Może runąć, strudzona w ciągłych obrotów tańcu —
Czy też zrządzeniem bogów wiecznością obdarzony
Będzie świat trwał wbrew czasu uderzeniom szalonym,
Pędząc niezmiennie naprzód wieczną, ogromną drogą?
Komuż wreszcie nie zadrży serce pod bogów trwożą,
Komuż dreszcz przestraszliwy członków nie znieruchomi,
Kiedy w spaloną ziemię biją czerwone gromy,
Kiedy niebo szeroko ponurym grzmotem dudni?
Czyż nie drżą liczne ludy, czyliż królowie dumni
Nie znają trwogi bogów, która im członki razi
Strachem krwawej zapłaty jakiejś bóstwa obraży,
Jakiejś dumnej obelgi albo haniebnej zbrodni?
Kiedy znów z nagłą burzą uderzy wichur chłodny,
Flotę karnie płynącą w groźne rzucając tonie.
Wodzowi i żołnierzom, i słoniom wróżąc koniec,
Czyż wódz ten w nagłym strachu nie składa ślubów hojnych
Bogom, byle wichur burzy zmienili w wiatr spokojny?
Próżno prosi, bo nieraz bóstwa na prośby głuche
Trzasną okrętem w skały wściekłym wichru podmuchem:

Tak jakaś skryta siłą wywraca ludzkie rzeczy,
piękne różgi, topory srogie bez trudu niweczy,
Jakby szydząc z modlitwy i z ludzkiej władzy dąsów.
Gdy znów drży pod stopami ziemia od nagłych wstrząsów,
Miasta padają w gruzy lub grożą rozsypaniem,
Nie dziw, że w siły własne zwątpią lękliwi ziemianie,
Że uwierzą w potęgę bogów, co swoją władzą
Niepojętą świat cały według woli prowadzą.

Wreszcie miedzi, żelaza i złota wynalazek
Przyszedł z odkryciem srebra, z ciężkim ołowiem razem,
Kiedy lasy spaliła wielkich pożarów luna,
Na zboczach gór szeroko rozbłysła od pioruna;
Albo może dlatego, że wojnę w lasach tocząc
Ogień rzucono umyślnie na postrach wrogów oczom;
Albo że chcieli ziemię urodzajną wyzyskać
I zmienić w orne łany wilgotne jej pastwiska,
Albo zwierzynę zabić i mieć obfity połów —
Wcześniej bowiem myśliwy używał wilczych dołów
I ognia, niżli psiarni do walki ze zwierzyną.
Mniejsza zresztą, skąd ogień tak nagle się rozwinął.
Że z przeraźliwym trzaskiem idąc po górskiej grani
Drzewa aż do korzeni, do ziemi, spalił na nic.
Dość, że z żył w ziemi kipiąc, lał się do miejsc wgłębionych
Strumień złota i srebra płynny i rozpalony,
Również i miedź z ołowiem; a kiedy ludzie potem
Spotkali się z wystygłym żelazem, srebrem, złotem,
Pięknym ujęci blaskiem, twardością zachwyceni,
Uważnie z wgłębień owych podnieśli metal z ziemi.
Bacząc na kształt, do wgłębień podobny. I już wtedy
Pojęli że ów kruszec, stopiony w ogniu kiedyś.

Może kształt mieć i wygląd dowolny, że co prostszy
Grot da się i wyciągnąć, i gładko tak naostrzyć,
Aby mógł być narzędziem i stosownie do czasu
Być pociskiem lub służyć do wycinania lasów,
Albo belki przerzynać, pnie ociosywać z kory,
Kroić, ciąć i przewiercać według potrzeb i pory.
Próby czynili najpierw równie ze srebrem, złotem,
Jak i spiżem gwałtownym. Lecz zarzucili potem
Złoto i srebro, skoro moc ich nie mogła dosyć
Sprawnie, nieustępliwie twardego trudu znosić.
Wtedy to spiż był droższy, a złoto z ostrzem marnem.
W krąg wzgardliwie rzucane, w ziemi walało się czarnej.
Teraz znów spiż wzgardzony, a złoto ponad wszystkim.
Tak to wartość przedmiotów czas zmienia swem koliskiem,
Co było przedtem drogie, dziś traci cenę wszelką,
Inne znowu urasta w rzadką znaczenia wielkość
I z dnia na dzień wciąż droższe, okryte chwałą kwitnie,
Zażywając wśród ludzi czci iście czolobitnej.

Teraz, Memmiuszu, łatwo to ci rozpoznać pójdzie,
Jak naturę żelaza odkryli dawni ludzie.
Bronią im najpierw były zęby, pazury, pięści,
Kamienie, potem pałki z twardych konarów części,
Potem ogień, gdy tylko zaczęto go używać,
Wreszcie spiż i żelaza siła nieustępliwa.
Wpierw też spiż znali ludzie, niżli żelazo rdzawe,
Bo miększy. Większą ilość łatwo go zdobyć nawet.
Ziemię więc spiżem pruli, spiż do wojennej wrzawy
Mieszał się, krew z ran tocząc. Przez sąsiedzkie rozprawy
Bydło i pola innym zabierał, bo przed spiżem
Wszystko nieuzbrojone zmykało jak najchyżej.

Potem zwolna w użycie wszedł miecz żelazny, bardziej
Zdatny, klingi spiżowe znalazły się w pogardzie.
Tylko pługiem z żelaza orano pola swoje,
Ono też wyrównało sprzęt nieustannych wojen.

pierw też zbrojnie dosiedli koni, wędzidłem ściągnęłam
Kierując je, a potem na wozy dwuzaprzęgle
Weszli i z nich walczyli prawicą zbrojną orężem.
Pierw też wozy dwukonne znano niż czworozaprzężne
Wielkie rydwany, nierzadko zbrojne w żelazne kosy.
Potem woły lugańskie, wężoramienne kolosy,
Wyuczyli Punici znosić bitewne rany
I w szyk wrogów uderzać, jak groźne, żywe tarany.
Tak to jedno po drugim tworzyła straszna niezgoda,
By do rąk ludziom wzajem broń skuteczniejszą podać,
Co dzień narzędziom mordy z postrachem przydając sławę.
Umieli już i byków używać w wojnie krwawej
Albo odyńców wściekłych, umiał też nieprzyjaciel
Przed sobą lwy popędzać ku rychłej wroga zatracie,
Zbrojnych pogromców z niemi, ażeby ku zdobycy
Iść tem pewniej i bestie trzymać w bitwie na smyczy.
Próżno! Bo rozwścieczone wśród boju wrzasków dzikich,
Rzezi pragnąc, mieszały swoich i wrogów szyki,
Wszędzie trzęsąc ku trwodze kudłatym łbem, gdy z boku
Konie w lęku szalonym nie chciały w przód dać kroku
Ni się prosto na wroga obrócić. W każdą stronę
Rwały się lwy potężne i lwice rozjuszony,
Skacząc pierwszym szeregom do gardła, łapy srogie
Wpijając w pierwszych lepszych, którzy im zaszli drogę,
Waląc pod się na ziemię i wszędzie, gdzie popadło,
Raniąc, kłom i pazurom ucztę czyniąc zajadłą.

Byki swoich w powietrze rzucały, racicami
Tratując, brzuchy końskie z dołu prując rogami,
Ziemię czołami orząc z wściekłości. Kłów swych strasznych
Nie skapiły odyńce dla sprzymierzeńców własnych,
Krwia brocząc na pociski swoich i przeciwników,
Rzeź niosąc pośród pieszych i pośród konnych szyków.
Próżno konie w przestrachu przed strasznym bestii zębem
W bok gnały lub kopyta wznosząc stawały dębem —
Widziałbyś, jak podcięte na mięśniach, wprost w kurzawę
Nagle padały gęsto ogromnem cielskiem krwawem.
Gdy przedtem ludzie mieli te bestie za łagodne,
Tu ujrzeli, jak nagle zmieniają się, krwi głodne,
Jak ranne, pod wściekłości, wrzasku i strachu władzą,
Ani się uspokoić, ani się wstrzymać dadzą.
Dziko się rozpierzchały dokoła bestie one,
Jak dziś słonie, żelazem srodze pokaleczone,
Swoim panom zadają rany i ludziom wkoło.

Może tak ludzie czynili. Ale trudno mi pojąć,
Jak mogli nie przewidzieć, że ową zbrodnią swoją
Zło sprowadzą powszechne i samych ich spotka zatrata.
Może byłoby słuszne dla całego wszechświata
Przyjąć ten zwyczaj i rzec, że na jakiejś innej ziemi
Byli kiedyś ludzie tak dzicy, źli i szaleni.
Może też chcieli tak walczyć nie po to, by zwyciężyć,
Ale będąc w mniejszości i pozbawieni oręży
Woleli wroga zniszczyć, choć potem ginęli sami.

Dziane stroje wpierw były przed tkanemi sukniemi,
Te znowu po żelazie, bo tylko i najprędzej
Z żelaza robić można wszystkie do tkackiej przędzy

Czółna, wrzeciona, motki i innych sprzętów siła.
Mężczyzn pierwej natura sukno wyrabiać zmusiła
Niżli kobiety: ród nasz, dziś tkacką pracą gardząc,
Sztuką jednakże, zwinnością, przewyższa kobiety bardzo.
Wreszcie surowi rolnicy, na wady żeńskie nie bacząc,
Ręką żeńską kazali żeńską się zająć pracą,
Sami zaś równie trudną, mocniejszą pracę podjęli,
By między ręce i członki krzepkość wysiłku podzielić.

Sama natura rodna uczyła ich najlepiej,
Jak i co sadzić w glebę, jak pędy drzewkom szczepić:
Co bowiem z drzew opadło, żołądz czy inny owoc,
Później dawało kielki, żyło, wzrastało na nowo.
Stąd się zachciało ludziom młode gałązki przycinać
Do pni lub wprost je w ziemię zatykać na nowinach.'
Wreszcie coraz inaczej próbując uprawy roli
Poznali, jak dzikie owoce ziemia łagodzi powoli
Przez włożone w nią trudy i przez opiekę godziwą.
Coraz wyżej i wyżej las ustępował niwom
Miejsca, aby na dole mogły się rozprzestrzenić
Łąki, zagony, stawy, winnice pełne zieleni
Na wzgórzach i na polach, by wzdłuż tych pól i wzgórzy
Pas błękitnych oliwek za miedze ludziom służył
Biegając po boku łąków. Podobnie widzisz teraz,
Jak przeróżne uroki ziemia wokół otwiera
Wszystka, jak wśród zasiewów wdzięczą się słodkie jabłonie
A urodzajnych krzewów wstęga otacza błonie.

Dużo wcześniej też ludzie śpiewną, ptaszęcą mowę
Oddać umieli ustami, nim pieśń stworzyli słowem,

Mogąc nią własne uszy zachwycać w śpiewie czystym.
Wpierw też wiatru na trzcinach dmące pośpiwne świsty
Dały wzór do gwizdania na pustych tykach; później
Poznali zwolna tęsknych fujarek dźwięki przeróżne
Brzmiące spod palców, tworzących ustom narzędzie uslužne
Do grania po kniejach bezludnych, po gajach i łąkach miłych,
Gdzie wśród pasterskich dzierzaw bogi spoczynek swój skryły.

[Tak to w przeciągu wieków co zwolna tworzyły doby,
Wszystko na brzeg światłości człowiek rozumem dobył.]

Grali sobie i pieśń ich po sutej strawie cieszyła,
Bo w odpocznieniu każda radość jest sercu miła.
Często wtedy leżeli na miękkiej trawy posłaniach
Blisko strugi, gdy dach ich z gałęzi drzew osłaniał.
Mile uczując bez zbytku zdrowem kwitnęli ciałem,
Zwłaszcza gdy do nich błękitem śmiało się niebo całe
A pora roku przeróżne pod stopy słała im kwiaty.
Toż dopiero rozmowy, żarty i śmiech skrzydlaty,
Jak zwykle! Wtedy tchnęły wieśniaczem życiem Muzy,
Wtedy wszystkim się chciało swawoli miłej użyć:
Głowę i kark ustroić wieńcem uszczkniętym z darni,
Płasać, jak kto potrafił, i twardo a niezdarnie
W ziemię-matkę stopami uderzać. Wtedy wkoło
Z bylekąd się rodziły śmiech, radość i wesołość;
Wszystko, co nowe, miłe było, bo wdziękiem świeże.
Stąd też rozrywkę brali w noc czuwający pasterze,
Że dobywając tonów z fletu, piosenki zwinnie
Wygrywali, ukośnie ustami wodząc po trzcinie.
Od nich zwyczaj ten wzięły dzisiejsze nocne straże.
A ci, co dzisiaj grają, milszych nie znają wrażeń
Z pieśni słodkich, niż wtedy leśni mieszkańcy ziemi

Cieszyli się pieśniami, świeżo znalezionymi.
To bowiem, co najnowsze, jeżeli czemś poprzedniem
Nie przewyższone, piękne zda się i niepowszednie,
Aż je znów coś nowszego, lepszego nie przegoni,
Każąc zmysłom od każdej sędziwej rzeczy stronić.
Tak wzgardzono żołądźmi, tak opuszczono ze wstrętem
Owe posłania trawami i liśćmi zatrzaśnięte.
Tak wzgardzono i strojem ze skór zwierzęcych uszytym —
Choć może jego użytek, w dawniejszym czasie odkryty,
Tyle zawiści budził, że wprost z szat na śmierć wyszedł,
Kto je pierwszy założył, a jego towarzysze,
Krwia łup zlawszy, rozdarli, że nie zdał się już na nic.
Wtedy skóry, dziś szkarłat i złoto ludzi mamy,
Dreńcząc nam życie walka. Lecz chyba w nas to samych
Tkwi ta złego przyczyna, której zapominamy.
Bo gdy mróz smagał nagich pierwotnych synów ziemi,
My bez szkarłatnej szaty od chłodu nie zginiemy,
Ani nam złotem tkana misternie nie potrzebna,
Tylko prosta, chroniąca ciało, choćby zgrzebna.
Próżne więc trudy życia, gdy je pogania stale
Troska z wodna i kłamna, kiedy się nie wie wcale,
Jaka jest i czy jest gdzieś posiadania granica,
Dokąd wciąż większa rozkosz pragnienia może podsycać?
To nas pognało z życiem na głębię nieukojeń,
Wciąż nowym wichrem- wzburzając krwawy ocean wojen.

Słońce znowu i księżyc, _wiata wielką świątynię
Obracając i świecąc według pór i w terminie,
Ludzi uczyły powrotów lat i miesięcy jednakich,
Ładu stałego obrotów te same mających szlaki.

Potem już żyli ludzie wśród wież wysokich, w glebie
Pracując uprawionej, podzielonej wśród siebie.
Już na morzu okręty zakwitły użaglone.
Już i pakty, przymierza chwalebnie poczynione.
Gdy je sławić zaczęli poeci. Trochę wcześniej
Pismo wynaleziono. Przez to z mety współczesnej
Trudno poznać, co było przedtem; przez owe czasy
Sam tylko rozum wskazuje ślad życia przodków naszych.

Żeglugę i rolnictwo, budowlę murów, prawa.
Broń, drogi, stroje, oraz inne we wszystkich sprawach
Zdobycze, potem radość, jaką życie osiąga
W pieśniach, w malarstwie, w kształtnie wyrzeźbionych
posągach
Wszystko to rozum przemyślny, bacząc na korzyść rzeczy,
Tworzył stopniowo, i zwolna rozwijał się ród człowieczy.
Tak to w przeciągu wieków co zwolna tworzyły doby.
Wszystko na brzeg światłości człowiek rozumem dobył,
Patrząc z radością w sercu, jak jedna z drugiej świta
Sztuka, co dziś stanęła już na najwyższych szczytach.

Koniec księgi piątej

KSIĘGA SZÓSTA

Pierwsze przesławne Ateny niegdyś śmiertelnym przyniosły
W biedzie ich bujne łany zbóż, hojnym kłosem porosłych,
Pierwsze ulżyły życiu i pierwsze wydały prawo,
Pierwsze też dały słodką pociechę ludzkim dzierzawom,
Gdy urodziły męża o duchu tak ogromnym,
Że wszystkie prawdy wyraził swem słowem wiekopomnem,
Który, choć śmierć go zabrała, dla swoich odkryć wspaniałych
Słusznie od swych potomnych podniebnej zażywa chwały.
On bowiem, gdy zobaczył, że wszystko, co zazwyczaj
Potrzebne, wszyscy ludzie mają dla swego życia,
Że bezpieczne to życie, dopóki niem być może,
Że w bogactwo i sławę opływają wielmoże,
Chlubiąc się szczęściem dzieci na zacnych stanowiskach,
Widząc jednak, jak w domu tajemna trwoga ścisła
Serca najdumniejsze, jak troska nieustannie
Każe życie wypełniać skargami i wzdychaniem —
Zrozumiał, że wadliwe musi być samo naczynie,
Bo wszystko, co doń wejdzie, wnet psuje się i ginie,
Choćby to były rzeczy najlepsze dla człowieka;
Częścią dlatego może, że będąc nieszczelnem, przecieka,
Tak że go nijak nie zdołasz napełnić, częścią może
Jakiś ma osad niedobry i zmienia wszystko na gorzej,
Co przyjmuje do wnętrza, wszystko kała i brudzi.
Zaczem prawdy słowami oczyścił umysły ludzi,

Kres ustanowił, granice dla pożądania i trwogi,
Dobro dał poznać prawdziwe, ów cel nam wszystkim drogi.
Ucząc, na czym polega i jak je można dostać,
Jaka do niego droga prowadzi najkrótsza, bo prosta.
Uczył, jakie zło rozmaite ludziom zagraża,
Jak się jedno prostem zrządzeniem przypadku przydarza,
Inne władza natury niechybnie ustanowiła.
Jaka może złu temu i skąd się oprzeć siła.
Uczył też, jak daremnie w ludzkich piersi głębinie
Serca otwartą raną czarny trosk strumień płynie —
Bowiem jak w ciemnej nocy nie uśnie dzieciak mały
Drząc przed strachami, równie my nieraz i w dzień biały
Boimy się upiorów zwodniczych i nietrwałych
Jak te, przed któiyich widmem trwoży się serce dzieci.
Tego mrocznego lęku nic równie nie rozświeci,
Ni złote strzały słońca, ni dnia oblicze białe,
Jak praw i zjawisk natury poznanie doskonałe.
Przeto tem raźniej wywód zaczęty snujmy dalej.

Skoro już wyłożyłem, że cały wszechświat i nieba
Ciało mają zrodzone, i kiedyś zginąć im trzeba.
Skórom większość rzeczy wyjaśnił, jak się dzieją,
Jak dziać muszą, resztę dalszą wyjaśnię koleją.
Kto bowiem raz na rydwan wspaniały stanąć się ważył

Wściekłość wichrów się wznosi i znów łagodnieje wszystko

Uspokojone od szału w zwykłe wraca łożysko.
Wszystko inne, co w niebie się dzieje i na ziemi,
Na co patrzą śmiertelni oczami lękliwemi
W strachu bogów i umysł zginając jak najniżej,

przerażeniem ciałem na ziemi leżąc krzyżem —
Sprawia, że przyczyn rzeczy nie znając, wierzą oni
W bogów władzę potężną, w bogów nadziemskie trony.
[Widząc różne zjawiska, dla których podać nie mogą
Przyczyn, zaraz ich sprawstwo możliwym przyznają bogom.]

Bo i ci, co spokojny byt bogów przyjąć mogą
Za prawdę, nieraz w dawny zabobon zwykli popadać
Dziwiąc się, jak być może, by niebem nikt nie władał.
Zaraz więc, nieszczęśliwi, gdy tylko spojrzą nad ziemię,
Kładą sobie na barki okrutnych władców brzemię,
We wszystkim, co sobie uroją, widząc zrządzenie boże.
Biedni, nie wiedzący, co może być, co nie może,
Jakie granice mocy rzecz każda w sobie zawiera,
Co każe rodzić się życiu i co mu każe umierać,
Jak ślepi, od prawdziwej coraz są dalsi drogi!

Jeśli więc sam nie wygnasz tych wierzeń i tej trwogi,
Niegodnej i spokoju, i życia, jakie bogi
Wiodą, to moc ich święta, przez ciebie podeptana,
Sięgnie ciebie. Nie przez to, że tkwi w niebiańskich panach
Żądza zemsty i kary dla bluźnierstw, ale przez to,
Że sam w myślach ich gniewom dawać będziesz świadectwo
Ich, którzy żyją naprawdę w spokoju i pogodnie.
Ani już do ołtarzy z sercem nie pójdziesz swobodnym,
Ani podobizn owych, które kch święte ciała
Wysyłają, ażeby się ludziom objawiała
Boska postać, nie przyjmiesz z pogodą i spokojem.
Łatwo przewidzieć, jak się ułoży życie twoje.

Aby cię przed tem mogły wskazania moje uchować,
Których wiele już dotąd podałem w prawdy słowach,

Trzeba jeszcze niejedno powiedzieć i wierszem ogładzić:
Trzeba mi ciebie przez nieba układy przeprowadzić,
Burze i jasne gromy wyśpiewać, razem podając
Powód, siłą którego pędzą, i jak powstają,
Abyś nieba na części nie dzielił i w trwożnym obłędzie
Nie wypatrywał, z której się strony płomień dobędzie
Skrzydlatego piorunu, któredy w miejsca bronione
Wejdzie, by niemi owładnąć, i w którą odejdzie stronę.
[Widząc różne zjawiska, dla których podać nie mogą
Przyczyn, zaraz ich sprawstwo możliwym przyznają bogom.]
Ty mnie prowadź, przemyślna, ty mi ukazuj metę,
W biegu do celu jasnego wiedz, Kalliope, poetę,
Ty, któraś ludzi wytchnieniem, rozkoszą bogów wspaniałych,
Abym pod wodzą twoją wziął wieniec niezmiernej chwały!

Najpierw przez to od grzmotu drżą błękity niebiosów.
Ponieważ chmury, przez eter pędzące w różny sposób,
Uderzają się wzajem z przyczyny wichrów walczących.
Nie z jasnej strony nieba dolata grzmot huczący,
Ale zewsząd, gdzie chmury w gęstszych się zwarły szeregach,
Tem ci mocniej, im gęstsze, ponury pomruk przebiega.
Zresztą, nie mogą chmury mieć ciało tak zgęszczone
Jak kamienie lub belki, ani też ciało one
Nie jest tak delikatne jak mgła lub dymy zwiewne.
Musiałyby jak kamień upadać wtedy pewnie
Albo, dymowi podobne, nie mogłyby się zwierzać
Ani deszczów i gradów dźwigać w swem łonie nieraz.
Dają nieraz ten odgłos ponad świata przestworem
Jak w teatrach zasłony na słupach rozpostarte,
Kiedy wiatr swawolny powieje w igrzysk porę.
Bywa, że chmury ciosami wiatrów przeciwnych rozdarte

Dźwięk wydają ostry, jakby kto papier rozdzierał —
Nieraz bowiem i taki głos się w grzmocie zawiera.
Bywa też grzmot, jakby wicher szaty wiszące u płota
Lub karty manuskryptów rozrywał wkrąg i miotał.
Czasem nie mogą chmury zderzyć się z sobą czołem,
Ale bokiem się zwarłszy, gniotąc się ostro społem,
Trą o siebie przeciągle, niezgodne w ruchu — i oto
Uszy z trudem uchylasz suchym, przeciągłym grzmotom,
Póki nie wyjdą chmury na jakąś przestrzeń otwartą.
Czasem grzmot jest tak silny, jakby świat nasz rozdarto,
Mury jego burzono, jakby pęknięta z nagła
Cała szeroka ziemia na części się rozpadła.
Tak się dzieje, gdy naraz huragan jak wściekły morderca
Bije o chmurę, wali, aż do jej brzucha się wwierca
Całą ją obracając, zmuszając, by się stała
Próżnią z gęstą powłoką zbitego zewnątrz ciała.
Dalej naciera, aż wreszcie złamie jej opór słabnący —
Wtedy chmura pęka z hukiem przerażającym.
Nie dziw, skoro i mała bańka nadęta powietrzem
Często daje głos mocny, nagle pryskając w przestrzeń.
Jest jeszcze inny powód, jaki przymusza chmury
Do grzmotów. Wszak widzimy strzępiaste ich kontury
Dziwnie rozgałęzione, z krętymi splotami ramion.
Tak i liście szeleszczą, tak się gałęzie łamią
Z trzaskiem, gdy Kaurus ostry przeciąga ponad lasem.
Zdarza się też, że wicher, ostrzej natarłszy czasem,
Przerwie chmurę, gdy na nią gwałtownym pędem naprze.
Przykład podobny dadzą te wichry, chociaż słabsze,
Które na ziemi możesz zobaczyć, gdzie straszliwa
Moc wichury drzew tyle z korzeniami wyrywa.
Są też w chmurach fale, które się mogą kłębić

Z ciężkim hukiem, podobnie jak to na rzecznej głębi
Albo na morzu bywa, gdy łamią się bałwany.
A gdy z chmury do chmury przeleci niespodziany
Iskrą grom, gdy napotka wilgotny strumień słoty,
Zaraz mu płomień gaszą gniewnie syczące grzmoty —
Równie jak gdy żelazo rozgrzane prosto z żaru
Spiesznie wrzucić w deszczową wodą wezbrany parów.
Kiedy znów suchsza chmura spotka się z gromu iskrą,
Zaraz z hukiem szerokim płomieniem buchnie bystro;
Podobnie jak po wzgórzach, porośłych laurem suchym,
Nagły pożar roznoszą niszczące wiatru podmuchy —
A żadna rzecz zapalna z takim trzaskiem nie płonie,
Jak smolny laur, co w Delfach ozdabia Feba skronie.
Czasem znów inny odgłos z chmur wysokich dochodzi,
Jakby się grad obrywał lub lody pękały na wodzie;
Gdy bowiem wichur je stłoczy, z twardym gradem zmieszane
Kruszą się góry podniebne przed ostrym huraganem.

Błyskawica powstaje, gdy chmury swoim zderzeniem
Ziarna ognia wytworzą, jak gdy się zderzą, kamienie
Albo żelazo z żelazem — bo tu i tu podobnie
Błyska światło, sypiące iskier świetlistym ogniem.
Wpierw jednak błysk zobaczysz, a później cię ogłuszy
Gruchot gromu, bo wcześniej w oczy, niżeli w uszy
Wpada to, co zmysł ludzki pobudza. Również po tem
Poznasz to, że gdy z dala widzisz drwala robotę.
Najpierw cios dwusiecznego topora ujrzysz, zanim
W uszach ci on oddźwięknie twardego pnia ciosaniem.
Tak też wpierw błyskawicę widzimy, a grzmot po niej,
Choć powstaje z tych samych zderzeń na nieboskłonie

I równocześnie z ogniem ten sam go tworzy powód.
Mogą też lotnym błyskiem chmury i przez to znowu
 Śród błyskającej burzy oświecać ziemię drżącą,
Że gdy wiatr wtargnie w chmurę i nagle treść jej mącą
 Sprawi, że wnet jej pustka gęstnieje — sam ognisko
Wytwarza rozżarzony swym pędem. Przecie wszystko
 Skutkiem ruchu ciepleje, a długo wirujące
 Nawet kule z ołowiu topią się swem gorącem.
Tak więc, gdy czarną chmurę wichur rozerwie palny,
Sypie tedy ziarn żaru, jak ziarn dżdżu deszcz nawalny —
Z nich to, nagle wypchniętych, powstaje blask błyskawic.
 Potem grzmot uszy nasze bije szaleństwem wrzawy,
 Przedtem zaś światło w oczy uderza. Tak się dzieje
W chmurach gęstych, gdy w niebo spiętrza się długim lejem
 Jedna na drugiej ciężąc dziwną przemocą pędu.
Szerszy ich widok z dołu niech ci oszczędzi błędów,
 Bo nieraz są o wiele wyższe, niżli szerokie.
 Patrz! Oto kiedy wichry gonić je będą bokiem,
Jakby góry powietrzne, lub gdy przy skalnych szczytach
 Ujrzysz, jak masa kłębow stoi wysoko zbita,
Jedna na drugą cisnąc — śpią wtedy chmury stadem,
 Gdy już ich nie rozsypie zamarły wichur żaden.
Poznasz wtedy ich głębię, ujrzysz pomiędzy niemi
 Ogrom jaskiń ukutych z obłoków, jak z kamieni.
Kiedy w nie burza wpędzi wichry, które zamknięte
 Całe jaskinie zajmą, to jak przed klątek prętem
 Dzikię bestie więzione szaleją, tak się srożą
Wichry w chmurach, wyciem niebu dokoła grożąc;
 Tu, tam szukają wyjścia, kłębią się nieswobodne
 I wyrzucają wkoło zarzewie ziaren z ogniem,

Zbiorą je, płomień wewnątrz rozpalą, aż z wybuchem
Chmurę rozedrą i wokół rozbłyszczą światłem suchem.

Przez to jeszcze ów ogień płynny złocistą jasnością
Sfruwa na ziemię, że w chmurach mnogo być musi z pewnością
Ziaren żaru rozsianych. Dlatego też kiedy w nich nie ma
 Żadnej wilgoci, to często barwę mają płomienia,
 Jakby się ogniem paliły. Tak już im świecić trzeba,
 Iskry sypać, bo przecież na wielkich drogach nieba
Wiele ziaren od słońca brać muszą. A gdy z wiatrem
Przyjdzie im w jedno miejsce pędem ciśnienia natrzeć,
 Sypią ziarnami hojnie, a z ziaren tych, jak z iskieł,
Rosną groźne mignienia z płomiennych barw połyskiem.
A masz je także wtedy, gdy chmury w niebie rzędą,
 Bo wypadać z nich musi ogniste ziarno niejedno,
 Kiedy je wiatr powoli rozsunie i rozluźni —
Ale nie słyszysz wtedy grzmotów w podniebnej kuźni
 I ustaje strach srogi, bo huku nie masz wcale.

 Jaką mają naturę pioruny, możesz znaleźć
Dowód w ich uderzeniach: miejsca, gdzie piorun spada
 Poznasz po siarki zapachu i spalenizny śladach —

Bo nie deszczu lub wichru ślady to, lecz płomienia.
 Często też po piorunów ognistych uderzeniach
 Płoną dachy i całe domostwa idą z dymem.
 Ten to piorunny ogień, lotniejszy ponad inne,
 Taką ma od natury drobność ruchliwych ciałek,
 Że mu się nic nie zdoła oprzeć na ziemi całej.
Równie jak krzyk przez ściany przechodzi władczy piorun,
 Powietrze ani kamień nie stawia mu oporu,

Topi on w mgnieniu oka hartowny brąz i złoto,
pije z nietkniętych dzbanów wino, bo żaru potok
Nadchodzący do naczyń łatwo rozluźnia ściany
Z wszystkich stron, a do środka gdy wtargnie niespodziany,
Zaraz wszystkie zarodki rozrzedzi w cieczy wina,
W ruch wprawi i rozgoni. I żadna inna przyczyna
Takich skutków nie sprawi gwałtownych, nawet słońce,
Choćby najdłużej słało swoje promienie gorące —
Tyle ruchliwszy jest piorun, silniejsze jego działanie.

Teraz, żeby twych uszu dalszem nie drażnić zwlekaniem,
Powiem ci w krótkich słowach, jak każdy piorun bierze
Swoją moc, skąd ma rozpęd, aby rozwalać wieże,
Jednym ciosem domy wywracać, belki kruszyć,
Lżyć mogił odwracaniem spokój cmentarnej głuszy,
Bić pokotem bydłeta, uśmiercać nagle ludzi.
Jaką to mocą dokoła tyle zniszczenia budzi?
Że z chmur tylko najgęstszych i z wysokiego nieba
Biją w ziemię pioruny — najpierw nam przyjąć trzeba:
Nigdy ich z lekkich obłoków i przy pogodzie nie bywa,
O tem uczy nas jawność, więc prawda to jest niewątpliwa.
Wtedy bowiem dopiero, gdy kłębią się czarne chmury —
Jakby wszystka ciemność wyszła z piekieł ponurych,
Aż z nieba sklepień wysokich, od zimnej grozy srogich,
Wyjrzą na drżącą ziemię czarne paszczęki trwogi —
Wtedy dopiero burza poprzez błyskawic struny
Gra grzmotami, rwie błyski i rzuca w dół pioruny.
Często także na morzu gęsta mroku kaskada
Chmurą, jak rzeką smoły, z wysoka w fale spada,
Tyle ciemności wlokąc pod czołem pełnem błysków,

Tyle wichrów i gromów w piekielnym swem kolisku.
Że z daleka na lądzie wszystko, co żywe, w strachu
Szuka ściany za sobą i ponad sobą dachu!
Musi więc się nad nami wysoko burza piętrzyć,
Aby móc jasność słońca przesłonić płaszczem gęstszym —
Bo jakżeby inaczej chmury nie zagęszczone
Mogły na ziemię zarzucać taką ciemności zasłonę?

Nie mogłyby też burzy mało wysokie stropy
Tyle deszczu wylewać, by całe pola topić,
Rzeki wznosić; i pewne, że aż pod eter stromy
Pną się chmury, a w chmurach wichry i mnogie gromy
Deszczem i błyskawicami sieją. Wszak już podałem,
Że w pustych chmurach bardzo wiele jest żaru ciałek,
A jeszcze ich niemało ściągają chmury z bliska
Z promienistego słońca, które gorącym błyska.
Gdy więc ziarna te wicher, co w jedno miejsce tłoczy,
Zewrze i sam się z niemi zmiesza w ognistej mocy,
Wtedy ostrzem swem palnem kręcąc się nieustannie,
W ciasnym środku jak w piecu takie tworzy rozgrzanie,
Że pryska ową iskrą straszliwą. Dwie przyczyny
Palą go: sam się najpierw rozgrzewa w ruchu silnym,
Potem styka się z ogniem, a kiedy swoim żarem
Wichr się nasyci i ogień dosypie ciężkich ziaren,
Wtedy już jak dojrzały rozpruwa chmurę piorun
I gna na dół, błyszczący dokoła wśród kolorów
Żaru uskrzydłonego — a za nim lotnym ruchem
Pędzi grzmot, niebo całe drży łoskotaniem głuchem,
Jakby się wszystko miało zwalić, a przez przestrzenie
Ziemi ciężko przechodzi to samo trwożne drżenie.

Aż niebo ryknie wreszcie, jak z bólu — bo dokoła
Wszystko wtedy przetrachem, wszystko cierpieniem woła.
po tym wstrząsie od razu nawalny deszcz przychodzi,
Jakby się cały eter roztopić chciał w powodzi
I wszystko zalać w dole. Bo jest to straszna chwila,
Kiedy i chmura pęka od wichru ciosów tyła,
I grzmot się miesza ciężki z piorunu uderzeniem.

Bywa też, że od zewnątrz potężne wichru brzemie
Runie na chmurę, pełną już piorunnego żaru —
Wtedy przerwie ją, wtedy wnet spada z jej obszaru
Grot ostry, który zwiemy ojczystem gromu mianem,
I gna tam, gdzie go wichry poniosą nieokiełzane.
Bywa znowu, że nawet pęd wichru bezogniowy
Rozpala się w swym biegu, jakoby żar gotowy.
Traci bowiem po drodze dużo co cięższych ciałek,
Sam zaś chwyta z powietrza ruchliwe, ostre, małe.
One to, obracane i pomieszane lotem.
Zbiją się tak, że błysną iskrowym żaru grotem.
Podobnie ołowiana kula w swym locie długim
Ziarna ciepła zagarnia, a ziarna zimna gubi,
Aż się wreszcie rozgrzeje, aż się ognista zrobi.
Czasem sam cios swą mocą potrafi ognia dobyć,
Gdy zimnym, beziskrowym wiatrem uderzy z góry.
Nie dziw, bo w uderzeniu każdym gorącym ciałkiem
Może się jedna cząstka z drugimi stopić całkiem
W tej rzeczy, która chwyta cios. A że ci nie kłamię,
Bacz, że iskrami sypniesz, żelazem bijąc w kamień,
A choć siła metalu też zimna, to nie wzbrania
Ziarnom jego i głazu iskier wykrzesywania.

Tak rzecz każda od gromu rozplonąć może, jeśli
Dosyć palnej materii i treść podatną mieści.
Nie może też moc wichru zimna być tak dokładnie,
Jeśli z takim naporem z góry na ziemię spadnie,
Bo choćby w biegu swoim nie mogła ognia schwytać,
To i tak w niej część ciepła zmieszana, choć ukryta.

Ruchliwość gromu znowu i ciężar jego ciosu
Stąd jest, że wcześniej w chmurach zbiera się wzwyż niebiosów
Pęd jego biegu i rośnie, a gdy go już nie może
Wstrzymać nic, gdy pozrywa dzierżące go obroże,
Tak wypada od razu, tak w krąg zapory kruszy,
Jak pocisk wypuszczony z mocnej, sprężystej kuszy —
I wiele jeszcze szybciej. A że jest przytem złożony
Z ciałek bardzo małych i bardzo gładko toczonych,
Tedy łatwo nie zdoła powstrzymać go przeszkoda,
Środkiem bowiem przemyka, przecieka niczem woda
Przez szpar rzadkość, nie tracąc siły od częstych zderzeń,
Rozpęd i wielką szybkość z natury lotu bierze.
Wreszcie wszystkie ciężary prą mocno już z natury
Ku dołowi. Gdy przeto cios jeszcze dojdzie z góry.
Szybkość podwójnie wzrasta i tak ów pęd nasili,
Że prędzej rwie przeszkody, prąc na dół w każdej chwili
Raźniej do swego celu. A jeśli na dobitek
Długo pędzi i rozmach zyskuje stale-przytem,
Ciągłe nabiera siły po drodze i gdy wreszcie
Spadnie — ogromną mocą uderza w jedno miejsce,
Wszystkie bo jego ziarna w jednym kierunku pędząc.
Zarówno dążą prościej, zarówno lecą prędzej
I uderzają razem. Może i jest przyczyna,
Że zagarnia z powietrza, które w swej drodze przecina,

Ciałka, które mu popęd zwiększają. Tak w przechodzić
Wiele rzeczy przenika i nawet im nie szkodzi,
Lotnym ogniem szczeliny drążąc. Lecz niektóre
Niszczy, gdy nagle spadnie na taką ciałek górę,
Która mocno spleciona, bo przecież umie oto
Spalić i w płynny metal zamienić brąz i złoto;
Moc piorunowa bowiem to ziarna gładkie, małe,
Które przez lekkość swoją łatwo się zwiążą z ciałem,
Wnikną chyżo, a wtedy nagle obróć wniwecz
Związki ciałek wszelakich — czy martwe są, czy żywe.

Urodzaj na pioruny przydarza się jesienią
Ziemi naszej i w gwiazdy strojnym niebios sklepieniom.
Także i wiosny pora kwitnąca sprzyja burzom.
W zimie bowiem brak ognia, a gdy upału dużo,
Brak znów wiatrów i chmury nie tak się gęsto łączą.
Gdy zaś się pory roku ni zaczęją, ni to kończą,
Wtedy masz razem wszystko, co bywa piorunu powodem:
Boviem w tych porach przejściowych ciepło miesza się z chłodem,
A przecie jedno i drugie potrzebne jest piorunom;
Wtedy to walka wkoło — miesza się z ogni luną
Wichru pełne powietrze i wkoło zamęt się tworzy.
Kiedy się upał zaczyna i mróz ostatni sroży
Wiosną, to dwa żywioły często się wtedy mogą
Spotkać, zwichrzyć, pomieszać i stoczyć walkę wrogą.
Wtedy znów, gdy się toczy niepogodami złemi
Koniec ciepła, mróz pierwszy w niepewny czas jesieni.
Także masz starcie chłodu z upałem. Tak widomy
Znak niepokoju nieba niosą dwa roku przełomy
I nie dziw, jeśli wtedy piorunów masz tak wiele,
Jeśli niebo drży wojną, gdy stąd nieprzyjacielem

Ciągną ognie upalne, a stamtąd chmury mnogie,
Pełne dżdżu, nieustannie z gorącym walcząc wrogiem.

Oto, jak się poznaje naturę gromu całą.
Jak się widzi moc jego i samo jego ciało —
Bez daremnego szukania w tyrreńskich księgach starych,
Jakie nim mogą kierować tajemne bóstwa zamiary.
Skąd przylata ognisty, w jaką się stronę udał,
Mury albo sklepienia przez jakie drąży cuda.
Dokąd groźny odchodzi i ile może komu
Szkodzić niebo karzące płomienną dłonią gromu.
Jeżeli bowiem Jowisz, czyli tam inne bogi,
Sami swoje siedziby wstrząsają grzmotem srogim
I rozrzucają płomień, dokąd się im zamarzy —
Czemu nie rażą gromem złych tylko i zbrodniarzy,
Ażeby z piersi rannej męki cierpiący srogie
Rykiem bólu zionęli śmiertelnym na przestroagę?
Czemu najczęściej taki, co nie ma żadnej winy.
Nagle rażony z nieba tarza się, z męki siny,
W splotach żaru i wirach ognistej bożej kary?
Czemu piorun tak często pada na puste obszary?
Czyliż bogowie wtedy ćwiczą się tylko w ciosach?
Czemuż darmo się tępi na ziemi i w niebiosach
Zeusa grot? Cóż on na to? Czy nie na własne wrogi
Chowa grom? Czemu zawsze na dni pogody błogiej
Milczy grzmot, ani piorun na ziemi nie zagości?
Może gdy chmury idą, we własnej wspaniałości
Wchodzi w nie, aby lepiej celować? Czemuż wali
Moc gromów w morskie tonie? Jakież ma żal do fali,
Do płynących przestrzeni, do pól? A gdy łaskawy
Chce, byśmy unikali gromów, to przecz nie sprawi,

Byśmy z góry wiedzieli, czy wysłać go zamierza?
Jeśli zaś własne dzieci nagle mu razić nie żal,
Czemu grzmi z groźnej strony, by uciec mógł, kto rączy,
Czemu tak wiele czyni mroku i dudnień grzmiących?
Jak wierzyć, że od razu uderza na stron kilka?
Czyż zaprzeczysz, że nieraz, nim jedna zbiegnie chwilka,
W różnych stronach niejeden uderzył piorun? Wiadomo,
Że w jednej chwili wielu wypadnie zlecieć gromom
W różne miejsca odległe — tak jak przez całą przestrzeń
Ziemi naraz w stu miejscach upadać mogą deszcze.
Czemuż sam wreszcie Jowisz rozbija ciosem gromu
Tyle przybytków bogów i tyle własnych domów,
Czemu posągi niebian, misterną sztuką wzniesione,
I nawet własne obrazy gwałtownym razi gromem?
Czemu się zawział najbardziej na górskie wysokie krainy,
Za co razi je częściej niżli rozległe niziny?

Łatwo teraz rozpoznać, czemu na morskiej fali
Wiry powstają ogromne, które Grekowie nazwali
Presterami, a które z górnej pochodzą strony.
Oto nieraz na morze jakby słup opuszczony
Spada z nieba, a wkoło w kłębach wiru i piany
Kipią od skrętu wichrów spiętrzone, złe bałwany;
Wtedy i żeglarzowi, i okrętowi biada,
Który w niebezpieczeństwo owego wiru wpada.
A wstaje on, gdy wichru pęd, naciskając z góry,
Nie ma zrazu dość siły do rozerwania chmury,
Aż się niczem kolumna wydłuży i powoli
Prze, jakby ktoś ramieniem z nieba do morskich dolin
Sięgał, gniótl i podążał ku wodzie. Gdy na koniec
Chmurę przerwie pęd wichru, upada w morskie tonie,

Fale wirem skręcając, bo krąg ów kołujący
W morze spada zarazem i sam się lejem łączy
Z chmury ciałem podatnem, które pociąga na dół;
A gdy zepchnie ją ciężką, sięga aż w głąb pokładów
Wody, w niej się zanurza i całą swą zaciekłość
Rzuca w nią, że aż kipi. I huczy w niej, jak piekło.

Bywa, że grot wichrowy sam się chmurami okreci.
Chwyta ich ziarna w biegu, aż zniżając się więcej
Wygląda jakby prester spuszczonej z nieba. Później,
Gdy z niesłychaną mocą ziemię zniemacka muśnie.
Pęka rzucając wokół całą potęgę burzy.
Że jednak rzadko bywa, oraz że w górach dużych
Opór znajduje zbyt, zwykle się przeto jawi
Tam, gdzie nieba i morza otwarte ma dzierzawy.

Chmury stąd są, że kiedy w górnej niebiosów sferze
W locie mnóstwo ich ciałek nagle się bliżej zbierze
Drobnych oraz chropawych, to już uderzeń zwykła
Kolej może je łatwo pomieszać i powikłać.
Zrazu się małe tworzą, a potem coraz bliżej
Gromadzą się i łączą poprzez niebieskie wyże,
Stale rosnąc i krzepnąc, z wichrami goniąc stale,
Aż im burza potężna każe się w krąg rozszać.
Bywa też, że gór szczyty, z niebem sąsiadujące,
Im są wyższe, tem rzadziej przez chmury patrzą w słońce,
Bo obłoki nieduże, ledwie je pęd połączy,
Zanim je oczy ujrzą, już pogna wichr szumiący
I obok szczytów górskich zgromadzi tak, że gruby,
Czarny całun okrywa kamiennych turni czuby.

Wtedy też, gdy już tłumem zalegną, mogą naraz
I gęstość swą ujawnić, i piąć się po obszarach
Wzwyż, jakby z czoła góry wprost w eter wyrastały.
Nie dziw, bo kiedy stopą najwyższe depczesz skały,
Jasno widzisz, że w górę wzrasta kraina wiatrów.
Z mórz że się także wznoszą ciała wilgotne, łatwo.
Poznasz, kiedy szata, nad brzegiem rozwieszona,
Będzie po krótkim już czasie wilgocią przesycona.
Tem bardziej wierzyć trzeba, że morska woda słona
Powiększać może chmury, liczne im dając nasiona
(Są przecie obie wilgoci pokrewne sobie i bliskie).
Mogą też chmury rosnać, gdy z rzek, nawet z ziemi wszytkiej,
Jakby oddech z ich piersi, mgły i opary różne
Wznoszą się, idą wyżej, a kiedy złączą się w górze.
Mrok rozlewają po niebie, a gdy się zgęszczą wreszcie,
Tworzą kłęb chmur wysoko aż pod eteru przestrzeń —
Bo i ten eter gwiazdny uciska je od góry,
Zwiera, w dół po niebiosach rzucając cień ponury.
Mogą też z zewnątrz czasem w niebo nasze napłynąć
Ciała, które obłokom i chmurom są przyczyną.
Wszak już wiesz, że bezmierna jest całość wszechnatury,
Jak i liczba jej ciałek. Wspomnę też po raz wtóry,
Że szybkość ciałek owych bezmierna jest, że mogą
Prędzej, niż wierzyć zwykłeś, niezmierną przebiec drogą.
Nie dziw więc, że niekiedy od razu, w jedną chwilę
Takie potężne kłęby i chmur burzliwych tyle
Może ziemię i wodę okryć, z wysoka idąc,
Skoro przez tyle szczelin w eterze mając widok,
Zewsząd pędząc i wszędzie, nigdy nie mogąc ustać,
Lecą ciała na świat nasz wprost jak w otwarte usta.

Zważ teraz, jak wyłożę, skąd się deszcz w chmurach bierze
Wysokich, jak na ziemię opada w hojnej mierze
Ulewy. Najpierw podam, że wiele wodnych ziaren
Razem z chmurami w górę ulata nad obszarem
Ziemi, że chmury rosną i wilgoć razem wzbiera,
Jaka tylko jest w chmurach. Toż, co i człek zawiera.
Ciało i krew — zarazem rosną, a z niemi w ciele
Pot i soki przeróżne, których masz w sobie wiele.
Chmury też ciągną z morza niemałe mnóstwo wody,
Kiedy je wicher rozwiesi nad niem, jak z owiec trzody
Runo strzępiaste, włosem w dół obrócone. Tak też
Prosto do chmur zachłannych podąża, górnym traktem
Wilgoć z rzek. A gdy zewsząd różnym sposobem w górę
Mknące ziarna wilgoci dobrze nasycą chmurę,
Wtedy to z dwóch powodów pilno się tej wilgoci
Pozbyć chmurze: bo najpierw wicheru ją siła tłoczy,
Potem ciężar obfity deszczów, zawartych wewnątrz,
Ciągnie w dół, by co rychlej zrzucić gniotącą ulewność.
Również, gdy chmury rzedną i kiedy je roztrąca
Ciągłą potęgą ciosów gorąca siła słońca,
Kapią leniwym deszczem, jak воск, co od ogniska
Topnieje, spływa strugą i bliżej zaru pryska.
Nagły zaś deszcz masz wtedy, kiedy chmury w dwójnasób
Gniecie wicher i zarazem zbyt ni wilgoci zasób.
Długi znów i uparty wtedy zwykł z nieba spadać,
Gdy masz w chmurach zbyt wiele ziarn wody, gdy się składa
Jeden zwał chmur na drugi, gdy wszędzie masz ich zbyt,
A ziemia całą wilgoć w górę oddaje przytem.
Jakby dymiąc obficie. A kiedy tak naprzeciw
Pośród mroku z nienacka słońce blaskiem zaświeci

prosto w chmurną kroplistość, wtedy na czarnem tle jej
Siedmioma kolorami tęczy łuk jaśnieje.

Wszystko inne, co w górze rodzi się, szuka wzrostu,
I co powstaje w chmurach, wymieńmy je po prostu:
Śnieg, wichry, grad i szrony lodowe, same lody,
Co potężną swą mocą groźne ścinają wody
I nurty rzek hamują — wszystko to, wszystko zdołasz
Pojąć umysłem łatwo i bez wysiłku zgoła.
Jak powstaje i czemu. To wszystko wiedzieć można,
Byle tworzących je ciałek własności dobrze poznać.

Uważ teraz, dlaczego trzęsienia ziemi srogie
Powstają. Wiedz więc najpierw, że ziemia chowa mnogie
W głębi, jak na powierzchni, wietrzne jaskinie, cała
Pełna grot, pełna jezior, które ukryte w skałach —
I skał niemało samych. Wypada także przyjąć,
Że ją w głębi schowane liczne potoki ryją,
Wody i głązy unosząc. Bo prawdą jest niezawodną,
Że to, co widzisz na ziemi, musi być także pod nią.
Od takich fundamentów i podstaw aż hen w górze
Drży ziemia, poderwana zwałiskiem gruzów dużem,
Kiedy czas pod powierzchnią wielkie rujnuje groty.
Góry całe padają w proch i potężne grzmoty
Wstrząsów wokół wypadku rozchodzą się szeroko.
Słusznie, bo drżą na odzew wozom lub nocnym krokom
Ściany domów przy drodze, choć ciężar to jest nikły;
Niemniej gorliwie wozy trząść się i brzęczeć zwykły,
Ilekcóż drobny kamyk napotkają ich koła.
Bywa też, że w podziemnych jeziorach brzegu połać

Ze starości się zwali i z taką siłą wpadnie
W wodę, aż ziemia zadrży od tego wstrząsu na dnie.
Podobnie waza tak długo ma równowagę niepewną,
Póki się w niej nie ustoi ciecz, co chyboce wewnątrz.

Gdy wreszcie wicher, zebrany w jaskiniach ziemi, naraz
Runie od jednej strony i pędząc po pieczarach
Prze z całej mocy w drugą stronę, to ziemia drżąca
Tam się gnie, gdzie ją wichru pochyła siła prąca.
Wtedy wierzchołki domów, im bardziej wzwyż od ziemi,
Bardziej chylą się naprzód części chybotliwemi
W też stronę, tak że belki od strychów do podwalin
Sterczą obluźowane, gotowe wnet się zwalić.
A ludzie wciąż się boją wierzyć, że wszechświat cały
Runie w naturze swojej, gdy z części tak niemałych
Widzą całą nietrwałość i chwiejność ziemskiej bryły.
Gdyby nie oddech wichrów, to by nie było siły
Zdolnej wstrzymać zagładę tych rzeczy, którym grozi.
Ale że w moc wzbierają, by znowu ją odłożyć,
Jakby raz naprzód idąc, raz się cofając znowu.
Częściej grożą ruiną, niż dają większy powód,
Że ją sprawią, bo ziemia choć nieraz się odchyli
Znacznie, drżąc — znów na miejsce wraca po krótkiej chwili.
Przez to chwieją się domy w górze najwięcej, ależ
W środku mniej, niż u góry, u dołu prawie wcale.

Srogiego wstrząsu ziemi to jeszcze bywa przyczyną,
Że gdy wicher albo podmuch potężny gdzieś wychynał
Z zewnątrz czy z wewnątrz ziemi, od razu w głąb jej pustą
Spada, ryku przydając stugębnym swoim ustom,

I miota się dokoła — a potem mocą całą
Wybucha, rozrywając od wewnątrz ziemi ciało,
Wrota sobie otwiera i wprost z czeluści ziemi
Wypada niespodzianie dziurami olbrzymiemi.
To przeżył Sydon w Syrii, zdarzyło się to w Egipcie
W Peloponezie skalnym, gdyż rozpęd wichru tego
I wstrząs ziemi zniszczyły oba te miasta gładko.
Jak zabawki. Ta klęska trafiała już nierzadko
Mury stolic, od wstrząsu niejedno miasto snadnie
Wraz z ludźmi niespodzianie osiadło w morzu na dnie.
Nawet gdy wichr nie buchnie na zewnątrz, sam pęd wiatru
Wściekle dmącego z dolin może już ziemię zatruć
Strachem i wraz o drżenie przyprawić ją. Tak oto
Zimno wpełzłe do ciała poddaje je dygotom.
Wbrew woli członkom każąc trząść się. I ludzie w grodach
Drżą tak, gdy strach podwójny przyniesie zła pogoda:
Najpierw, by ich nie przygniótł dach, a i niemniej srogo
Boją się, że się ziemi stropy zawalić mogą,
Że ziemia nagle paszczę otworzy i w głębiny.
Wchłonie ludzi nieszczęsnych i domów ich ruiny.
Niech sobie myślą tedy, że dla nieba i ziemi.
Los trwały jest i pewny, że nic się im nie zmieni —
Czasem przecież potęga grozy niespodziewanej
Dźga żądłem, trwożnym sercom zadając ostrą ranę.
By nagle spod nóg ziemia nie uszła w głąb czeluści.
By za nią się wszechrzeczy porządek nie wypuścił.
Świata całemu niosąc ruinę i zagładę.

Dziwią się też, że morza nie zwiększa w sposób żaden
Natura, skoro w morze z ziem bliskich i dalekich
Niosą obfitość wody wielkie i małe rzeki.

Dodaj jeszcze wędrownie, dodaj skrzydlate burze,
Które ziemi i morzu ulewy sypią duże,
Dodaj i morskie źródła — jednak przy mórz ogromie,
Jak przysłowiowa kropla, przydatki te są skromne!
Nie dziw, że nie przyrasta nic morzu, gdy mu jeszcze
Słońce odpija wody więcej, niż dają deszcze.
Wszak widać, jak promieńmi wysusza wodę słońcą
Z szat, które namoknięte na brzegu rozwieszono.
Mórz nie brak i szeroko rozlane są dokoła —
Gdyby więc promień słońca choć kroplę wszędzie zdołał
Ując, to tych promieni mnóstwo nieprzeliczone
Na wielkim mórz obszarze zuboży fale słone.
Dużo też wody zmiata z powierzchni wiatr ochoczy,
Jak to nieraz widzimy, gdy w ciągu jednej nocy
Drogi osuszy z błota i tam, gdzie przedtem ludzie
Grzęzli w maź, rankiem przejdą po suchem, jak po grudzie.
Już przedtem wyjaśniłem, jak wiele z cieczy morskiej
Chmury unoszą, z fali opary ciągnąc mokre
I potem sypiąc niemi kropliście popod siebie,
Gdy deszcz pada, gdy wichry roznoszą go po niebie.
Wreszcie, skoro ma ziemia ciało rzadkie i chłonne,
Skoro dokoła sobą otacza morze słone,
Musi do niej tak samo ciec woda z mórz, jak z ziemi
Ciecze wkoło do morza rzekami rozlicznymi.
Gorycz zostaje w ziemi, a sama materia płynna
Znów przecieka do źródeł, a stamtąd po dolinach
Raz już wyżłobionych poniesie ją dalej i dalej
Miły nurt, płynną stopą noszący lekkie fale.

Teraz ci wytłumaczę, jak czasem poprzez gardło
Etny wściekłe płomienie buchają pianą hardą.

Klęskę bowiem niemałą przynosząc w jednej chwili
Burza ognia straszliwa wybuchła na polach Sycylii,
 Że w krąg ludy sąsiednie twarz obracały ku niej,
 Widząc świątynię nieba w ogromnej iskier łunie,
I drżały w piersi trwożnej, nie wiedząc, z której strony
 Nowe ciosy natura gotuje przełęcznionym.

Zważ przy tych rzeczach dobrze i rozum wyostrzony
Obróć wszędzie, i przyznaj, patrząc na wszystkie strony,
 Że niezmierna wszechcałość natury, i że widać,
 Jak się przy tym ogromnie niebo maleńkie wyda —
A przecież tak olbrzymie! A przecież jeszcze mniejsze
Przy niej, niż wobec ziemi, wąskie człowieka miejsce!
Jeśli to myślą zgłębisz, prawdę chwytając dokładnie,
Już ci się dziwnym rzeczom dziwować nie wypadnie.
Bo czyż kto z nas zdumiony, gdy czuje niespodziane
 Zimne dreszcze, upałem gorączki wywołane,
 Albo ból jakiej innej choroby? Toż się zdarzy
Nieraz, że puchnie noga, to znowu rwie pół twarzy
Przy ostrym bólu zębów, to znowu oczy napada
Ból, lub ogień przeklęty, który się w ciało wkrada.
Część każdą, którą dojmie, pali, jak wężem zgoła
 Pełznąć. I nic dziwnego, gdy tyle ziarn dokoła
Różnych rzeczy! A ziemia wraz z niebem dźwiga mnogość
 Ciałek, co najprzykrzejsze choroby tworzyć mogą.
Trzeba przyjąć, że również na niebo z ziemią całe
Z nieskończonej przestrzeni moc spływa takich ciałek.
Stąd też dygoce ziemia przy nagłych dreszczu wstrząsach,
Stąd po morzach i łądach wicher nieprzytomny płąsa.
 Ogień wybucha z Etny i niebo się płomieni.
Bywa tak, że jak w ogień, w niebo patrzymy z ziemi;

Bywa też, że ziarn wody gdy zbierze się za dużo,
Rzygnie znieńcka niebo ciężkiej ulewy burzą.
Rzekniesz: wściekłość wybuchu jest jednak zbyt ogromna!
Słusznie, Olbrzymim nurtem wyda się rzeczka skromna
Temu, kto nigdy większej nie widział, i olbrzymią
Rzeczą jest drzewo, człowiek. Bo ludzie chętnie imion
Wielkości temu nie skąpią, co dotąd największem widzieli
A przecież, gdybyśmy wszystko to razem z ziemią wzięli
I niebem, niczem będzie w całości rzeczy wszystkich.

I oto teraz powiem, jak nagle ognia błyski
Podrażnione buchają z palenisk Etny srogiej.
Najpierw góra ta wewnątrz jaskinie liczy mnogie
I jakby na kolumnach wspiera się, a w jej głębi
Powietrze jest i wicher. Bo wicher tam się kłębi,
Gdzie jest powietrze w pędzie. A gdy ten pęd szalony
Wszystko, czego się dotknie, rozgrzewa na wsze strony,
Prażąc skały i ziemię, nie trudno z nich dobędzie
Płomienia; tym płomieniem drogi szukając wszędzie,
W górę strzeli iskrami i aż nad ziemią stanie
Wysoko, kiedy z jaskiń wybuchnie niespodzianie.
Daleko żar i popiół roznosi, ciężkie skały
Rzuca wśród kłębow dymu, jak grad kamyków małych —
A dzieje się to na pewno straszego wiatru mocą.
Dodaj, że u stóp góry morskie fale się toczą —
Rzecz to ważna, bo oto owe spienione wody
Uderzając o góry korzenie, drażą ją spodem,
Aż do krateru. Tędy przebiega, przyznać trzeba

I z odkrytego morza do wewnątrz musi wpadać,
Płomień wznosząc, drzwi sobie znajduje, aż w posadach

Drży ziemia, skały wkoło pryskają piasku tumanem.
Na szczycie góry bo dymią kratery, z grecka zwane,
Które my paszczkami i gardzielami zwiemy.

Są rzeczy, którym wiele powodów podajemy,
Chociaż z nich tylko jeden okaże się prawdziwy.
Widzisz na przykład z dala, że leży człowiek nieżywy
Wtedy niejedną podasz przyczynę w nagłych zgonach,
A w nich i ta się znajdzie, na którą człek ów skonał.
Nie wiesz, czy od żelaza zginął, boć sto sposobów,
Mróz, choroba, trucizna też mogły go do grobu
Wysłać — i coś na pewno zdarzyło się z tych rzeczy.
Otóż i w innych sprawach tej racji nie zaprzeczysz.

Corocznie letnią porą wylewa Nil obficie.
Ogromna i jedyna rzeka w szerokim Egipcie.
On to pośrodku lata dlatego właśnie może
Pola mułem nawadnia, że wieją o tej porze
Przeciwnie Akwilony, etezyjskimi zwane,
Które pod wodą gnając, fale niepowstrzymane
Spóźniają, prą ku brzegom i każą im się wznosić.
Niechybnie przeciw prądom spadają wichru ciosy,
Idące od dalekich północnych gwiazd — tem więcej,
Że Nil z tych ziem przychodzi, gdzie wieją najgoręcej
Austry, bo tam się rodzi. Tam środek dnia daleki,
Tam żyją ludy czarne od południowej spieki.
Może znów namuł piasku na przepływ nie pozwala,
Kiedy przy ujściu rzeki wezbrana morska fala
Wały sypie na środku prądu, jak dla przeszkody;
Wtedy bardziej spętany i trudny wypływ wody,

Wolniejszy jest bieg fali i rzeka naraz wzbiera.
A może deszcze nagłe, bo to się zdarza nieraz.
Źródła przepelnia, zwłaszcza że owe Akwilony
Pędzą brzemienne chmury tam, w południowe strony.
Jasne, że wtedy, w środku upalnych dni bez cienia,
Kiedy się chmury zbiorą, to na górskich grzebieniach
Srogi je natłok czeka i zmusza rodzić deszcze.
Może też rzeka wzbiera w etiopskich górach jeszcze.
Kiedy słońce śnieg biały na dół ze szczytów pędzi.
Żarem swoich promieni stapiając go co prędzej.

Teraz ci będę naturę miejsc i jezior tłumaczyć
Awerneńskich. A naprzód powiem, co nazwa ta znaczy.
Otóż stąd się wywodzi takie okolic tych imię,
Że ptactwo żyć w nich nie może, zaraz spada i ginie.
Bo gdy skrzydlaci goście przybędą lam niebacznie.
Zaraz im skrzydeł żagle słabość podcinać zacnie,
Kark omdlewa, aż zwolna spadają nieuchronnie
Na ziemię, jeśli ziemia pod nimi, albo w tonie
Jeziora, gdy nad wodą nagła ich niemoc znuży.
Tak jest opodal miasta Kumy, gdzie z niskich wzgórzy
Biją gorące źródła i dymi siarki wyziew,
Tak w ateńskiej warowni, u szczytu góry, bliżej
Świętego miejsca Pallas Trytońskiej, gdzie ni razu
Kruki nie przyfruwają do ofiarnego głazu,
Nawet wtedy, gdy świeża krew zwierząt spływa po nim.
Nie strach przed najczujniejszą boginią każe stronić
Ptakom od Akropolu, jak to helleńscy pieśniarze
Mówią, ale natura zguby im strzec się każe.
Pono i w Syrii kędyś miejsce oglądać można,

Gdzie ledwie stąpi niebacznie istota czworonożna.
Zaraz siła ukryta na ziemię powala zwierzę.
Jakby je złożyć chciała ceniom podziemnym w ofierze.
Siła ta — to natura. Ona te dziwy sprawia,
Których treść aby odkryć, nie trza się zastanawiać.
Trza nie wierzyć jedynie, że tam są Orku przedsienia —
Bo potem już idą baśnie o Acherontu cieniach,
O wywabianiu duszy z ciała w podobny sposób,
Jak pono żmij gromady wywabia z gęstych wrzosów
Węchem swym jeleń chyży. Wszystko to włóż między baśnie
Jakże odległe od zjawisk tych racji prawdziwej i jasnej —
Bo oto już przechodzę do sedna samej sprawy.

Powtórzę wprzód raz jeszcze, com nieraz już wyjawił.
Że w ziemi są nam dane postacie wszystkich rzeczy.
Jedne służą, by rodzić i karmić ród człowieczy,
Inne znów przez choroby potrafią śmierć przyspieszyć.
Różne i różnie służą rozlicznej stworzeń rzeszy
Do życia, a jak przedtem mówiłem — z tej przyczyny,
Że i kształt owych ziaren z natury bywa inny,
I niepodobna sama osnowa. Przez to słusznie
Różne wrogie nam ziarna wchodzą przez wejścia uszne,
Innych obcość i szorstkość nosem do środka wbiega.
Przykrych zarówno w smaku należy się wystrzegać,
Jak w węchu i dotyku — najlepiej uciec od nich.

Widać też, ile rzeczy wstrętnych dokoła, wrogich.
Szkodliwych dla człowieka. Są najpierw takie drzewa,
Że się, leżąc w ich cieniu na trawie, nie spodziewasz,
Aby ten cień tak miły na razie, tak łaskawy.

Miał cię o uporczywy ból głowy wnet przyprawić.
Rośnie też takie drzewo na stromym Helikonie,
Że śmiertelne dla ludzi trujące jego wonie.
Wszystko to z ziemi wyrasta, bo w niej jest rzeczy wszelakich
Moc ziaren niezliczona i skutek niejednaki;
Bo pomieszane z sobą raz słabiej, a raz mocniej.
Kiedy zakręci w nozdrzach zgaszone światło nocne
Nagłym swędem, od razu łagodzi i usypia
Człeka, co wił się w skurczach i pianą w ustach kipiał.
Gdy zapach skóry bobrowej chwyci miesiączkująca
Kobieta, dziwna słabość zaraz jej z rąk wytraca
Haft delikatny, zaraz uśpiona miękko pada.
Wiele też innych rzeczy te samą moc posiada
Zachwiania duszy w ciele i odrętwienia członków.
Jeśli długo w kąpieli siedzisz o pełnym żołądku,
Często możesz i łatwo w samej wodzie gorącej
Omdleć i stanąć w oko z rychłym żywota końcem.
A gryzący czad węgla łatwo twój mózg ułapi
Słabością, jeśliś przedtem wody się nie mógł napić.
Albo gorączka ostra kiedy ci członki obciąży
Wtedy mdlejesz, gdy wina ledwie powąchać zdążysz.
Czyż nie widzisz, że w ziemi samej się siarka rodzi
Oraz asfalt, dający złe i trujące smrody?
Gdzie zaś żył cennych kruszców szukają ludzie chciwi,
Czyż odór nie wychodzi srogi i obrzydliwy,
W Skaptensuli na przykład, przy bramie jaskiń ziemnych?
Zaduch tych kopalń złota czyż nie jest nieprzyjemny?
Nie wiesz, jak szkodzi ludziom na zdrowiu i wyglądzie?
Wszak wiesz, nieraz słyszałeś, jak krótką życia kądziel
I jak mizernie pędzą ci nieszczęśliwcy w nędzy,
Których do zgubnej pracy okrutny los zapędził.

Tak to ziemia oddycha dokoła, wszelki wyziew
Śląc na otwartą przestrzeń i aż pod niebo wyżej.

Tak awerneńskie strony muszą wysyłać dosyć
Śmiertelnej ptakom siły, co w górę się unosi
I część podniebia wkoło zatruwa. Gdy tam z dala
Skrzydłami przyżegluje ptak na powietrza falach,
Trucizną niewidoczną rażony, chwiejnie spada
Tam, skąd oddech zabójczy kołuje w zwiewnych jadach.
A gdy spada, to sama moc śmiercionośnej woni
Z ciała ostatki życia w niewiele chwil wygoni.
Najpierw odurza zawrót i bezruch członki chwyta,
Potem, im bliżej źródła, skąd zionie jadowita
Siła, tem bliżej śmierci, gdyż na osłabłe ciało
Przemoc spada śmiertelna niepowstrzymaną nawałą.

Bywa też, że ta sama siła stron awerneńskich
Dziury powietrzne czyni powodem ptasiej klęski,
Między ziemią a niebem zdradliwą tworząc próżnię.
Skoro tam ptak przyleci — wysiłki jego próżne!
Nie służy piór oparcie zawodne. Na nic praca
Obojga skrzydeł. Wszystko na opak się wywraca.
Nie mogąc ni się oprzeć na skrzydłach, ani w locie
Utrzymać, mocą własnego ciężaru muszą się stoczyć
W dół, i po drodze w pustce przez wszystkie pory w ciele
Tracą zwałtłłą duszę i życie w chwil niewiele.

Latem zimniejsza jest woda w studniach, bo od gorąca
Rzednie ziemia, ziarn wiele na zewnątrz wydająca,
A wśród nich na powietrze mknie wiele żaru ziaren.
Im większym na powierzchni oddycha ziemia żarem,

Tem chłodniejsza jest woda w jej głębi. I na odwrót:
Gdy ściśnie, zewrze ziemię chłodnego mrozu powrót,
Wtedy, rzecz jasna, wszystkie ziarna gorąca trudniej
Tracąc, ukrywa w głębi i darzy niemi studnie.

Jest pono przy świątyni Ammona źródło dziwne:
Nocą ma ciepłą wodę, a za dnia wciąż jest zimne.
Cud ten niezmiernie ludzie czczą, uważając mylnie,
Że nocą się ogrzewa pod słońca światłem silnem
Pod ziemią, gdy nad ziemią ponury mrok nastanie.
Ale nazbyt dalekie od prawdy to mniemanie!
Jeśli słońce nie może ogrzać wody odkrytej
Od górnej części, chociaż promienie złotolite
Z góry najmocniej prażą, to w jaki sposób zdoła
Przez grubą warstwę ziemi tyle gorąca wywołać,
By zakipiała woda, upałem nasycona?
Przecież nie może tego siłą promieni dokonać
Przez cienkie mury domów. A jakaż tego przyczyna?
Tylko ta oczywiście, że tuż przy źródła głębinach
Rzadka ziemia nasiąka ciepłem bardziej niż sucha.
Skoro przy wodzie więcej ziarn ognistego ducha.
Przez to, gdy ziemię cieniami okryje noc rosista,
Zaraz chłodnieje ziemia, zaraz się w sobie ściska,
Zaczem, jak z pięści zwartej, ziarna ciepłoty wy ciekłe
Wszystkie do źródła biegną, by je nasycić ciepłem,
Które i smak człowieka, i dotyk chwycić może.
Gdy znów rozpręży ziemię słońce w porannej porze,
Kiedy z większym upałem wyraźnie ją rozrzedzi —
Znowu ziarenka ciepła wracają do swych siedzib
I ucieka do ziemi całe gorąco źródlane.

Dzięki temu źródł we dnie chłodniejszy niż nad ranem.

Kłębi się przytem woda pod promieniami słońca,
Rzednie. Im skwar gorętszy, tem ona mniej gorąca.
Gdyż traci cały zapas swych lotnych ciepłych ciałek.
Podobnie też na wiosnę, gdy traci zimno całe,
Roztapia lód i łamie zimowe swe okucie.

Jest też zimne źródło, na które smolny wiecheć
Rzucisz, a wnet zahuczy wesołym ognia śmiechem.
Także pochodnia tam płonie, po bystrej fali płynąc
Z prądem i sycząc blaskiem nad ową wodą zimną.
Bo w wodzie tej ziarn żaru nie brak; a jeszcze ze dna
Poprzez nurt w górę dążą, by się wydobyć jednak.

Inne liczne, tak samo zapalne, też dążące
Razem, by świat nadwodny nasycić swem gorącem.

Choć ich za mało na to, by ogrzać miały wodę.
Różna je siła zmusza oddzielnym wybiec chodem,
Wybuchać nie gromadnie ponad powierzchnię toni.
Takie jest źródło Aradzkie, które wśród głębin słonych

Słodką wodą wytryska z dna morza. Na obszarze
Mórz więcej takich źródeł znajdują czasem żeglarze
Spragnieni. Oto dla nich wprost z nieużytych głębin
Ratunek niespodziany wśród słonych wód się kłębi.

Więc i przez tamto źródło mogą strzelać i pryskać
Te ziarna, co są blaskiem i ciepłem dla ogniska
Pochodni lub też pakuł, co łatwo mogą chłonać
Iskrę stamtąd. A żagiew też przez to może płonąć,
Że ma dostatek ziaren ognistych w łonie swoim.
Knot, który świeżo zgasisz, rychło ci znów zapłonie,
Zanim dotknie płomienia lamp nocnych, a podobnie

I z tej samej przyczyny pochodnia bucha ogniem.
Wiele przeróżnych rzeczy zapala się, nim poznasz.
Jak je ogień pochwyił niewidny. Tak też można
Przyjąć, że i z tem źródłem ta sama będzie sprawa.

Teraz powiem, na mocy jakiego natury prawa
Może żelazo przyciągać ten kamień, który Greki
Magnezem zwą od ziemi Magnetów — w tym bo dalekim
Kraju kamień ten cenny rodzi się i przebywa.
Ludzi uczonych od dawna nie darmo on zadziwia:
Tworząc łańcuch wiszących na sobie pierścieni, nieraz
Pięć albo więcej części wiszących w powietrzu zwiera.
Jedna szczepiona z drugą od spodu jej się trzyma,
Jedna z drugiej moc bierze; zaiste moc olbrzymia,
Jeśli łańcuch wiszący przenika trwałą więzią
I wszystkie części wzajem chwytają się i więżą.

Wiele tu poznać trzeba wpierw, nim się zdoła wolno
Prawdę rzeczy odszukać wędrówką dookolną.
Ale tak nam iść trzeba, a na tej drodze żmudnej
Szerzej uszy i umysł otwórz na słowa trudne.

Najpierw więc z wszelkich rzeczy, jakie dokoła spostrzegasz.
Ciągłe muszą na zewnątrz wypływać i wybiegać
Ciałka przeróżne lotne, co rażą wzrok i oczy.
Z innych znów rzeczy wonie uchodzą w dzień i w nocy
Tak, jak chłód z rzek, ze słońca upał, a z morza głębi
Pokwas. co w mur nadbrzeżny niszczące wtapia zęby.
Nieustannie też dźwięki różne powietrzem płyną.
Często słoność wilgotna skrapia ci wargi ślina.

Gdy blisko morza chodzisz, często na widok troszki
Piołunu aż się wzdrygniesz nad jego smakiem gorzkim.
Tak to płyną upływy ze wszystkich rzeczy dokoła.
Dążąc na wszystkie strony i żadnej przerwy zgoła
Nie znając, ni wytchnienia, bo przecież nieustannie
Coś czujemy, to wzrokiem, to znów przez dotykanie,
Ciągłe słyszymy głosy i dźwięki, chwytny wonie.

Teraz, jak rzadkie są ciała, raz jeszcze chcę ci wspomnieć,
Chożem już w pierwszej księdze wyłożył to dość jasno.
Bo jeśli w wielu sprawach ważna jest owa ich własność,
To szczególnie w tej sprawie przypomnieć ją wypadnie,
O której mówię teraz: Więc nie ma rzeczy żadnej
Oprócz próżni i ciałek, zmieszanych wśród natury.
Oto w jaskiniach skały wilgotnieją u góry,
Kroplami na dół ciekąc rzęsiście. I z człowieka
Często pot kropelkami z całego ciała ścieka,
A zarost rośnie gęsto po członkach i po stawach.
Rozchodzi się po żyłach karmiąca ciało strawa,
Aż ku kończynom, paznokciom, żywi je i powiększa.
Żar i mróz spiż przechodzi, dostając się do wnętrza
Metali — w dłoń ujęte pełne puchary złote
Czy srebrne, nieomylnie dadzą świadectwo o tem.
A głos poprzez kamienne mury przelata na wskroś;
Równie zapach, mróz równie i ognia żar, co dziarsko
Nawet siłę żelaza przenikać może niezłomną.
Wreszcie, w każde miejsce pod niebios powałą ogromną

Razem moc zaraźliwa z zewnątrz się przedostanie.
Burze zaś, z ziemi i z nieba wiodące swoje powstanie.

Kiedy ucichną, znowu je ziemia lub niebo wchłonie —
Wszelkie bo ciało w naturze jest próżnią rozrzedzone.

Dodaj, że różne ciała, jakie dokoła biega
Z różnych rzeczy, nie dają skutku jednakowego
I nie na wszystkie rzeczy jednako działać muszą.
Oto słońce, co ziemię gorącą ściąga suszą,
Umie lody rozpuszczać, a na gór stromych zboczach
Śnieg od jego promieni w wodę się zmienia w oczach.
Równie i wosk topnieje pod słońca ciepłem tchnieniem.
Ogień, co spiż i złoto roztopia nieodmiennie,
Ściąga skórę i mięso, że kurczą się od razu.
Woda znów hart powraca rozpalonemu żelazu,
A zmiękcza skórę, mięso, co w ogniu się skurczyły.
Kozom brodatym dzikiej oliwki smak jest miły,
Jakby nektar z ambrozją z rośliny owej kapał —
Ludziom zaś jakże wstrętny i smak ten, i ten zapach!
Wieprze znów unikają majerankowych liści
I ziół wonnych — to dla nich trucizna oczywiście,
A ludzi czasem nawet uzdrawia, jakby cudem.
Nam znów wstrętna gnojówka cuchnąca podłym brudem
A dla świń czysta rozkosz gnojówka, byle duża,
Gdzie mogą się bez przerwy w błocie i łajnie nurzać.

To jeszcze pozostaje powiedzieć, co wypada
Przyznać, nim sedno sprawy zaczniemy wreszcie badać:
Skoro mnóstwo otworów wszelakie rzeczy mają,
Różny kształt jest właściwy rozlicznym ich rodzajom,
Różną mają naturę, inne do wnętrza drogi.
Wiele zmysłów ma rzesza zwierząt i istot dwunogich,

A każdy zmysł inaczej, inne urażenia chwyta.
Jednym przenika dźwięków obfitość rozmaita,
Inny smak czuje, inny wszelakie wonie łowi.
Przez kamień i przez drzewo nie przejdzie jednakowy
Płyn, a przez złoto ciężkie ta znów ciecz nie przepłynie.
Go przez szkło i przez srebro może się sączyć zwinnie.
Tu się przeciśnie obraz, tam znów ciepło przepływa,
Tam, chociaż różne przejdą, szybkość ich różna bywa.
Dzieje się tak napewno stąd, że otwory mogą
W różnych rzeczach mieć wielką kształtów i miary mnogość.
Różną bo rzeczy mają naturę i różną przedzę.

Teraz cel osiągniemy dokładniej już i prędzej.
Bo skoro wszystkie dane sprawdzone i gotowe,
Z ich pomocą prawdziwie poznamy siły owe,
Dzięki którym kamień żelazo do siebie przyzywa.
Naprzód musi z kamienia dużo ziaren wypływać.
Istny prąd, co roztrąca swem mocnem uderzeniem
Warstwę powietrza między żelazem i kamieniem.
Gdy się opróżni przestrzeń i w środku miejsca sporo,
Zaraz ziarna żelaza wyskoczą, wnet się zbiorą
Próżnię wypełnić, zaczem zbliża się i ogniwo,
Całem swem ciałem dążąc ku kamieniowi co żywo.
A przecie żadne ciało nie ma tak powikłanych,
Giasno zbitych zarodków przez różnych form odmiany,
Jak żelazo, z natury zimne i krzepko twarde.
Ta słusność mych wywodów okaże się tem bardziej,
Że dzięki takim ziarnom nie może wyskakiwać
Nadmiar ich bez ściągnięcia całego też ogniwa.
Więc też ciągnie żelazo za niemi, aż powoli

Mocą niewidnych więzów z kamieniem się zespoli.
Tak się dzieje wszędzie, z boku, z góry i z doki.
W każdą stronę, gdzie zrzednie powietrze, zaraz po społu
Pędzą zarodki żelaza tam, gdzie się próżnia otwiera.
Same przez się rzecz jasna, nie mogłyby pędu nabierać,
W górę się wzbijać, lecz siła z zewnątrz pcha je tym szlakiem.
Tu jeszcze ma znaczenie, i to nie byle jakie.
Ruch pomocny przynosząc, a dawny przyspieszając,
Że gdy się przed ogniwem powietrza fale stają
Rzadsze, a miejsca przez to pustsze i gościnniejsze,
Zaraz powietrze z tyłu prze ziarna w owo miejsce.
Naprzód goniąc materię. Bo już to sprawa prosta,
Że ciągle wszystkie rzeczy zewsząd powietrze chłosta.
A tu żelazo pędzi ku kamieniowi, dzięki
Próżni w środku, chłuszczącej tak wiele ziarn maleńkich.
Ono też, jak powtarzam, poprzez otwory w żelazie
Wnika do jego cząstek, rozsadza je, gdy wlezie,
I pcha tak, jak żagłowy okręt po morskiej toni.
A powietrza w krąg pełno w przedmiotach niezliczonych.
Mających ciało rzadkie, powietrze w krąg materię
Opływa i przywiera do każdej rzeczy wiernie.
Ono także, w żelazie wewnątrz głęboko skryte.
Podrywa je od środka, a ruch nadaje przytem
Nie byle jaki. chłuszcząc ogniwa tak w ich środkach,
Aż żelazo tam skoczy, gdzie już się musi spotkać
Z kamieniem, rozpęd wzięwszy ku próżni na wprost głazu.

Czasem każe natura odskoczyć w tył żelazu —
Cofnie się ono ale wnet wraca z dawną siłą.
Tak (widziałem) z pierścieniami samotrackimi było,

Tak z opiłkami żelaza, które skakały niezgrabnie
W czarach spiżowych, gdy pod nie włożono kamień-magnes:
Tak bardzo, zda się, chciałyby uciec od tego kamienia!
Poprzez spiż tu niezgodne działają zaburzenia
Stąd pierwej, że dech spiżu zatkał w żelazie otwory,
Zajął je i zappełnił, a gdy zza tej zapory
Przyjdzie prąd od kamienia, już drogę ma zamkniętą.
Już, jak przedtem, nie może podołać szparom i skrętom.
Tam więc z musu uderza, gdzie drogę mu zamyka
Rygiel żelazny, ostro odpycha przeciwnika,
Miast go, jak zwykle bywa, przyciągnąć prądem żywym.
W tym wypadku i w innych nie ma się czemu dziwić,
Że innych rzeczy nie może przyciągać prąd magnesu.
Raz ciężar ich mu wzbrania (tu złoto masz u kresu),
Raz znowu ciało mają tak rzadkie, że otworów
Nie drażąc prąd na wylot przelata bez oporu.
Do takich ciał by można materię drzewa zaliczyć.
Gdy zaś pośrednią naturę żelaza spiż wojowniczy
Zatka ciałkami swemi, to już wtedy od razu
Prąd magnesu nie skąpi wrogości pchnięć żelazu.

Wiele jest także innych rzeczy, między którymi
Można, ile się zechce, takich na przykład wymienić,
Które się łączą trwale własnym sposobem swoim.
Kamienie tylko wapnem potężnie można spoić,
Drzewo znów klej stolarski tak umie łączyć trwałe,
Że rychlej popękają na słocie i upale
Słoje drzewa, niż puszcza uparte kleju więzy.
Winna ciecz z wodną cieczą pogodzi się najprędzej —
Nigdy smoła, zbyt ciężka, ani zbyt lekka oliwa.

Z wełną trzyma się szkarłat, który się wydobywa
Z konch tyryjskich, i zmyć się ni wytrzeć nie da wcale.
Choćby wełnę płukały ostre Neptuna fale
I choćbyś wszystkie morza zużył do tego prania.
Złoto ze złotem jedna rzecz łączy. Do spawania
Dwóch spizów tylko cyna nadaje się. A dalej
Pełno innych przykładów. Cóż więc? Te starczą wcale:
Ani tobie w tej rzeczy gmatwanin nie potrzeba,
Ani mnie by przystało wciąż się w szczegółach grzebać.
Lepiej jest wiele powiedzieć krótko, w niewielu słowach.
Jeśli przy różnych rzeczach tak zgadza się osnowa.
Że wklęsłe naprzeciwno wypukłych części staną,
Masz i związek właściwy, i spójnię nieprzerwaną.
Mogą się rzeczy niektóre tym połączyć sposobem.
Że haczyki i kółka ich cząstek splatają się z sobą —
Ta. jak się zdaje, przyczyna wyjaśnia magnesu działanie.

Teraz ci źródło chorób podam i niespodziane
Ciosy sił śmiertcionośnych objaśnię, skąd się naraz
Biorą, by klęską śmierci zaciężyć na ofiarach
Z ludzi i trzód. Już przedtem podałem, że wśród wieła
Ziarn niejedno się trafi, co zdrowiem nas obdziela.
Ale i takich nie brak, co choroby roznoszą
I śmierć. A gdy się zbiorą, gdy zmacą blask niebiosom,
Wtedy mór idzie z wiatrem, a z morem śmierć i postrach.
Nie zawsze idzie górą fala zarazy ostra
Wraz z chmurami po niebie, z zewnątrz do nieba wpadłszy
Ale nieraz także powstaje na najgładszych
Nizach, gdy gleba mokra po deszczach długotrwałych
Złym paruje wyziewem, gdy nagle ją suszą upały.

Widzisz też, że przybysze, nawykli do nieb innych
I wody, często cierpią w krainach nierodzinnych,
Bo wiele jest niezgody w różnych niebach i ziemiach.
Oto na przykład w Brytanii takiego nieba nie ma,
Jakie znajdziesz w Egipcie, gdzie się oś świata zgina.
Inne znóm niebo Pontu, inne tam, gdzie kraina
Wokół Gades. i dalej, gdzie czarne ludy żyją.
A jeśli różność wielką musimy słusznie przyjąć
Między temi czterema niebami, czterema stronami,
Tak że mieszkańców każdej po barwie i twarzy poznamy
Znajdziemy też choroby właściwe różnym krajom.
Na słoniową chorobę w Egipcie zapadają
Nad średnim biegiem Nilu, poza tem nigdzie prawie.
W Attyce bolą stopy, oczy w Achajów dierzawie,
A inne jeszcze strony przez powietrza odmienność
Inne członki nachodzą słabością nieprzyjemną.
Oto gdy niebo obce w pobliżu się zamąci
I wyjdzie z niego powiew powietrznych fal trujących,
Pełzną one, jak chmury, i całe niebo nasze
Nagła wrogość odmienia, gdy wkoło je opasze.
A jeśli siła jadu przedrze się ku nam bliżej,
Niebo nasze zatruje zarazy tchnieniem chyżem.
Kłęska nagłego moru niewidna a straszliwa,
Płynie z wodą lub siada na kwiatach i warzywach,
Ludzki pokarm i paszę bydłą w jad zamienia.
Czasem wiszą w powietrzu lotne podmuchy zniszczenia
A my sami. oddechem powietrzny napój chłoną,
Razem i śmierć chłoniemy w powietrzu przyczajoną.
Tak też często się zdarza, że pomór niespodziany
Wydusi we wsi woły i wszystkie leniwe barany.

A dla nas nie ma znaczenia, czy sami przybędziemy
Pod obce dla nas niebo, do wrogiej dla nas ziemi.
Tenże skutek, gdy sama natura nam przyniesie
Wiew zatruty czy napój, czy coś, co samo przez się
Szkodzi nam. nie nawykłym do obcej tej choroby.

Taki to powiew moru na polach rozsiał groby,
Oniemiał drogi gwarne, miasto wyludnił doszczętnie,
Ziemię Cekropsa przed laty śmiertelnem znacząc piętnem.
Zrodził się mór w Egipcie, a stamtąd lotną drogą
Ponad wodą i ziemią przepłynął, aby srogo
Spaść na ród Panclijona od starców do pacholąt,
Tak że pokotem padali za nagłej słabości wołą.
Najpierw im głowę płonącą ból gorączkowy łamał
I oczy krwawym ogniem świeciły w swoich jamach.
Gardło w środku krwawiło, czarne od srogich wrzodów,
Głos w krtani napuchniętej ginał, a bliżej wchodu
Język, ów tłumacz myśli, osłabły i chropawy,
Z trudem się ruszał, sącząc spód zębów wyciek krwawy.
Potem już żar choroby przez gardziel w pierś wciśniony
Skoro serce zmęczone ujął w boleści szpony,
Wtedy już wrota życia pękały nieuchronnie.
Oddech smrodem dokoła zionął tak, jako zionie
Smród z gnijącego trupa, porzuconego w rowie,
A duch, straciwszy siłę więcej niżli w połowie,
Mdlał z ciałem już na samej granicy śmierci lichej.
Niepokój i strach drżący, i jęk, i skargi ciche
Mieszały się z boleścią nad ludzką wytrzymałość.
Wymioty z czkawką ostrą wstrząsały słabe ciało
Dniem i nocą, jak gdyby nie dosyć nieszczęśliwych

Gnębił po drżących członkach żar i ból dokuczliwy.
Nie poznałbyś na pozór, że ciało chorych płonie.
Bo upałem zbyt wielkim nie piekło w obce dłonie;
Chłodne prawie na wierzchu, skrywało wewnątrz pożogę,
Ale miało na sobie plamy i cętki mnogie,
Jak człek, któremu w żyłach zapłonął święty ogień.
A gorzeli biedacy w calutkiem ciele do kości
I w żołądku, jak w piecu, żar piekł ich bez litości.
Nie mogłeś ulżyć biednym żadną osłoną zwiewną,
Ale chłodem i wiewem ulżyłbyś im na pewno.
Wciąż trawieni gorączką, nagie płonące ciało
Zanurzali w chłód rzeki, wciąż chłodnej im za mało,
A wielu nieszczęśliwych rzucało się w dół głową
Do studni, by ostudzić ust suchość gorączkową —
Próżno! Od żaru gorączki nie dawał ukojenia
Równie łyk wody wypity, jak woda całego strumienia.
Nie było ulgi w cierpieniu. Leżeli chorzy dokoła,
Trupom zawczasu podobni. Cóż lekarz pomoc zdołał,
Sam trwogi pełny, patrząc w oczy płonące niemym
Bólem płomieńmi źrenic, do śmierci bezsennemi.
Nie brakło znamion śmierci z góry nieuniknionej:
Władze ducha boleścią i strachem zamroczone,
Twarz chmurna o wyrazie cierpiącym i zaciętym,
Oddech szybki, lub znowu ciężki i w krtań wciśnięty,
Uszy trwożne i pełne szumu, oddech rwany,
Raz prędki, raz powolny, i kark wciąż potem oblany,
Ślina rzadka i słaba, słona i żółta prawie,
Co się przy kaszlu ledwie że dobyć mogła na wierzchu.
Drżały ręce i wszystkie członki. A potem pomału
Chłód idący od kończyn całemu udzielał się ciału.

A w ostatniej już chwili widziałeś w ich agonii
Nozdrza wąskie, nos ostry i nagle wydłużony,
Oczy i skronie w głąb zapadłe, czoło napięte.
Skórę na twarzy stwardniałą, usta wciąż niedomknięte.
Wkrótce już potem ciało zimne leżało, ciche.
Gdy od początku choroby ósmy poranny wicher
Powiał lub wschód dziewiąty ujrzeli, marli zaraz.
A nawet kto czasami, w pół leżąc już na marach,
Wstał żywy, wkrótce potem i tak umierał marnie
Od wrzodów i zarazem od kału barwy czarnej.
Czasem mu z bólem srogim strumień krwawy wyciekał
Z nosa, a zatamować nie dał się — i człowieka
Wolno moc opuszczała i opuszczało życie.
Kto unikał krwotoków lejących się obficie,
Temu i tak choroba przyniosła śmierć, najczęściej
W stawy wchodząc i w mięśnie, a nawet w rodne części.
A taki strach przed śmiercią przejmował ich, że nawet
Członek męski obciąwszy składali w dani krwawej
Życiu, które pędzili w męce, a niektórzy
Bez rak i nóg jednakże pragnęli dni przedłużyć;
Inni znów⁷ oczu pochodnie oddawali za życie.
Inni pamięć tracili, i to tak znakomicie,
Że samych siebie poznać nie mogli w żaden sposób.

A chociaż wkoło pełno gnijących trupich stosów
Leżało, głodne ptaki i dziki zwierz przezornie
Omijał z dala ciała gnijące w krąg upiornie;
A gdy głodem zmuszony ugryzł, to zdychał zaraz.
W dni pomoru ptak żaden nie krążył po obszarach
Nieba, zwierz żaden z lasu nie wyszedł, bo w ukryciu

Wolały walczyć z śmiercią, by moc przywrócić życiu.
Próżno! Po wszystkich drogach wierny ród psi wył z cicha,
Broniąc się nadaremnie, nie chcąc boleśnie zdychać.
Żłudna praca! Z psich członków mór też wypędzał żywot.
Mało kto grzebał zmarłych, a jeśli — to co żywo.
I nie było lekarstwa pewnego jednakowo:
Gdy ktoś po jakimś leku oddychał zaraz zdrowo
I cieszył się, że niebo ogląda—już ktoś inny
Wkrótce po tymże leku martwy leżał i siny.
A już najgorsze w tem wszystkim, najbardziej przygnębiające
Było, że widząc oznaki choroby nadchodzącej
Człowiek przestawał walczyć, jakby na śmierć skazany,
Tracił ducha i wzrokiem dokoła tocząc szklanym
Kładł się wśród trupów ginąć tam, gdzie go słabość zdjęła.

A mor chciwy okrutnie dokańczał swego dzieła,
Jednych za drugimi kładąc martwym pokotem,
Jak bydłęta przed jatką głuszone tępym młotem.
I tak rósł stos ciał zgniłych, najbardziej groźny komuś,
Kto w strachu śmierci bał się sąsiadom chorym pomóc,
Zbytńio kochając własne życie — a oto zaraz
Los onych opuszczeniem i nędzną śmiercią karał,
Kiedy samotni, znikąd nie mogli ulgi ubłagać.
Gotowych do posługi zdradliwy trud przemagał
Zarazą, gdy wstyd było nie pomóc nieszczęśliwym
Za podziękę, zmieszaną z jękiem na poły żywych.
Tak więc wszyscy najlepsi ginęli w marny sposób

Raz po raz, na wyprzody grzebiąc najbliższych swoich.
Wracali. Każdy łzami smutek serdeczny poił.

Potem wielu na łożu z boleścią legło srogą.
I chyba w ziemi całej nie było wkrąg nikogo.
Kto by śmierci, choroby lub żalu nie przenosił.

Pasterzy i gumiennych dosięgła wreszcie długa
Ręka moru, zachorzał i krzepki chłop od pługą.
W chatach ich porzucone w nieładzie gniły ciała
Tych, których przez zarazę od nędzy śmierć zabrała.
Mogłeś widzieć rodziców na trupach własnych dzieci
I na odwrót: maleństwa przy zimnych ciałach matek,
Same mrące z boleści. Siew śmierci, co narastał
Na polach — sami chłopci zanieśli wprost do miasta.
Gdy szukając pomocy i pod opiekę śpiesząc,
Zewsząd do miast ściągali już zarażoną rzeszą.
Pełno ich było wszędzie. A przez to, że w gromadzie,
Zaduch i tłok chorobie nie stawał na zawadzie.
Pić chcący słabe ciała wlekli do miejskich studzien
I tu już zostawali, znalazłszy w wody cudzie
Ulgię i śmierć zarazem. Na placach, na ulicach
I tam, gdzie w szczerem polu ginie miejska granica,
Mógłbyś ujrzyć tysiące nędznych, nagich postaci,
Które i brud, i słabość, i kał zakaźny tracił:
Skóra na chudych kościach, i to zaledwie widna
Pod wrzodami i łajnem, oślizgła i ohydna.
Wszystkie świątynie hojnie śmierć wypełniła pobożna
Tłumem martwym, a trupów zliczyć nie było można,
Bo i swoi tu wierni, i obcych zmarło mnogo.
Którzy szukając schronienia domy zabrali bogom.
Mało co znaczył zresztą bóg jakiś czy świątynia —
Ból żywy ponad wszystkim górował i olbrzymiał.

Nie dbano o zwyczaje pogrzebu, jakie dotąd
 Lud tamtejszy wypełniał pobożnie i z ochotą.
W zamęcie i przestachu każdy najbliższych grzebał
 Sam, łzy roniąc, nie dbając o przepis służby nieba.
Nieraz nędza i pośpiech wiodły do zwykłych zbrodni:
Oto na cudzych stosach przy blasku własnych pochodni
 Kładli ciała najbliższych wśród walki i wśród wrzawy,
Odnosząc rany nieraz w cmentarnych bójkach krwawych,
 Byle ciał nie zostawić bez ostatniej posługi.

Koniec księgi szóstej

Koniec poematu